

SINÉAD O'CONNOR



WSPOMNIENIA



SINÉAD O'CONNOR

WSPOMNIENIA

Przełożyła Katarzyna Mojowska

Tytuł oryginału: *Rememberings*

Redakcja: Zofia Lisiewicz

Korekta: Renata Burlikowska

Projekt graficzny okładki: Elżbieta Wastkowska na podstawie projektu Marka Robinsona

Zdjęcie na okładce: © Herb Ritts/Trunk Archive

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf

Przygotowanie zdjęć do druku: Paweł Bajer

Redaktor prowadząca: Magdalena Kosińska



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © 2021 by Universal Mother, Inc. Published by special arrangement with Houghton Mifflin Harcourt Publishing Company

Copyright © Agora SA, 2021

Copyright © for Polish translation by Katarzyna Mojewska, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-268-3788-3



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Przedmowa

CZĘŚĆ PIERWSZA

Prolog. Hey, Hey, We're the Monkees!

Pianino

Dziadkowie

Sierpień 1977

Lourdes

Moja ciotka Frances

Pociąg

Zatracona w muzyce

Will You Still Love Me Tomorrow?

Kolekcja płyt mojej matki

Dlaczego śpiewam

Dom wschodzącego słońca, część pierwsza

Dom wschodzącego słońca, część druga

Dom wschodzącego słońca, część trzecia

Song to the Siren

Siostry

Any Dream Will Do

John, I Love You

O moim ojcu

Wiersz z mojego dzieciństwa

CZĘŚĆ DRUGA

Kim jesteś?

Osiadanie

Nauczka lub dwie

Inflammable Material

Ogolenie głowy

The Lion and the Cobra
Zegary i woki
My Boy Lollipop, lipiec 1987
The Way Young Lovers Do
There Is a Light That Never Goes Out, 1987
Dobre wieści, złe wieści i tak dalej
Funny How Time Slips Away
Paper Roses
Sheviti adonai l'negdi tamid
Czekolada i wanilia
War, część pierwsza – Saturday Night Live, 1992
War, część druga – Gotta Serve Somebody
It Ain't Necessarily So
The Condition My Condition Is in – 1992, kilka dni później
Bezdomny mężczyzna w Wielkanoc
War, część trzecia, październik 1992
Mój gwieździsty sztandar

CZĘŚĆ TRZECIA

Trochę uwag muzycznych
I Do Not Want What I Haven't Got
Am I Not Your Girl?
Universal Mother
Gospel Oak
Faith and Courage
Sean-nós nua
Throw Down Your Arms
Theology
How About I Be Me
I'm Not Bossy
A niebawem...
Dagger Through My Heart
The Greatest Love of All
Lou Reed
Lekcje i prawdziwe historie
Pan „grubsza sprawa”

Jake, Roisin, Shane i Yeshua
Czarnoksiężnik z Oz
Teraz i w przyszłości
25 września 2019

Postscriptum

Epilog

Przypisy

*Dedykuję z miłością personelowi i pacjentom szpitala St. Patrick's
University Hospital w Dublinie,
mojemu ojcu – Johnowi O'Connorowi,
a także Davidowi Rosenthalowi, Bobowi Dylanowi i Jeffowi Rosenowi*

Przedmowa

NIE PAMIĘTAM NIC ponad to, co przekazałam mojemu wydawcy. I niż to, co osobiste, oraz to, co pragnę zapomnieć. Zresztą to wszystko, czego nie jestem w stanie przywołać, zapełniłoby dziesięć tysięcy bibliotek, więc pewnie na jedno wychodzi, czy to pamiętam, czy nie.

Nie jestem w stanie tego wszystkiego przywołać głównie dlatego, że dopiero od sześciu miesięcy jestem w swoim życiu tak naprawdę obecna. A kiedy piszę te słowa, mam pięćdziesiąt cztery lata. Jest wiele powodów, dla których tak się stało. Możecie znaleźć je w tej książce. A przynajmniej ich większość.

Byłam naprawdę obecna do czasu ukazania się mojej pierwszej płyty. Później udałam się w jakieś miejsce wewnątrz siebie. Zaczęłam też palić zioło. W sumie nie przestałam tego robić do połowy 2020 roku. Więc owszem – nie bardzo kontaktowałam, a w takiej sytuacji trudno jest przypomnieć sobie różne wydarzenia.

Ciężko też się pisze o tworzeniu muzyki. Choć przy tym akurat byłam obecna. Działo się to gdzieś głęboko we mnie, w miejscu, które znam tylko ja. Gdyby dało się mówić o muzyce, nie byłaby nam potrzebna, więc moja opowieść pewnie nie zawsze będzie jej dotyczyła. Podsumuję po prostu to, co jestem w stanie przywołać – od czasu młodości do teraz.

Kilka osób pominęłam, bo wiem, że cenią sobie prywatność, a parę innych, bo chcę, żeby szlag je trafił, kiedy będą szukać swoich nazwisk w książce, ale ich nie znajdą.

Ponieważ więc nie zawsze byłam obecna, w książce występują dwa głosy, bardzo od siebie odmienne: pierwszy słychać do czasu podarcia zdjęcia papieża w 1992 roku, a później pojawia się drugi, nowy. To dlatego, że napisanie czegokolwiek po „rozdziałach papieskich” (opowiadających o nocy poprzedzającej *SNL* oraz o samym występie

w programie) zajęło mi cztery lata, podczas których raz po raz trafiałam do ośrodków zdrowia psychicznego, gdzie odkrywałam przyczyny swojej nieobecności. Później przemówiłam nowym głosem. I mam nadzieję, że jest to dla czytelnika akceptowalne. (W sumie to wszystko, na co mnie stać).

Ten pierwszy głos postrzegam jako należący do ducha, a drugi – do żywej kobiety. Oba są równie istotne. Nastąpiła symboliczna śmierć, a po niej przyszło odrodzenie. I to słychać. Jestem z tego wręcz dumna.

Cóż, nie zapowiada się, żebym miała w najbliższym czasie zgarnąć nagrodę Bookera. Nie jestem też Bobem Dylanem, Szekspirem, a nawet pisarką tej klasy co mój wspaniały brat Joseph. Przedstawiłam jednak swoją historię tak, jak ją zapamiętałam, i spróbowałam zrobić to w ten sam sposób, w jaki mówię. Pisząc lub dyktując kolejne rozdziały, wyobrażałam sobie, że opowiadam to wszystko pewnej osobie. Nigdy wam jednak nie powiem, kto to taki.

Byłam bardzo młoda, kiedy moja kariera nabrała tempa. Nie miałam czasu, by „odnaleźć siebie”. Myślę jednak, że zobaczycie w tej książce dziewczynę, która siebie *odnajduje* – ale nie za sprawą sukcesu w branży muzycznej. Ona korzysta ze sposobności, by świadomie i autentycznie stracić rozum, a kiedy już to się dzieje, odzyskuje go i jest lepsza w grę w życie. Dziś jestem starszą kobietą obdarzoną innym głosem. To są dopiero moje pierwsze wspomnienia w formie książkowej. Mam zamiar żyć długo i prowadzić dziennik, żeby nic mi nie umknęło. Teraz jednak musiałam dopuścić do głosu dziecko, które jest we mnie, ponieważ potrzebowało się wypowiedzieć. Zgodziłam się na to, a dziewczynka podrosła i teraz zdecydowała, że pozostanie przy wieku około siedemnastu lat.

Wiedźcie, proszę, że jestem pełna głębokiej i nieskończonej miłości do obydwójga moich rodziców, którzy robili wszystko najlepiej, jak mogli, w bardzo ciężkich czasach dla Irlandii i Irlandczyków. Mój ojciec jest moim idolem – zaznał on więcej cierpienia niż jakakolwiek znana mi istota ludzka, a znosił ten ból z wielkim heroizmem. Jesteśmy rodziną z żołnierskim DNA. Mój stryjeczny dziadek, cioteczny dziadek i pradiadkowie byli wojskowymi. Ich cechy mamy zawsze na podorędziu, zarówno mój ojciec, jak i ja.

Mam szczególną nadzieję, że dopuszczając do głosu moje wewnętrzne dziecko, nie urażę ani nie zdenerwuję nikogo z mojej rodziny. Nie omawiam tu doświadczeń żadnej innej osoby, tylko swoje. I z góry przepraszam, jeśli coś, co napisałam, jednak wyrządzi komuś przykrość. Nie miałam takich intencji.

Zamierzam jedynie wysypać na podłogę wszystkie elementy układanki, którą byłam, i sprawdzić, czy dam radę je ułożyć. Pragnę zostać zrozumiana. Nie chcę też, żeby moją historię opowiadał jakiś ignorant, kiedy mnie już tu nie będzie. Bo tak by się stało, gdybym sama tego nie zrobiła.

Jako artystka mam przede wszystkim nadzieję, że kogoś zainspiruję do bycia naprawdę sobą – wydaje mi się, że moja publiczność składa się z ludzi, którzy doświadczają z tego powodu przykrości. Nie jest lekko być autentycznym. Być może moi słuchacze nie zdają sobie sprawy, że to dzięki nim staję się tą osobą, którą rzeczywiście jestem. Na scenie zawsze mogę być prawdziwa.

Poza sceną – nie za bardzo. Nikt mnie nigdy nie rozumiał, nawet ja sama, o ile nie śpiewałam.

Mam jednak nadzieję, że z tą książką będzie inaczej.

Jeśli nie, spróbujcie ją zaśpiewać i zobaczcie, czy to pomoże.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Prolog

HEY, HEY, WE'RE THE MONKEES!

NIM ZACZNIEMY, DLA JASNOŚCI umieszczam tu strukturę mojej rodziny i informacje, kiedy z kim mieszkałam.

Moja matka – Marie, i ojciec – John, pobrali się w 1960 roku i zamieszkali w Crumlin, dzielnicy Dublina, gdzie oboje się wychowali. Trzy lata później urodził się mój brat Joe i wówczas wszyscy przeprowadzili się do zasiedlonego przez klasę średnią Glenageary, daleko, na drugą stronę miasta. Już tam, w 1965, przyszła na świat moja siostra Éimear. A czternaście miesięcy później, w 1966, urodziłam się ja. Następnie, w 1968 roku – mój brat John.

Kiedy miałam dziewięć lat, w 1975 roku, ojciec rozsądnie odszedł od mojej matki z powodów, które będziecie po kawałku poznawać w tej książce. Tacie przyznano opiekę nad nami, więc wprowadziliśmy się do niego i jego nowej miłości, mojej (uroczej) macochy – Violi. Ja i mój młodszy brat mieszkaliśmy tam tylko przez sześć miesięcy, bo tęskniliśmy za matką. Zostałam z nią do trzynastego roku życia, kiedy to z własnego wyboru przeniosłam się z powrotem do ojca. Za sprawą tego, czego doświadczyłam w domu mojej matki, nie byłam jednak w stanie się u niego zaadaptować, więc pod koniec trzynastego roku życia udałam się do miejsca eufemistycznie nazywanego „ośrodkiem rehabilitacji dla dziewcząt sprawiających problemy wychowawcze” (chyba cały świat wie, że ojcu należy się zwrot kosztów mojego pobytu, bo gołym okiem widać, że mi to nie pomogło).

W wieku piętnastu lat opuściłam ośrodek i poszłam do szkoły z internatem w Waterford. Tego lata przyłączyłam się do zespołu. Brakowało mi go, kiedy po wakacjach wyjechałam. Dlatego w grudniu, tuż po szesnastych urodzinach – ku wielkiemu przerażeniu mojego biednego ojca – uciekłam i wynajęłam sobie kawalerkę. Gdy zgodziłam

się wyjąć kolczyk z nosa, który również sobie zafundowałam, tata pozwolił mi zostać w mieszkaniu. Opłacał mi czynsz, ale nie rachunki, więc musiałam poszukać sobie roboty. Geniusz z niego.

Druga żona mojego ojca, Viola, ma trzy córki z poprzedniego małżeństwa. Mam więc trzy przyrodnie siostry. Ma również syna z moim ojcem, Eoina. Mam więc jeszcze brata.

W 1985 roku moja matka zginęła w wypadku samochodowym. Miałam osiemnaście lat. Później tego samego roku, na zaproszenie wytwórni Ensign Records, która chciała podpisać ze mną kontrakt, wyjechałam do Londynu.

Pierwsze dziecko urodziłam w wieku dwudziestu lat, trzy tygodnie przed premierą mojej pierwszej płyty. Mam jeszcze trójkę dzieci i, na razie, dwoje wnucząt.



Sinéad w wieku około pięciu lat
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

PIANINO

BOŻE NARODZENIE SPĘDZAMY W DOMU MOJEJ BABCI ze strony ojca, co zawsze pachnie kapustą (dotyczy to domu, nie samej babci).

Kiedy palą się lampki na choince, gasną wszystkie pozostałe światła na parterze. Dorośli przesiadują w niebieskim cieniu, plecami do salonu, i zajmują się swoimi sprawami. Biegają po schodach w górę i w dół. Jestem tak mała, że nie dostrzegą mnie, jeśli nie spuszczą wzroku. Wchodzenie do salonu mojej babci bez opieki dorosłych jest dla mnie *verboden*. Tam stoi choinka. Udało mi się do niej zakraść i obmacać prezenty, ale tak naprawdę pragnę czego innego.

Pod ścianą stoi stare pianino. Jego klawisze są pożółkłe jak zęby mojego dziadka. Dźwięki mają echo, dziwny pogłos, jak duchy dzwonów zatopionego statku. Często się tam zakradam, bo pianino mnie wzywa. Wprawia powietrze w wibracje w kształcie ogromnych fal, które lekko mienią się kolorami, jakby chciały zwrócić moją uwagę.

Kiedy uderzam w klawisze, pianino brzmi okropnie smutno. Jest opuszczone. Któregoś razu, o zmierzchu, zapytałam je, czemu tak jest. *Bo* jestem nawiedzone, odpowiedziało, i kazało mi przyłożyć ucho do swojego podbrzusza, płaskiego drewnianego panelu, położonego na wysokości goleni pianisty. Przycisnęłam do deski prawy policzek, a pianino rzekło: *Teraz* zagraj kilka nut. I zagrałam, wysoko sięgając prawą ręką, by moja twarz mogła pozostać tam, gdzie była. Pod płynącymi z góry dźwiękami usłyszałam wiele zmieszanych ze sobą głosów, szepczących jeden przez drugi. Nie mogłam wyłapać, co mówiły, tak wiele ich było. Zerwałam się na równe nogi i zapytałam: „Kim oni są?”. Pianino odparło: *Historiq. Utknęli. Nie* mogą się wydostać, kiedy nikt na mnie nie gra, a kiedy wszyscy tak tu siedzą, nie jestem w stanie oddychać. *Nie* przeszkadza mi, jeśli będziesz na mnie źle grać, po prostu potrzebuję dotyku. Graj na mnie cichutko,

łagodnie, lekko, ledwo, ledwo, bo jestem bardzo delikatne, a duchy strasznie obolałe. „Wciąż nie wiem, kim są te wszystkie głosy”, odpowiedziałam. Odparło, że nie chce mi tego wyjaśnić. *To* przez wojnę, powiedziało. *Dziecko* nie powinno nic wiedzieć o wojnie. Ludzie nie mówią, więc ich uczucia fruną ku muzyce. *Duchy* to rzeczy, których ludzie nie chcą pamiętać.

W moim rodzinnym domu w wigilię Bożego Narodzenia klękaliśmy przed szopką w hallu, by umieścić Dzieciątko Jezus w żłóbku. Nie mogło tam spocząć przed północą. Śpiewaliśmy te wszystkie pieśni, które doprowadzały mnie do łez.

Ojciec musiał pomóc mi wstać i odprowadzić mnie po schodach do łóżka. Nie byłam w stanie iść prosto, bo moje ciało opanowały kolędy. Wyginały mnie i skręcały, więc nie mogłam się wyprostować. Mój ojciec rozumie, że płaczę przez piosenki. Nie uważa, że to dziwne. Zamartwiam się, że jestem dziwna, bo muzyka doprowadza mnie do łez i paraliżuje, a jestem tylko dzieckiem. Ojciec śpiewa mi „Scarlet Ribbons”, kiedy już leżę opatulona. Jego głos brzmi bardzo smutno. Często bywa smutny. Jak ja.

Lovely ribbons, scarlet ribbons
Scarlet ribbons for her hair^[1]

Ta piosenka nie mieści mi się w głowie. Jest o aniołach, które istnieją i zostawiły wstążki, i o tym, że modlitwy dzieci zostają wysłuchane, i że *capo di tutti capi* może mieć większą moc sprawczą od rodziców.

Ale ja nie pragnę wstążek, pragnę piosenek, żeby porwały mnie do innego świata. Nie lubię rzeczywistości. Nie chcę do niej wracać po trzech minutach i znów czekać na kolejną okazję, by zniknąć.

DZIADKOWIE

OJCIEC MOJEGO OJCA JEST STOLARZEM. Ptaszarnię, biegnącą wzdłuż ogrodu, zbudował z desek i drucianej siatki. Hoduje w niej kanarki i gołębie pocztowe. Naprawdę go lubię. Jest krągły niż ojciec mojej matki i żartowniś z niego, ma taki smolisty rechet.

Owijalam całą swoją dłoń wokół jego palca wskazującego i ciągnęłam go do ptaszarni, żeby pokazał mi, jak wysyła gołębie z przymocowanymi do łap kapsułkami, w których schowane były liściki, i jak wracają potem bez nich. Dziadek kiedyś zapytał mnie, czy chcę, żeby tłusty ptak wysłał jakąś wiadomość ode mnie, więc kazałam mu napisać: *Cześć, Boże, od Nicponia*.

Kiedy go spytałam, czemu nazywa mnie „Nicponiem”, dziadek wyjaśnił, że nicpoń to urwis, odważny dzieciak, a ja jestem najśmielsza ze wszystkich dzieci mojej matki. Mówiąc to, odchylił głowę do tyłu i zarechotał przepalonym śmiechem. Sam wyglądał jak duże dziecko, miał takie szczęście w oczach. *Lubi* mnie za odwagę. Może sam był najśmielszym ze wszystkich dzieci swojej matki.

Wieczorami dziadek z babcią chodzą sami na kufel portera, bo są w sobie zakochani. Lubię patrzeć, jak znikają w głębi ulicy, kiedy bujam się latem na ich furtce. Tu się poznali, na Frances Street w sercu Dublina, w dzielnicy Liberties, historycznie zamieszkaną przez klasę robotniczą. To tutaj znajdują się Guinness i inne browary.

Kiedy mój ojciec miał dwanaście lat, musieli wynieść się z Liberties do Crumlin, bardziej sypialnianej dzielnicy niedaleko centrum miasta. I tak właśnie rodzice mojego ojca zamieszkali przy tej samej ulicy co rodzice mojej matki, czyli na Keeper Road. Moi rodzice poznali się więc na ulicy, przy której oboje dorastali, dokładnie tak samo jak rodzice mojego ojca.

Ojciec mojej matki jest dostawcą pieczywa i nosi staroświecką czarną kamizelkę z zegarkiem kieszonkowym, długi czarny płaszcz i czarne spodnie. Jest bardzo wysoki i szczupły, więc ogólnie rzecz biorąc, wygląda jak odchudzony de Valera^[2].

Dom jego i babci przypomina większość domów starych ludzi. Cała ściana nad kominkiem obwieszona jest wyblakłymi portretami papieży wraz z Ojcem Pio i Matką Bożą, i Chrystusem. W połowie wąskich schodów wisi kinkiet w kształcie Najświętszego Serca Jezusa. Jest naprawdę przerażający. Nikt nie chce się tam zapuszczać, jeśli nie pali się żadne inne światło.

Ojciec mojej matki nie lubi, kiedy kobiety się malują. Nazywa je „Jezebel”. Jego obelgi zazwyczaj są biblijne. „Judasz!”, krzyczy, kiedy wspomina się o tym czy tamtym. Albo „Chryste nazareński!”. W życiu pragnie tylko ciszy, ale nie umie poprawnie wymówić słowa *quiet*, bo pochodzi z Westmeath. Kiedy za bardzo hałasujemy, wrzeszczy znad gazety: „Quite! Quite!”, przez co wybuchamy śmiechem, a on znowu musi krzyknąć to samo.

Żeby wynagrodzić mu tę udrękę, wieczorami, kiedy jestem z nim sama, stoję za jego fotelem i bardzo delikatnie bujam go do snu. Wymyślam melodie w rytm kołysania, żeby moje ruchy przez cały czas były łagodne, a on się nie wybudził. *Raz-dwa, trzy, raz-dwa, trzy, raz-dwa, trzy* i tak w kółko.



Kitty O'Grady, babcia Sinéad ze strony matki
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

SIERPIEŃ 1977

ELVIS NIE ŻYJE. PŁACZĘ TAK, KURDE, STRASZNIE, że nie jestem w stanie pościelić sobie łóżka. Moje ciało nie chce działać. Przez chwilę staram się zarzucić prześcieradło na materac, ale nie daję rady, ramiona odmawiają współpracy. Próbuję przepęłnić na drugi kraniec, trzymając w obu rękach po rogu płachty, ale nie daję rady, nogi odmawiają współpracy. Będę miała przerąbane u matki, że nie pościeliłam. Za bardzo się wstydzę wyjaśniać, czemu zalewam czystą pościel smarkami i łzami albo dlaczego ciągle opadam na kolana, po czym wstaję. Wydaje mi się, że ona też lubi Elvisa. Pewnie w skrytości ducha wie, czemu się tak rozsypałam. Nie złości się za bardzo o łóżko. W sumie to nie złości się wcale, co jest naprawdę nietypowe.

Teraz, kiedy Elvisa już nie ma, muszę sobie znaleźć nowego ojca. Mój własny ojciec nie umarł, tylko od dawna go nie widziałam, bo moja matka go nie lubi. Prawda jest taka, że nie znoszą się nawzajem. Kiedy są razem, robi się strasznie. Nie jest za to zbyt strasznie, kiedy jesteśmy sami z tatą. Ale moja matka jest inna.

Nie wybieram się jednak na poszukiwanie ojca, bo mam Boga. Modlę się do niego, a on zsyła mi różne rzeczy. Oczywiście, że jest ojcem numer jeden. Ale ja jestem dzieckiem. Potrzebuję ojcowskiego głosu, a Bóg takiego nie ma. Z jakiegoś powodu lubię głosy. Nie wiem czemu. Czasem głosy różnych ludzi sprawiają, że chcę się do nich przytulać. Ale strasznie się boję przytulania.

Moje ciało nie reaguje, kiedy ktoś próbuje mnie obejmować. Mojej cici Lily jest przez to przykro. Lubię ją i naprawdę chcę się do niej tulić. Ale paraliżuje mnie strach, a w głowie widzę górę wilków, każdy uwalany krwią tak bardzo, że nie mogą się ruszać, i tylko jeden z nich

biega dookoła, ten, który był na samym spodzie, kiedy wydarzyło się to coś, co się wydarzyło. On jedyny jest czysty. Szuka pomocy.

Od jakiegoś czasu nie widuję też mojej babci, matki mojej matki. Ma łagodny, miły głos. Lubi mnie. Mówi, że jestem uczciwa i żebym nigdy nie przepraszała, jeśli nie jest to szczere. Pozwala mi jeść wszystko, czego nie powinnam. Potrafi mnie uspić samym tylko patrzeniem w oczy, kiedy leżę opatulona w łóżku. Lubię tykanie jej zegara – sprawia, że słyszę muzykę. Nie widziałam jej chyba od szóstego roku życia. Specjalnie przejechała wtedy długą drogę z Keeper Road, autobusem z przesiadkami, żeby przywieźć mi prezent urodzinowy. Moja matka nie wpuściła jej do domu. Babcia płakała i stała w drzwiach, patrząc, jak siedzę na schodach z oczami wielkimi z przerażenia. Błagała moją matkę. Chciała mnie zobaczyć. Była w swoim brązowym płaszczu. Dała mamie mój prezent. Mama powiedziała, że mogę otworzyć go na schodach, a potem babcia będzie musiała sobie pójść, i że nie może wejść do środka mimo grudniowego ziąbu. Babcia lubi moje urodziny, bo wypadają w święty dzień, a ona kocha Boga tak samo jak mnie.

Miałam na sobie białą piżamę w tygrysy. Uwielbiałam ją. Uśmiechnęłam się do babci oczami, bo wiedziałam, że nie mogę pozwolić, by uśmiechnęła się moja twarz. Babcia zrobiła to samo. Ale jej twarz była zalana łzami. I, jak już powiedziałam, nie widziałyśmy się od tamtej pory. Właściwie to zaczęłam palić, bo ona paliła, a ja lubiłam jej zapach. Dużo się modlę, jak mi kazała. Kocham Boga, jak mi kazała. Proszę go tylko o to, by ze mną był.

Pewnego dnia schodzę na dół, już po śmierci Elvisa, i słyszę głos miłego mężczyzny, który śpiewa do dziewczyny, że nie musi już płakać. Podchodzę do adaptera. Każę mojemu bratu Joemu puścić tę piosenkę ponownie. „Kto to?”, pytam. „Bob Dylan”. Widzę go na okładce płyty i jest tak piękny, jakby Bóg wypuścił swe tchnienie z Libanu i jego oddech zamienił się w mężczyznę.

Nie wolno mi dotykać płyty, kiedy mojego brata nie ma w domu. Czekam codziennie w oknie, bo brat pracuje w wakacje. Wybiegam na ulicę i za róg, by go wpatrywać. Nigdy nie wiem, kiedy wróci.

Kiedy go nie ma, nie jest bezpiecznie. Moja matka nie lubi małych dziewczynek.

Podoba mi się, jak śpiewa ten cały Dylan. W myślach nazywam go Mężczyzną z Libanu. Na piersi ma puste nosidełko dla dziecka. Wślizguję się do niego. Jego głos przypomina kocyk. Jest bardzo czuły i kocha dziewczynki. Mogę zasypiać na jego piersi.

No więc przestałam już pukać ludziom z Glenageary do drzwi z pytaniem, czy mogę zostać ich dzieckiem. Robiłam to z przerwami, odkąd skończyłam jakieś sześć lat. Zawsze w końcu i tak przyprowadzali mnie z powrotem do domu, myśląc, że moja matka jest jak każda inna. Dylan nigdy nie dałby się oszukać. Niektórzy częstowali mnie ptysiami serowymi i różnymi takimi. Jedna rodzina miała akurat imprezę składkową, kiedy do nich zapukałam. Miła pani wpuściła mnie do środka, bo płakałam. Powiedziała, że nie może mnie zatrzymać, ale zaprosiła mnie na trochę. Postanowiłam więc posiedzieć pod stołem, bo było tam strasznie dużo ludzi. Dała mi bardzo dużo jedzenia. Wolałabym u niej zostać. Gdy odprowadziła mnie do domu, moja matka nam otworzyła i zachowywała się bardzo miło. Bob jest o wiele lepszym tatą od Elvisa, tak w ogóle. O tym właśnie myślałam przez ten cały czas, kiedy stałam plecami do ściany, a ona kopała mnie w brzuch.



Sinéad w sukience komunijnej
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

LOURDES

DOPIERO CO, BO PIĘĆ DNI TEMU, WRÓCILIŚMY Z LOURDES. Było dość dramatycznie. Powiedzmy, że moja matka przeszła „epizod”, po którym zwabiłam do niej księdza, ściągnęłam go za rękę, żeby przyszedł i jej pomógł, bo w sumie pojechaliśmy tam właśnie po to.

Cóż, to ja pojechałam tam właśnie po to. Cała reszta musiała się dostosować, bo poprosiłam o tę wycieczkę w ramach prezentu z okazji bierzmowania. Chodziło o to, żeby zasugerować matce Jezusa, czy może by nie pomogła mojej. Nie powiedziałam nikomu, że tak to sobie wykombinowałam. Pomysł z wycieczką zwalili na karb mojej obsesji na temat Lourdes, o którym czytałam od lat. Powiedziała mi o nim babcia przy okazji moich urodzin, dlatego że na drugie mam Bernadette, tak samo jak dziewiętnastowieczna dziewczyna, która ujrzała tam Matkę Boską.

Przyszedł dzień planowanego powrotu z Lourdes do Dublina, a wciąż nie pojawił się lek na obłęd mojej matki, więc około szesnastej postanowiłam udać się na polowanie na księdza. Upatrzony delikwent zostały przywleczony przeze mnie za rękaw, bo nie był tak chętny do roboty, jakbym sobie tego życzyła. Zgarnęłam go, kiedy szedł w słońcu wzdłuż bram bazyliki, dzierżąc gazetę. Zmiękł kompletnie, bo nie był w stanie sobie ze mną poradzić (zrobiłam wielkie oczy). Gapił się na mnie, jakbym była nienormalna, bo wierzyłam, że w Lourdes mogą wydarzyć się cuda, choć przecież właśnie taką koncepcję miał sprzedawać na zlecenie swoich szefów.

Matce powiedziałam, że idę na lody, więc jedną ręką popychając księdza, a drugą trzymając go za mankiet – żeby mi się nie wywinął, nauczyłam go wyssanej z palca bajki o tym, jak się spotkaliśmy, którą teraz miał wcisnąć mojej matce. Miałam tylko nadzieję, że będzie wiarygodny, nie jak w przypadku tej historyjki o Lourdes.

Ksiądz idzie więc do jej pokoju. Ja czekam w małym hallu hotelowym i przyglądam się ładnym Francuzkom, które bardzo się starają, żeby nie wyglądać ładnie, skoro są w Lourdes. Ksiądz schodzi po chwili z gazetą pod pachą i czarnym kowbojskim kapeluszem na głowie. Jego zielone oczy są szkliste, a wzrok wbity w podłogę. Kiedy przeciska się obok mojego fotela, daje mi znak głową, że mam pójść za nim na zewnątrz. „Nic nie mogę dla niej zrobić”, mówi i każe mi się modlić, aż skończę osiemnaście lat i opuszczę dom, chyba że uda mi się odejść wcześniej.

Myślę sobie: *No, pięknie. Beznadziejny* ksiądz. Jak to do cholery możliwe, że go tu przystali?

Wiecie, bo kilka lat wcześniej sama doświadczyłam własnego cudu z Lourdes. Miałam kurczawkę, brodawkę wirusową. Obok małego palca na lewej stopie. Wielkie, bolesne cholerstwo z czarnym środkiem. Zachowywało się jak dziewczyna ze starej piosenki ludowej, ta, co kocha Anachiego Gordona – jej serce było niewzruszone.

Miałam zaklepany termin w szpitalu na chirurgiczne usunięcie paskudztwa. Oznaczało to chwilę ogromnej chwały, bo miałam być rozpieszczana jak nie wiem co przez przynajmniej dwa dni, wszyscy by mi współczuli i byłiby nad wyraz mili, nie mówiąc już o tym, że miałam dostać kilkudniowe zwolnienie ze szkoły, a w szpitalu na pewno dawaliby lody i galaretkę.

W wieczór przed przyjęciem na oddział matka zabrała mnie do łazienki i posmarowała mi kurczawkę odrobiną świętej wody z Lourdes, którą dała jej kilka lat wcześniej moja babcia. A rano kurczawki nie było. Zniknęła bez śladu, nikt by się nie domyślił, że miałam tam jakąś zmianę. Dlatego ja, w przeciwieństwie do mojego kolegi-księdza, wiem, że cuda związane z Lourdes się zdarzają.

Do Lourdes pojechaliśmy z biurem podróży. Odebrano nas z lotniska autokarem wycieczkowym. Podróżowaliśmy z około dwudziestką innych osób z naszej objazdówki. Bo nie byliśmy wyłącznie w Lourdes. Najpierw pojechaliśmy do miasteczka o nazwie Nevers, żeby zobaczyć klasztor, w którym mieszkała i umarła święta Bernadetta po tym, jak odwiedziła ją Najświętsza Panienka.

Mieli tam małe ciałko Bernadetty, wystawione w szkatule jak z Królowy Śnieżki, i codziennie ustawiała się kolejka chętnych, by je

zobaczyć. Groteskowy żywy obraz. Przypominało mi to zoo w Dublinie. Mieli tam krokodyla w terrarium o długości i szerokości jego ciała, przez co nie mógł się poruszać. Był prawie całkowicie pokryty wodą, wystawał z niej jedynie jego grzbiet. Nad terrarium, pod sufitem, znajdowała się szczelina. Odwiedzający wrzucali przez nią monety, celując w grzbiet zwierzęcia, żeby sprawdzić, czy się zdenerwuje tym, że nie może nawet drgnąć. Ciekawe, co pracownicy zoo zrobili potem z tą całą forszą.

W ciągu trzydziestu lat po śmierci Bernadetty w 1879 roku, trzykrotnie wykopywano jej ciało, by podebrać fragmenty kości na ołtarze. Wygląda na to, że ołtarz nie jest święty, o ile nie zawiera części ciała nieboszczyka. Dla mnie brzmi to raczej diabelsko niż bosko.

W drodze towarzyszył nam przewodnik zwany J. Pracował dla naszego lokalnego biura podróży i był dla mnie bardzo miły. Siedział z przodu i trzymał mikrofon, żeby mówić ludziom, co zobaczą, jeśli wyjrzą przez lewe lub prawe okno. Inicjował wiele wspólnych śpiewów i moja matka zgłaszała mnie kilka razy z piosenką *Scarborough Fair*, którą posłusznie wykonywałam z wielkim uczuciem, ponieważ w skrytości serca zakochałam się w J. Było mi smutno, kiedy wróciliśmy do domu, bo tęskniłam za widywaniem go każdego dnia.

Cierpiałam i śpiewałam tę piosenkę w samotności. Aż pewnego dnia mi to zbrzydło i postanowiłam przemaszerować te ponad trzy kilometry, czy jakoś tak, do biura podróży, by wyznać mu miłość i poprosić, żeby się ze mną ożenił.

Choć dotarłam tam w porze lunchu, J. siedział przy swoim biurku i rozmawiał przez telefon. Serce zaczęło mi walić z przerażenia. Nie przyszło mi wcześniej do głowy, że on może mieć żonę. Może to właśnie z nią rozmawiał. Odłożył słuchawkę i dostrzegł mnie w drzwiach. Zaskoczony, że dziecko samo przyszło do biura zamówić wycieczkę, kiwnął dłonią, żebym weszła.

Powiedziałam, że muszę z nim porozmawiać na osobności. J. zaprowadził mnie do małej kuchni, posadził przy tymim okrągłym stoliku, nalał szklankę mleka i zapytał, czy chcę ciasteczka, ale ja nie mogłabym nic przełknąć, bo tak mnie mdliło z miłości.

Spodziewałam się, że nie znajdę w sobie odwagi, aby się odezwać, więc wyciągnęłam deklarację swoich uczuć – na piśmie. Czytał ją

z niegasnącym uśmiechem, promienie słońca wpadające przez otwarte okno prześwitywały przez jego uroczy brązowy zarost. Kiedy skończył lekturę, ostrożnie złożył mój list i zapytał, czy może go zachować. Powiedział, że to była najśodsza rzecz, jaką w życiu przeczytał, ale jest o wiele za stary, żeby się ze mną ożenić, albo nawet być moim chłopakiem, bo ma trzydzieści lat. Pewnego dnia poznam jednak chłopaka w moim wieku i tak będzie lepiej.

Dodał też, że należy do mężczyzn, którzy kochają innych mężczyzn. Nigdy nie słyszałam o czymś takim, więc musiał mi trochę powyjaśniać. Wytłumaczył mi, że czasem Bóg stwarza mężczyzn, którzy zakochują się w mężczyznach, i kobiety, które zakochują się w kobietach. Poprosił, żebym zachowała to, co powiedział, dla siebie, bo ludzie niespecjalnie się zgadzają na istnienie mężczyzn kochających mężczyzn. I że często nie uznają tego, co Bóg kocha, i czasami nie kochają tego, co kocha Bóg.

J. powiedział mi, żebym nigdy nie wierzyła, że jakakolwiek miłość jest zła, jeśli tylko jest prawdziwą miłością, i żebym zawsze miała tyle odwagi, żeby powiedzieć komuś, że go kocham, bo to, że wyznałam mu miłość, było aktem odwagi, który go bardzo uszczęśliwił. Powiedział, że jeśli się zdarza, że dorosły zachowuje się wobec dziecka jak jego chłopak, to jest to coś złego, więc od dziś mam już więcej nie wyznawać dorosłym mężczyznom miłości, bo nie wszyscy dorośli mężczyźni są równie godni zaufania co on.

Kiedy zapytał mnie, czemu się w nim zakochałam, odparłam, że dlatego, że był łagodny. Odpowiedział mi, że mam zawsze pilnować, żeby każdy, kogo kocham, taki był. Dodał jeszcze, że mogę przychodzić do niego, kiedy tylko chcę, na mleko i herbatniki, i że będzie moim przyjacielem.

Więc nie było mi przykro, bo dzięki mnie J. się uśmiechał i był dla mnie taki miły. Wracalam do domu niezwykle dumna, że byłam tak odważna, i już sobie wyobrażałam, jaki mógłby być mój przyszły chłopiec. Niedaleko mnie mieszkał pewien Gary, który ciągle zapraszał mnie, żebym poszła z nim na dyskotekę do wrotkarni. Nie zapytałam jeszcze mojej matki, czy mnie puści, bo jest bardzo surowa, ale może to zrobić.

MOJA CIOTKA FRANCES

MA SZESNAŚCIE LAT, A JA SZEŚĆ. Ma zespół Downa. W tygodniu mieszka w domu opieki z zakonnkami przy Navan Road, bo babcia i dziadek są zbyt starzy, żeby się nią odpowiednio zajmować. Ale na każdy weekend przyjeżdża do domu, a ja ją uwielbiam. Jest jak wielkie, chodzące serce – kocha wszystko i wszystkich. Nie ma w niej żadnego zła, tylko samo dobro. Jest bardzo wybredna i wytworna. Ma tycie dłonie jak jej siostra, a moja matka, i jest jedyną osobą, którą moja matka ubóstwia.

Często jestem u babci, kiedy Frances przyjeżdża do domu na weekend. Babcia wyjmuje żółty adapter dziadka, który wygląda jak walizka, i zaciąga mnie na górę, do pokoju ciotki, po czym zamyka za nami drzwi. Frances ma stosik płyt, wyłącznie irlandzkich piosenkarzy pop: Luke’a Kelly’ego i Danny’ego Doyle’a – w którym się kocha. Pyta mnie: „Czy on nie jest uroczy? Czy on nie jest uroczy?”, tym swoim zabawnym głosikiem, przez nos. Muszę się zgodzić, że jest uroczy, bo inaczej pacnie mnie przez głowę. Chociaż nie jest uroczy ani trochę. Ma brodę i wygląda, jakby pił za dużo piwa.

Frances kładzie adapter na łóżku i za każdym razem, gdy puszcza płytę, każe mi wziąć do rąk okładkę i czytać głośno każde słowo na niej wydrukowane, z przodu i z tyłu, w środku i na zewnątrz. Jeśli nie jestem w stanie wymówić jakiegoś wyrazu, pomaga mi, chodząc po pokoju jak nauczycielka. Każe mi też dotykać każdego milimetra opakowania płyty: palcami, dłońmi, a nawet policzkami. Jeśli nie robię tego powoli i nie dotykam każdego milimetra – pac, obrywam.

Ma mnóstwo lalek niemowlaków, które uwielbia. Szyje im sukienki. Pomaga jej moja matka, bo zanim wyszła za mąż, była krawcową, ale już nie jest, bo w Irlandii kobiety nie mogą pracować po ślubie.

Ulubiona lalka Frances ma na imię Brenda. Pewnego razu niechcący zepsułyśmy z siostrą Brendę i Frances nigdy nam tego nie wybaczyła. Kiedy tylko nas widzi, mówi: „Zepsułyście Brendę”. Rozumiem, jak się czuje, bo pewien kuzyn odgryzł dziób mojej ulubionej maskotce – pingwinowi Charliemu, którego przywiózł mi tata, kiedy wyjechał gdzieś do pracy. Teraz nie lubię tego kuzyna i już nigdy się do niego nie odezwę. Frances jest o wiele miłsza ode mnie.



W szkole podstawowej w Dublinie
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

POCIĄG

W TYM TYGODNIU WRÓCIŁAM DO SZKOŁY po trzech miesiącach przerwy. Potem kilka razy udawałam, że mdleję przy biurku, żeby zakonnice odesłały mnie z powrotem do domu. Tak strasznie się o mnie martwią po tym, co się wydarzyło, że wystarczają występy na poziomie Złotych Globów, nie muszą być godne Oscara.

Cudnie! Gdybym zbyt często mrugała, to już by pewnie mnie odesłały. Zazwyczaj jestem uznawana za niegrzeczną, bo ciągle kradnę innym lunche (szczególnie kanapki z masłem orzechowym), wynoszę coś ze sklepu z sukienkami albo częstuję się pieniędzmi na słodycze z torebek wiszących w pokoju nauczycielskim.

Siostra Clothilde regularnie prowadzi mnie do kaplicy. Mam się tam modlić, aby opuściły mnie złodziejskie skłonności. Na razie to nie działa. Ale to dlatego, że moja matka lubi, gdy kradnę.

Pani Sheils, nauczycielka, pyta mnie, czy to matka każe mi to robić, ale odpowiadam, że nie. Pyta też, skąd się wzięły siniaki na moich nogach albo dlaczego miałam kiedyś podbite, spuchnięte oko.

Mówi: „To twoja matka, prawda?” Ale ja zaprzeczam.

Gdyby matka się dowiedziała, że komuś coś powiedziałam, zamordowałyby mnie. Żle się czuję, okłamując panią Sheils, bo jest kochana. Nie wiem, dlaczego mnie lubi, ale tak jest. Chciałabym być jej. Chciałabym codziennie po południu wracać z nią do domu. Za każdym razem, kiedy mówię, że to nie moja matka, pani Sheils wygląda, jakby miała się rozpłakać. Jej twarz robi się cała czerwona, a ona sięga głęboko do torebki i wyjmuje pieniądze na słodycze, i tak delikatnie klepie mnie po buzi jak moja babcia.

Jestem zazdrosna, kiedy patrzę, jak matki obejmują inne dziewczyny ze szkoły Merrion Avenue i tak się z nimi przechadzają. To dlatego,

że jestem dzieckiem, które płacze ze strachu w ostatnim dniu lekcji, przed letnimi wakacjami. Muszę udawać, że zgubiłam swój kij do hokeja na trawie, bo wiem, że matka będzie mnie nim tłukła przez całe lato, jeśli go wezmę do domu. Ale ona zamiast niego bierze kij od szczotki. Każe mi rozebrać się do naga, położyć na podłodze, rozłożyć nogi i ręce, a wtedy okłada mnie miotłą po miejscach intymnych. Każe mi raz po raz powtarzać: „jestem niczym”, bo w przeciwnym razie nie przestanie mnie tłuc. Mówi, że chce roztrzaskać mi łono. Każe mi siebie błagać o „zmiłowanie”. W przedszkolu zdobyłam kiedyś nagrodę za umiejętność zwinienia się w najciaśniejszą kulkę, ale moja pani nigdy się nie dowiedziała, czemu tak dobrze umiałam to zrobić.

Kocham Jezusa, bo ukazał mi się w głowie pewnego wieczoru, kiedy matka robiła mi to na podłodze w kuchni. Byłam naga, cała obsypana płatkami śniadaniowymi i kawą w proszku. Matka mówiła mi te wszystkie przerażające rzeczy, a ja leżałam zwinięta, żeby mogła mnie kopać w pupę. Nagle w moich myślach ukazał się Jezus, na niewielkim, kamienistym pagórku, na Swoim krzyżu.

Nigdy Go nie wzywałam, sam przybył. Miał długą białą szatę, a z Jego serca płynęła krew, w dół szaty, w dół pagórka, a potem na podłogę w kuchni i do mojego serca. Powiedział, że odda mi całą krew, jaką odebrała mi matka, i że Jego krew sprawi, że moje serce będzie mocne. Więc po prostu skupiłam się na Nim. Kiedy matka skończyła ze mną, leżałam na podłodze, aż byłam pewna, że zamknęła za sobą drzwi do sypialni. Wtedy posprzątałam to wszystko, co porozrzuciła, i nakryłam stół do śniadania.

Pewnego razu przyszedł do mnie też Duch Święty i posiedział ze mną, choć o to nie prosiłam. Tak to się potoczyło:

Brakowało mi guzika u sukienki, która kiedyś należała do mojej siostry. A miałyśmy wyjechać na weekend do przyjaciółki mojej matki. Znowu pobiła mnie gołą, a potem zabrała mi żarówkę z pokoju, zamknęła mnie w nim i pojechała z całą resztą. Kiedy się boję, znajduję kawałki papieru i piszę, bo nie wolno mi mówić, że jestem wściekła na matkę. Piszę więc, a potem drę kartki na maleńkie kawałeczki i zjadam, żeby ich nie znalazła.

To było w piątek. Kiedy się ściemniło, po omacku przeszukałam pokój, aż znalazłam kartkę i ołówek. I pisałam do Boga. Prosiłam,

Błagam, pomóż mi. Klęczałam na podłodze, twarzą do łóżka. Wtedy kątem oka ujrzałam małą białą i bardzo mglistą chmurkę, która przycupnęła po mojej lewej stronie, troszkę za mną, i została tam przez całą noc.

Ale Duch nie wrócił już więcej.

Nie jadłam nic przez cały weekend i sikałam na podłogę. Kiedy matka wróciła, wściekła się i stłukła mnie za to. Musiałam później tego dnia pojechać do szpitala, bo koszmarnie bolał mnie brzuch. Miły młody lekarz powiedział: „Dziecko nie jadło”. Matka odrzekła, że jadłam gulasz, ale tak wcale nie było.

Jeszcze innym razem, wcześniej, zamknęła mnie i wyjechała, ale w nocy przyjechał tatuś, wyłamał drzwi i zabrał mnie do lekarza. Nie wiem, skąd wiedział, że tam jestem. Zmartwił się, kiedy zobaczył tę całą zakrzepłą krew na mojej twarzy. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele w samochodzie.

Często też zamykała mnie pod schodami.

Kiedy jestem w domu, słyszę w głowie, jak pani Sheils woła moje imię.

Słyszę też Siostrę Clothilde – robi to samo. Nie wiem, czy ona mnie lubi. Wydaje mi się, że trochę tak. Po prostu nie jest typem osoby, która się dużo uśmiecha – to dyrektorka, więc myślę, że jej nie wolno. Bycie zakonnicy musi być strasznie przygnębiające. Naprawdę boję się, że Bóg sprawi, że będę chciała być jedną z nich. Regularnie modłę się o to, żeby tego nie robił, chociaż czuję pewne powołanie do pracy dla Niego, bo jest dla mnie taki dobry.

Ostatni raz głos Clothilde słyszałam w mojej głowie w domu, kiedy zostałam wysłana do łóżka w dzień, bo powiedziałam, że księżniczka Anna „chodzi z brzuchem”. Byłam strasznie wściekła, że mama to zrobiła. Aż tu nagle pojawił się głos Clothilde, a gdy spojrzałam na zamknięte drzwi mojego pokoju, klamka ugięła się do samego końca i drzwi się otworzyły, ale nikogo za nimi nie było. Zeszłam do salonu, żeby zapytać matkę, czy je otwierała. Odparła, że nie wchodziła na górę, więc nie wiem, kto to zrobił. Może naprawdę to była Clothilde.

Niedługo potem, na Blackrock Station, czekałyśmy z siostrą po szkole na nasz pociąg do Glenageary. Przez stację przemknął z pełną prędkością pociąg, a jadący nim około czternastoletni blondyn, w szarym mundurku szkolnym, niespodziewanie otworzył drzwi, które otarły prawy bok mojej głowy.

Tak strasznie krwawiłam, że mój szary szkolny płaszcz był przesiąknięty krwią od ramion po kolana, ale wsiadłyśmy z siostrą do naszego pociągu, wysiadłyśmy na naszej stacji, po czym jakieś półtora kilometra szłyśmy wzgórzem do domu. Matka była wściekła, że nie zachowałam biletu, bo mogłaby pozwać tych ludzi od pociągów. Przyszedł doktor i, kiedy leżałam na kanapie, założył mi na głowie szwy. Miałam bardzo długie włosy. Jak skończył szyć, były pełne skrzepów, ale powiedział, że z jakiegoś powodu nie wolno mi ich myć przez miesiąc. Strasznie potem cuchnęły. Powiedział też, że mam spać u matki w pokoju – a ona miała mnie pilnować na wypadek, gdybym straciła przytomność. Było mi wtedy u niej bardzo miło. Pościeliła mi na podłodze. W ciągu dnia, kiedy inni byli w szkole, uczyła mnie szyć na okrętkę i robiła mi mleczne koktajle z bananami.

Dlatego, kiedy wróciłam do szkoły, zaczęłam udawać, że mdleję. Żeby mnie zatrzymała w domu i kochała.

ZATRACONA W MUZYCE

POPROSIŁAM LEKARZA MOJEJ MATKI, żeby zabrał ją do szpitala. To było po tym, jak uciekł mój brat Joe, a policja wysłała za nim list gończy, bo mama to zgłosiła. Wtedy Joe zgodził się z nią spotkać niedaleko naszego domu.

Mama zabrała mnie ze sobą samochodem. Mój brat wsiadł i powiedział jej, że nigdy do domu nie wróci. Odparła, że jeśli tego nie zrobi, to ona posadzi mnie na fotelu pasażera i ruszy pod prąd, żeby zrobić mi krzywdę i zmusić go do powrotu. Nie uwierzył jej. Wysiadł z samochodu i sobie poszedł.

A wtedy to zrobiła. Posadziła mnie na fotelu pasażera i celowo skręciła w jadący z naprzeciwka samochód. Szczęśliwie nic nam się stało. Ale wydarłam się na nią.

Kiedy wróciłyśmy do domu, zadzwoniłam do jej lekarza. A on przyjechał i powiedział, że dla naszego dobra umieści ją na oddziale.

Mamy z rodzeństwem zakaz odwiedzania matki w szpitalu. Cieszę się, bo to oznacza, że nie muszę jej mówić, że wyrzucili mnie z pracy w kawiarni. Przyłapali mnie na kradzieży pięćdziesięciu czterech pensów, ale od początku zdawali sobie sprawę z tego, że mam lepsze ręce. Nie mogę przestać tego robić. Zwolnili mnie ze sklepu z ubraniami, bo kradłam spódnice i kardigany dla matki. Wszyscy załatwialiśmy sobie pracę na wakacje i Wielkanoc. Zazwyczaj w restauracjach. Kłamaliśmy w kwestii wieku.

Jesteśmy w domu sami przez prawie całe lato, odkąd wzięli matkę do szpitala, nikt do nas nie zagląda – nawet tamten lekarz, nikt. Zajebicie się bawimy, najlepiej w życiu.

Chcę być baletnicą. Tak strasznie kocham balet. Nie robię nic innego, tylko rysuję stopy w różowych lub czerwonych pointach. Tańczę w nich, chociaż to dla mnie za wcześnie – moja nauczycielka by się

martwiła. To naprawdę fatalne dla stóp, ale kocham to tak strasznie, że nie mogę przestać. Wstydzę się tańczyć przed ludźmi, ale kiedy jestem sama, mogę robić, co tylko chcę. Moje pointy są różowe, mają satynowe wstążki i kocham je najbardziej na świecie.

Poszłyśmy z siostrą do szpitala Rotunda poprosić o gips, żeby zrobić odcisk baletek, ale lekarz powiedział nam, że w Rotundzie tylko rodzą się dzieci i nie mają tam żadnego gipsu.

Strasznie kocham Margot Fonteyn. Jest taka piękna. Rysuję kredkami *Ognistego* ptaka. Uwielbiam Rudolfa Nureyeva. A kiedy tańczą razem, wyglądają jak jeden ptak – gołębicą.

Kiedyś, na Boże Narodzenie, dostałam od matki ogromną książkę o Margot Fonteyn. Odrysowuję zdjęcia ołówkiem przez kalkę, a potem przenoszę je na prawdziwy papier i koloruję flamastrami.

Ale moja nauczycielka baletu mówi, że muszę przestać przychodzić na lekcje do czasu, aż nie skoryguję pleców. Mówi, że są od tego specjaliści. Przez całe życie mój kręgosłup był zgarbiony i powyginany. Nie jestem w stanie go wyprostować. Moja nauczycielka mówi, że pogorszyło mi się po wypadku z pociągami. Dała mi list do matki.

Kiedy słyszę muzykę baletową, cały świat kręci się wokół mnie jak krąg derwiszów, których widziałam w telewizji. Z tym że oni kręcą się tak szybko, że nie mogę ich odróżnić. Dostrzegam planety i kosmos, jakieś róże i zielenie, jasne i ciemne błękity, i czerwień, i rozbłyśki. Ale to są przezroczyste kolory, takie mgliste.

Tak pisałam jako dziecko:

*W muzyce jest ktoś jeszcze, lecz nie osoba
Sięga po moje dłonie, chce wirować
Jest ciemnoniebieski i zielony, z wszechświata składa się
Pragnie chwycić mnie ramionami w pasie
Chce ze mną tańczyć i kręcić mną
Wydaje się mnie znać, lecz kim jest on*

Kocham też muzykę disco, Sister Sledge i tak dalej. Słyszałam wiele piosenek w radiu w samochodzie, zawsze oglądamy też *Top of the Pops*. Uwielbiam *54-46 Was My Number*. Ubóstwiam kawałki reggae:

Israelites i *Uptown Top Ranking*. Nigdy nie słyszałam żadnego reggae poza tymi trzema piosenkami – uwielbiam je.

Szkoda, że nie wiedziałam, co znaczy *strictly roots*^[3] z *Uptown Top Ranking*.

Słyszałam też the Impressions, mają taką piosenkę *Fool for You*, o mężczyźnie, który kocha kobietę, ale ona jest dla niego wredna. Sprytnie zrobili, że ten kawałek brzmi, jakby głupek chodził tu i tam.

Ubóstwiam też Davida Bowiego. Widziałam go w programie Marca Bolana. Nie wiem, co myśleć o Marcu Bolanie, bo robi wrażenie, jakby kogoś udawał, ale David Bowie nie udaje. Nie jest nudny ani drętwy i nie śpiewa, jak każą nauczyciele. Ma swój własny głos. Marco Bolan ma cudzy. Myślę, że nie lubi samego siebie, bo nie potrzebowałby cudzego głosu, gdyby lubił swój własny.

Widziałam w telewizji jeszcze jednego faceta od reggae, nazywał się Bob Marley. Nosił niebieską koszulę, a jego włosy były naprawdę długie i całe w strąkach. Było bardzo późno, a ja nie spałam. Śpiewał o mieszanu czegoś, *stirring up*^[4], ale nie wiedziałam, co ma na myśli.

Mój brat Joe puszczał mi muzykę z radia Ireland's Radio Nova^[5], *Stairway to Heaven* i *Freebird*. Uwielbiam obie piosenki, szczególnie tę drugą. Pierwszej nie rozumiem, bo tekst opowiada o jakiejś pani, co kupuje schody, ale ty nie możesz.

Razem z Joem włączymy na dach garażu i szalejemy do *Freebird* i piosenki o psach husky, które sikają na żółty śnieg. Bawimy się, że mamy zespół. Kiedy nikogo nie ma, włączę tam sama i szaleję do *Honky Tonk Women*. Po prostu macham sobie długimi włosami po twarzy jak metalowcy.

Uwielbiam Sex Pistols. Uwielbiam *Anarchy in the UK*. I *Pretty Vacant*. I „God Save the Queen”. Kocham też the Boomtown Rats i Stiff Little Fingers. Te wszystkie wrzaski, po prostu je kocham.

W rzeczywistości nie wolno mówić, że jest się wściekłym, ale w muzyce można powiedzieć wszystko. Kocham hałaśliwe gitary elektryczne. Brat puścił mi piosenkę Boba Dylana pod tytułem *Idiot Wind*. Jest pełna gniewu, a Dylan wyśpiewuje komuś masę wrednych rzeczy. To bardzo odważne. Nie udaje, że jest zawsze miły.

Jakiś czas wcześniej znalazłam w garażu zepsute radio tranzystorowe. Wydaje mi się, że mogło należeć do mojego dziadka. Nie jestem pewna, ale jest naprawdę stare. Rozłożyłam je na części, poskładałam i działa! Nie wiem nawet, jak tego dokonałam. Wsuwam je pod poduszkę i słucham cichutko nocą. Lubię piosenkę o słońcu w pochmurny dzień, inną o łzach klauna i jeszcze jedną, pod tytułem *Just My Imagination*. Lubię też the Supremes. I Raya Charlesa. I Elvisa Costello, i Dire Straits.

U mojej matki ciągle gra narodowe radio irlandzkie, RTÉ^[6]. Jest strasznie nudne i przygnębiające. Nigdy nie puszczają wesołej muzyki ani nie rozmawiają o niczym wesołym. Nic, tylko naprawdę smutne piosenki, jak ta o nauczycielu plastyki, który mówi chłopcu, że kwiaty muszą być zawsze czerwone, albo inna pod tytułem *Tears on the Telephone*. A w telewizji RTÉ występują też zespoły muzyczne. Są koszmarnie. To Irlandczycy, ale grają okropne covery piosenek country and western, noszą straszne, lśniąco stroje i wykonują durne piosenki taneczne, jak ta zespołu the Shadows.

Ale przede wszystkim to w RTÉ przez cały dzień jest gadanina. Nudne, głupie, smutne albo staroświeckie tematy. Dużo też o wojnie na północy – to w wiadomościach. Strasznie się boję, kiedy słyszę o bombach i pożarach, i krwawiących staruszkach, i krzykach, i czołgach, i żołnierzach, i ludziach rzucających przedmiotami, i nawet małych dzieciach na ulicach, które na to wszystko patrzą.

I ten straszny facet przebrany za księdza, Ian Paisley^[7], który wrzeszczy, aż mu oczy wyskakują z orbit. Jestem przekonana, że jest diabłem, bo moja matka mawia, że diabeł zawsze chodzi ubrany jak ksiądz. Kiedy go widzę w telewizji, nie mogę nawet drgnąć. Nie lubię, kiedy się pojawia, a nie ma mojego ojca obok. Lata temu, kiedy byłam mała, musiałam raz tatę zawołać, bo oglądałam Flipa i Flapa, i Flip spłynął przez odpływ w wannie, i bardzo się zdenerwowałam. Szkoda, że nie był to ten facet Paisley.

Telewizja RTÉ co wieczór przed końcem programu puszcza hymn narodowy i wszyscy musimy stać.

Jest jeden naprawdę rozpaczliwy program w radiu, w którym pani o imieniu Frankie i bardzo głębokim, ochrypłym głosie, czyta listy

od osób, które miały złych chłopców. Żli chłopcy to tacy, którzy nie proszą swoich dziewcząt o rękę albo tacy, którzy chcą iść z nimi do łóżka przed ślubem. Czyta też listy mężczyzn, którzy są zbyt nieśmiali, żeby oświadczyć się swoim ukochanym. I listy z historiami o złamanym sercach, śmierciach lub tragicznych stratach.

Rozgłośnia puszcza też bez przerwy tę żalną piosenkę Marianne Faithfull, tę, w której śpiewa „kiedyś o tobie zapomnę”^[8]. Moja nieszczęsna matka kupiła tę płytę. Jeszcze raz to usłyszę i oszaleję. Ona może zapomni o moim ojcu, ale ja nigdy nie zapomnę, jak zmuszała mnie do wysłuchiwania czegoś tak koszmarnego.

To samo dotyczy piosenki Shela Silversteina *The Ballad of Lucy Jordan* w wersji Faithfull, o kobiecie, która postradała zmysły.

Mam teraz nową pracę. W klubie nocnym. Ponieważ facet mojej matki powiedział mi, że to jest miejsce, gdzie ludzie chodzą tańczyć do disco, a nie do drętwej muzyki irlandzkiej, której słuchają nudziarze. Mam trzynaście lat, ale wymalowałam się toną ciężkiego podkładu, różem, tuszem do rzęs i szminką. Weszłam i powiedziałam menedżerowi, że mam szesnaście, a on mi uwierzył!

Na razie jest to najlepsza praca mojego życia. Kurczę, mogę tu nosić białą bluzkę z ładną czarną spódnicą. Jedno i drugie ukradłam z Dunnes, wielkiego sieciowego domu towarowego. Moim zadaniem jest rozdawanie różowych biletów restauracyjnych. Mężczyznom nie wolno pić od razu po wejściu, muszą zamówić jakąś kolację. Więc najpierw stoją w kolejce po numerowany bilet ode mnie, potem w następnej – po jedzenie. Zazwyczaj to jakieś ohydne curry, zupełnie nieprzypominające curry mojej matki, które jest najlepszą rzeczą, jaką można zjeść. Uwielbiam je, bo po nim strasznie długo piecze mnie twarz. Kiedy mama je przygotowuje, zawsze to ja siekam cebulę, bo przy tym nie płaczę.

Mężczyźni są mili, a ja lubię, jak to miejsce wypełnia się dymem i wszyscy są lekko wstawieni. Lubię światła dyskotekowe, które skaczą po sali, odbijając się od wielkiej kuli disco zwisającej z sufitu nad środkiem parkietu. Lubię, kiedy nikogo dokładnie nie widać przez dym i kolumny na parkiecie.

Przychodzę do pracy półtorej godziny przed otwarciem, bo DJ powiedział, że mi wolno. On też zawsze jest tam wcześniej, jeszcze wcześniej niż ja. Musi przećwiczyć swój set na pełny regulator, więc kiedy to robi, włącza dla mnie światła dyskotekowe i maszynę dymną, a ja wkładam baletki i lśniące, niebieskie, elastyczne spodnie disco, za które matka by mnie zabiła, bo są takie obcisłe. Je też ukradłam.

Na dobre półtorej godziny mam parkiet dla siebie, jest tam tylko DJ, a i jemu kazałam obiecać, że nie będzie patrzył. Jest dla mnie miły. Nie patrzy. Wiem to, bo mam go na oku. Kuca za stołem mikserskim i zajmuje się swoimi listami.

WILL YOU STILL LOVE ME TOMORROW?

DOBRA, ZROBIŁAM COŚ ZŁEGO. Ale nie wiedziałam, że to coś złego, więc nie zgrzeszyłam. Tak przynajmniej jest w Biblii. Jeśli miałabym to zrobić jeszcze raz, teraz, jak już wiem, że to grzech, to byłby grzech. O ile więcej tego nie zrobię, jestem w porządku.

Siedziałam z koleżanką w Pizzaland i pokazywałam jej śmieszna sztuczkę ze wskazywaniem palcem, której tata nauczył mnie wiele lat wcześniej. Kelner zrozumiał, że go przywołuję. Wcale tak nie było. Ale chyba pomyślał, że z nim flirtuję. I zaczął flirtować ze mną. Dość mi to schlebowało, bo był Amerykaninem, więc – co oczywiste – był boski. Włosy tlenione na blond, lekko skołtunione, i ten cudowny akcent. Miałam tylko czternaście lat, ale kiedy zapytał o mój wiek, powiedziałam „osiemnaście”. Byłam tak wymalowana, że mi uwierzył.

Amerykańscy faceci są cool, nigdy nie są nudziarzami. Co innego Irlandczycy. W nich nie ma nic seksownego. Razem z siostrą gadałyśmy ze wszystkimi mormonami w mieście, tylko dlatego, że byli Amerykanami – chociaż matka nam zabroniła. W tych swoich garniturach byli przystojni jak gwiazdy filmowe. Pracowali w parach. Wystawiali na ulicach, próbując nawrócić Irlandczyków (to urocze, myśleli, że to jest w ogóle możliwe). Udawało im się jedynie nawracać nastolatki – z uganiania się za innymi nastolatkami na uganianie się za dorosłymi facetami, a konkretnie za dorosłymi facetami w garniturach.

Razem z siostrą powiedziałyśmy mormonom, że chcemy pójść z nimi do domu porozmawiać o Biblii. To było tylko częściowe kłamstwo, bo naprawdę lubię rozmawiać o Biblii. Zrobili nam popcorn i siedząc tak bez marynarek, w samych białych koszulach, opowiadali nam, czym różni się bycie mormonem od bycia katolikiem. Nie

pamiętam ani słowa z tego, co mówili. Wyobrażałam sobie, że jestem cudownie szczęśliwa w małżeństwie z jednym z nich: mieszkaliśmy na farmie, na której pod koniec dnia nie było już nic innego do roboty, jak tylko rozmawiać o Piśmie, rozbierać się i uprawiać z nim seks w tym jego garniturze.

Wracając do tematu, ten biedny kelner – o imieniu Paul – flirtował ze mną na całego, myśląc, że mam osiemnaście lat. Nigdy z nikim nie spałam, więc kiedy zaprosił mnie do swojego mieszkania w Smithfield, ani przez chwilę nie pomyślałam, że może mu o to chodzić. Autentycznie. Myślałam, że będziemy się całować i tak dalej, jak to robią ludzie w moim wieku, ale nie zaraz uprawiać seks.

Kiedy jednak już od jakiejś chwili się całowaliśmy, stało się oczywiste, że w grę wchodzi „danie główne”. Pomyślałam sobie, *Cóż, i tak w końcu będę musiała kiedyś stracić dziewictwo*. Większość moich znajomych już to robiła. Nie byłam ani trochę cool, bo ja jeszcze nie, i to była moja wielka szansa. Weszłam z nim do łóżka, podekscytowana, chociaż naprawdę zdenerwowana, no i zachwycona faktem, że będzie mnie deflorował Amerykanin. Zdenerwowana – bo nie miałam zielonego pojęcia, co trzeba robić. Miałam tylko jedną lekcję wychowania seksualnego w życiu. Stara, pulchna zakonnica wparowała pewnego popołudnia do naszej klasy. Nie widziałyśmy jej nigdy wcześniej i nie miałyśmy zielonego pojęcia, po co przyszła. Sięgnęła po kredę, nie wypowiedziawszy ani słowa, i jednym ruchem narysowała wielkiego penisa w erekcji, wycelowanego w sufit. Miał chyba z trzydzieści centymetrów i wielką parę jaj pod spodem.

Nim skończyła rysunek, turlałyśmy się ze śmiechu po podłodze. Dosłownie zaciskałyśmy nogi, próbując się nie posikać. Nim zdążyła się obrócić, żeby rozpocząć zaplanowaną przemowę, już miała przerybane – straciła kontrolę nad sobą.

Nie byłyśmy w stanie się podnieść. A jej zupełnie nie przyszło do głowy, żeby zetrzeć tego penisa. Zamiast tego stała przed nim, raz po raz domagając się spokoju, ale bezskutecznie. W końcu wybiegła z klasy. I tyle było z edukacji seksualnej.

Przeglądałam książkę mojej macochy, zatytułowaną *Radość seksu*. Jest trochę potworna, bo są w niej czarnobiałe rysunki ołówkiem przedstawiające mężczyznę i kobietę. Oboje są naprawdę brzydki. On

ma koszmarną brodę. Zgasili we mnie wszelką ochotę na figle, więc w końcu nie skończyłam tej książki. Niczego się nie nauczyłam.

Jest w tej książce jeden rysunek, który naprawdę mnie przeraził. Znajduje się w rozdziale o tym, co musi umieć robić kobieta. Z obrazka dowiadujesz się, że jeśli nie zrobisz pewnych rzeczy idealnie, facet cię rzuci. Mężczyzna leży na łóżku, z wściekłością wskazując drzwi, podczas gdy zawstydzona kobieta zbiera swoje ubrania, by je włożyć i wyjść. Facet mówi: *Wynoś się i nigdy więcej nie nawiedzaj mojej sypialni.*

Więc jestem w łóżku z Amerykaninem Paulem i myślę sobie, *Boże, i co teraz?* Ale nie zdążyłam się zbyt długo pomartwić. Jak tylko spróbował we mnie wejść, zorientował się, że nie uprawiałam jeszcze seksu, bo początkowo nie mógł się dostać do środka. W końcu pocięło mi trochę krwi.

Domyślił się potem, że nie jestem pełnoletnia. Kiedy się przyznałam, że mam czternaście lat, prawie dostał ataku serca. Kazał mi się natychmiast ubrać, po czym odprowadził mnie w ciemnościach na autobus, przez całą drogę błagając, żebym już nigdy więcej nie kłamała w sprawie wieku, bo seks z osobą poniżej osiemnastego roku życia jest nielegalny i można mieć kłopoty z policją.

W autobusie zastanawiałam się, czy coś się zmieniło w moim wyglądzie. Czy inni pasażerowie myślą sobie: *O, ta dziewczyna nie jest już dziewczicą, i w związku z tym uważają, że jestem cool?*

KOLEKCJA PŁYT MOJEJ MATKI

MOJA MATKA NAJBARDZIEJ NA ŚWIECIE UWIELBIA MUZYKĘ, nie licząc gotowania, a w szczególności wypieków. Uczęszczała do szkoły Cordon Bleu w mieście. Robi wspaniałe torty ze zdobnymi dekoracjami. Zabiera nas do domu takiej dziwnej pani, żeby kupować figurki do stawiania ich na szczycie ciast. Wydaje mi się, że ta pani jest tak stara, że musi już nie żyć, a rusza się tylko dzięki zawartości cukru w swoim ciele. Jej dom jest pełen kurzu i koronkowych serwetek.

Z wielkiego stołu w salonie korzystamy tylko na Wielkanoc lub Boże Narodzenie i właśnie na nim stawia się te piękne torty. Ale przez resztę roku na całej jego długości leży kolekcja płyt mojej matki, rozłożona jak wachlarz z kart.

Ma Johna Lennona, albumy z więzienia Johnny'ego Casha, Waylona Jenningsa, *Porgy and Bess* w wykonaniu Elli Fitzgerald i Louisa Armstronga, a także *Bridge Over Troubled Water* i *Sounds of Silence* Simona and Garfunkela. Ma Woodstock, *Moondance* Vana Morrisona, the Velvet Underground, Lou Reeda, całą masę Beatlesów i ścieżkę dźwiękową *Księgi dżungli*. Posiada też niezliczone nagrania Elvisea. Pierwszą płytą, którą sobie w życiu kupiłam, był jego podwójny album zatytułowany *Le Roi du Rock'n'Roll* (kocham też filmy z Elvisem). Matka ma całą masę Franka Sinatry, ale jest w nim coś, za czym nie przepadam. Ma też gościa o nazwisku Donovan i Otisa Reddinga. Jest i stary facet z wielkim nosem, Jimmy Durante – śpiewa piosenkę o zagubionym akordzie, uwielbiam ją, jest zabawna.

Ma Nicka Drake'a, Dusty Springfield, Joni Mitchell, Cata Stevensa, Mike'a Oldfielda i dziwne nagranie Ricka Wakemana pod tytułem *The Six Wives of Henry VIII*. Ma też całą masę płyt słynnego irlandzkiego tenora operowego Johna McCormacka. Mówi, że kiedy słyszy jego śpiew, czuje się, jakby umarła i poszła do nieba. Ja czuję się, jakbym żyła w piekle, za każdym razem, kiedy on otwiera usta.

Moją ulubioną piosenkarką w kolekcji matki jest Barbra Streisand. Uwielbiam oglądać filmy, w których występuje. Kocham *Hello, Dolly* i *Zabawną dziewczynę*. Jest taka piękna. Ma niesamowicie długie paznokcie i nosi supereyeliner. Uwielbiam jej głos, kiedy mówi, i jej głos, kiedy śpiewa. Nie śpiewa jak wszyscy, których słyszałam wcześniej – jej głos jest o wiele bardziej swobodny, coś jak u Davida Bowiego, ale oczywiście inny. Oboje brzmią jak dzikie ptaki. Wszyscy inni brzmią, jakby zostali okiełznani. Chciałabym kiedyś śpiewać w musicalach i być jak Barbra. Chciałabym też zapuścić paznokcie, ale obgryzam je do krwi. Moja matka ma bardzo długie paznokcie. Zawsze smaruje moje jakimś paskudztwem, żebym ich nie obgryzała, i dostaje mi się to do kanapek.

Kocham też Johna Lennona. Czuję, jakby był moim bratem. Odkąd pamiętam, śpiewa w moim salonie. Ma anielsko brzmiący głos. Jest też odważny, tak samo jak ja. I ma w sobie gniew, jak ja. Lubię jego zagniewany głos. John jest też smutny – i jest odważny, że o tym mówi. Podobało mi się, jak siedział w łóżku. Żałuję, że nie mogę sama tak zrobić. Lubię jego żonę, jest słodka jak mały kotek, a ja kocham kotki. Wydaje mi się, że to był jej pomysł, żeby leżeli w łóżku, bo ona go kocha i chce całą dzień się do niego przytulać. Chciałabym się do nich poprzytulać. Ciekawe, czy chcieliby mieć córeczkę.

DLACZEGO ŚPIEWAM

SIERŻANT WIDZI, ŻE CHCE MI SIĘ RZYGACĆ. Ale nie zamierza mnie wypuścić. Chcę pobiec ulicą do Harveya Proctora, bardzo starego mężczyzny, który hoduje świnię. Czasem do niego zachodzę, bo daje mi głaskać prosiaczki. Nie pamiętam, jak go poznałam. Jest dla mnie bardzo miły. Maciory strasznie śmierdzą, podobnie jak wielcy, tłusci wieprzowi ojcowie – leżą sobie cały dzień w lepkiem łajnie. Szkoda, że nie jestem świnią. Kocham prosiaczki i ich cichutkie, piskliwe chrumkanie. Bardzo bym chciała zabrać jednego do domu, ale Harvey mówi, że nie mogę, bo prosiaczek urośnie zbyt wielki i nie będzie mógł się wydostać z mieszkania.

Wpadłam przez to, że w zeszłym tygodniu na drzwiach toalety pubu w Dalkey niebieskim markerem do znaczenia prania narysowałam wielką, zezowatą i wyszczerzoną gębę. Po czym pojawiłam się tam znów kilka dni temu z puszką do zbiórki pieniędzy i właściciel zaczął mnie gonić. Powiedział, że wie, że kradnę z tych puszek, i że wezwał policję. Pobiegłam do toalety i zwiąłam przez okienko. Od tego czasu strasznie się bałam, kiedy byłam w domu, i postanowiłam, że lepiej będzie samej pójść do sierżanta i się przyznać, bo jeśli moja matka się dowie, że złapała mnie policja, to będę musiała ich poprosić o ochronę.

Moja matka sama jest uzależniona od kradzieży. Kradnie, odkąd tylko pamiętam. Kiedy podczas mszy puszczają tacę, raczej podbiera z niej kasę, niż daje. Gdy przy Avondale Road robili nowe rondo, w nocy pojechała z szufelkami i czarnymi workami na śmieci, żeby zwinąć świeżo posadzone młode krzaczki. Wtedy posadzili nowe, a ona znów pojechała i wzięła i te. Nie mam pojęcia, co z nimi zrobiła. Jak była w szpitalu, zgarnęła krucyfiks ze ściany. Wysłała mnie nawet do domu z wagą schowaną pod moim szkolnym płaszczykiem, a zabraną z jej sali na oddziale. Chodzi oglądać domy wystawione

na sprzedaż tylko po to, by kraść z nich bibeloty. W całej sypialni ma poukładane na podłodze prawie metrowe stosy książek. Każdą z nich ukradła. Kradnie wszystko.

Ja też jestem uzależniona od kradzieży. Dlatego lubię śpiewać pieśni kościelne. Nie da się znieść bycia tak złym człowiekiem. Muszę robić chociaż jedną świętą rzecz, żebym mogła ze sobą wytrzymać.

Pukam ludziom do drzwi i sprzedaję im ich własne kwiaty, które zwinęłam im z ogródków. Przez całe tygodnie kradłam ogromną ilość forsy z kieszeni w szatni yacht clubu. Złapali mnie, bo poprosiłam mleczarza w furgonetce, żeby zamienił mi bilon na banknoty, a on nabrał podejrzeń. Ukradłam portfel z torebki wiszącej w pokoju personelu sklepu obuwniczego, kiedy sprzedawczyni wpuściła mnie, żebym przymierzyła baletki. Wróciłam sprawdzić, czy uda mi się to zrobić jeszcze raz, i trzymali mnie tam do przyjazdu policji, ale funkcjonariusz był dla mnie naprawdę miły. Błagałam go, żeby nie mówił nic mojej matce, i nie powiedział.

Jakiś rok wcześniej zaczęłam zajęcia z pierwszej pomocy. Ludzie, którzy organizowali kurs, powiedzieli, że będą prowadzić zbiórkę pieniędzy z okazji Dnia Flagi. Dostawało się puszkę i identyfikator i chodziło po domach, prosząc o datki na zbożne cele. Okazało się, że kto do następnej niedzieli zbierze najwięcej pieniędzy, dostanie nagrodę w postaci srebrnego długopisu Cross. Strasznie chciałam go wygrać, bo snobistyczne przybory do pisania przypominały mi ojca. Przez całą drogę z Blackrock do Glenageary stukaliśmy ludziami do drzwi i kiedy wreszcie dotarłam do domu, moja puszka była prawie do połowy pełna. Strasznie się cieszyłam, że powiem mamie, jak to zrobiłam coś dobrego i może wygram długopis.

W naszym mieszkaniu stoi szorstka, czerwona sofa w wytarty złoty wzór. Moja matka zrzuciła z niej poduszki, wyciągnęła z kuchennej szuflady nóż i zdjęła z puszkę pokrywkę. Pod nią była mocna folia aluminiowa. Przejechała nożem wokół krawędzi i zerwała ją. Wówczas oddała mi puszkę i kazała wysypać pieniądze na kanapę.

Ułożyłyśmy monety w słupki pięćdziesięcio-, dziesięcio-, pięcio-, dwu-, jedno- i półpensowe. Zabrała mi wszystkie srebrne monety i powiedziała, że mogą sobie zachować miedziaki.

Byłam przerażona. Ale zgodziłam się, bo mama była ze mnie zadowolona. Była szczęśliwa, że zebrałam pieniądze. Zrozumiałam, że jeśli będę przynosić forszę, będzie spokój.

W mieście organizacje charytatywne ustawiają przed wielkim bankiem budki i zachęcają ludzi, żeby zbierali dla nich pieniądze. Zapewniają puszkę i rolkę naklejek, a kiedy pytają, kim jesteś, trzeba zmyślić jakieś pierwsze lepsze nazwisko i adres. Nawet tego nie sprawdzają. Bieremy z matką przeróżne puszki z przeróżnych organizacji. Żadnej nie przepuszczamy. Mamy elegancki akcent, więc wszyscy nam ufają. Zajmujemy się tym od dnia, kiedy wróciłam do domu z puszką z kursu pierwszej pomocy. Jeździmy wieczorami po dublińskich pubach, zbierając pieniądze. Setki funtów co weekend. Czasem aż tyle, że opróżnimy puszkę w samochodzie i jedziemy dalej. W tygodniu wychodzi połowa tego.

Teraz matka siedzi i daje prawie-godny-Oscara-lecz-niewystarczający popis aktorski przed sierżantem. Udaje, że nie ma pojęcia o puszkach i jest oburzona. Dlatego chce mi się rzygać, ale sierżant nie chce mnie wypuścić. Chce, żebym zobaczyła, jak moja matka zwala winę na mnie, żeby ratować swój tyłek. Ona nie wie, że obiecał mi, że mnie nie zamknie, bo powiedziałam mu prawdę. Jej to zwisa. Sierżant wygląda, jakby chciał jej dać w twarz.

Chyba już jej nie kocham.

Przy drodze za moją szkołą jest wielki dom pełen księży. Pewnego dnia zapukałam tam, zamiast iść na lekcje. Drzwi otworzyła mi pani tylko odrobinę starsza od mojej matki, a ja powiedziałam jej, że chcę się spotkać sam na sam z księdzem. Zaprowadziła mnie do wielkiego słonecznego salonu z krótkim, ciemnym, drewnianym stolikiem o pofalowanym kształcie. Wyszła, po czym wróciła z tacą, na której były kwieciste filiżanki z porcelany i talerzyk ciasta Madera. Powiedziała, że zaraz przyjdzie ksiądz i mam być grzeczna, i jeść. Czekając, myślałam o chóralnych pieśniach konfirmacyjnych, bo zaczęły mi grać w głowie. Nawet ich nie lubię, tylko jedną. Opowiada o tym, że być może Bóg jest w stanie przemienić złego człowieka w kogoś dobrego. To był miły ksiądz, ciemnowłosy. Niezbyt stary i miał spokojny głos. Rozmawialiśmy przez długie godziny. Powiedziałam mu, że jestem złodziejką i Bóg mnie widzi. I że jestem okropną osobą,

bo to prawda. Wyznałam mu wszystko, co powiedziałam dziś sierżantowi. Oraz to, że wsadziłam moje drewniane szczudła do kominka w domu i próbowałam chodzić na nich, płonących, po dywanie.

Wysłuchał mnie bardzo uważnie i po jakimś czasie zapytał, jaką pracę bym chciała wykonywać, kiedy dorosnę. Powiedziałam mu, że lubię śpiewać.

Odparkł: „Ha! Wiesz, że ten kto śpiewa, podwójnie się modli?”

A ja na to: „Nie wiedziałam tego, Ojczy, ale wydaje mi się, że musi to też działać u dziewczyn, bo umiem uśpić moją matkę swoim wykonaniem *Don't Cry for Me Argentina*”. Dodał jeszcze: „A nie pamiętasz, jak złodziej umarł obok Chrystusa i został nagrodzony rajem, bo żałował za swoje grzechy?”. Zapytał, jakie lubię piosenkarki. Powiedziałam, że uwielbiam Randy Crawford. Kazał mi obiecać, że kiedy dostanę pracę, oddam wszystkie ukradzione pieniądze. Powiedział, że wtedy będę miała wyrównane rachunki z Bogiem. I dodał, że jeśli nie chcę tyle czekać, to mogę już teraz zarabiać graniem na ulicy, ale ja nie umiałam wcale grać na gitarze. Nosłam tylko po Blackrock pusty futerał mojego brata, żeby wszyscy myśleli, że jestem cool.

Ale obietnicy dotrzymam.

DOM WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA, CZĘŚĆ PIERWSZA

SIEDZĘ NA TYLNYM SIEDZENIU SAMOCHODU OJCA i wpatruję się w odbicie moich oczu w szybie. Myślę o tym, że ta sama para oczu będzie na mnie patrzeć przez całe moje życie. Zmusiłam tatę do postoju przy sklepie płytowym, żebym mogła kupić egzemplarz *Desire* Boba Dylana. Wyprowadziłam się od matki kilka miesięcy wcześniej, niedługo po tym, jak przyłapali nas na tej historii z puszkami charytatywnymi. Od tego czasu mieszkam u ojca.

W jego domu panuje pewien chaos. Wydaje się, jakby mieszkali tu trzy rodziny jednocześnie: mojego ojca, mojej macochy i ta, którą tworzą wspólnie. Macocha ma trzy córki. Najstarsza jest w wieku mojej siostry, następna jest moją rówieśniczką, a jeszcze kolejna jest równolatką mojego braciszka, którego tu nie ma, bo wciąż jest u mojej matki. Ojciec z macochą mają jeszcze wspólnego syna, który ma niecałe pięć lat. W domu są tylko cztery dobrze zachowujące się osoby: moja siostra, mój pięcioletni przyrodni brat, moja najmłodsza przybrana siostra i moja macocha. Cała reszta, włącznie z moim ojcem, zachowuje się koszmarnie.

Lubię moją macochę, Violę. Jest bardzo szczupła. Pochodzi z północy Irlandii, ma miękki akcent, miękki głos i zawsze szeroki uśmiech, taki z zębami. Nosi krótkie blond włosy i potrafi mówić biegle po francusku. Lubi kaligrafię i trochę mnie jej uczy. Niezwykle rzadko zdarza jej się wypić jedną szklaneczkę sherry i wtedy trzeba ją odprowadzać do łóżka. Jest taka niewinna. Wielbi ziemię, po której stąpa mój ojciec. Pragnęłabym z całego serca, żeby to ona była moją matką. Czasem się na nią wściekam, że nią nie jest. Zżymam się, że nie spotkała mojego ojca wcześniej.

Moja matka powiedziała, że nie wolno nam lubić naszej macochy. Kiedy jedziemy samochodem po mieście, wskazuje sklepy, w których według niej ubiera się Viola, i mówi: „Tylko zdziry tam chodzą”. Wskazuje też hotele i kluby i powtarza to samo. To bawi mnie i siostrę i sprawia, że chcemy tam wszędzie pójść. Matka mówi: „Tylko zdziry przekłuwają sobie uszy”, więc poszłam je przekłuć kilka dni po wyprowadzce od niej. Ściąłam włosy na króciutko, bo „tylko zdziry” to robią.

Viola kocha Boga tak samo jak ja. Dużo o nim rozmawiamy. Jest bardzo łagodna i naprawdę zakochana w moim ojcu. Nie wiem, jak ona z nim wytrzymuje. Jest trochę narwany. Może dlatego się dogadują, bo ona jest taka spokojna. Nie dałaby rady wpaść w szał, nawet gdyby próbowała. Kiedy się złości na mnie i moją przyrodną siostrę, pękamy ze śmiechu.

Kiedy miałam niecałe dziewięć lat, przez jakieś dziewięć miesięcy mieszkałam u ojca, wraz z rodzeństwem. Jak wspominałam, kradłam wszystko jak leci, słodycze i różne inne rzeczy ze sklepów, i ogólnie byłam wrzodem na tyłku. Ciągłe się wykłócałam, dlatego w ogóle mam słuchać Violi. Biedna kobieta, spadłyśmy na nią tak nagle – ja i moja niewyparzona gęba.

Viola myślała, że wygląda na autentycznie zagniewaną, kiedy brała mnie za rękę i dawała mi klapsa w palce, tak lekko, że nic nie czułam. Z każdym uderzeniem wypowiadała – ze swoim północnoirlandzkim akcentem – po sylabie zdania: „Nie pyskuj mi, nie pozwalam”, z całych sił starając się groźnie zaciskać zęby, ale bez powodzenia, bo nie miała w sobie ani krztyny zła.

Mieszkaliśmy z nią wtedy dlatego, że moja matka straciła prawo do opieki nad nami, ponieważ tego dnia, kiedy opuścił ją mój ojciec, kazała nam spać w szałasie, który tata zbudował nam kiedyś w ogrodzie. Kiedy tylko wyszedł, zaczęliśmy płakać. Matka powiedziała, że skoro tak go kochamy, możemy iść mieszkać do szałasu. Gdy zapadła noc, uklękłam na ziemi pod domem i szlochałam w kierunku okna na półpiętrze, by przyszła i wpuściła nas do środka. Nie zareagowała, w jej sypialni zgasło światło i wszystko stało się czarne. Wtedy oficjalnie postradałam zmysły i jednocześnie zaczęłam się bać rozmiarów nieba.

Kiedy myślę o tej chwili, mój umysł wypełnia pustka i nie jestem w stanie sobie przypomnieć, co było później, aż do momentu, gdy znalazłam się w ogrodzie sędziego, gdzie chodziłam, trzymając go za rękę, i nie chciałam mówić bolesnych rzeczy, które mogłyby powodować jeszcze większe cierpienie.

Wtedy, gdy matka nas straciła, nie chciałam jej zostawić. Kiedy ojciec z nami odjeżdżał, urządziła taką scenę rozpaczony i płakała przy każdym naszym spotkaniu w co drugą niedzielę, więc było mi jej naprawdę szkoda. U ojca chowałam się pod łóżkiem mojego brata Johna i co wieczór wyłam jak wilk, aż wreszcie nas odeszli. Spędziłam też wiele czasu na bardzo głośnym wykonywaniu *Bohemian Rhapsody* wraz z nagraniem, bo Freddie Mercury śpiewał ten utwór do swojej matki.

Mój ojciec nie jest szczęśliwym człowiekiem. Nie mogę powiedzieć, że bym go o to obwinięła. Kiedy rano śpiewa w łazience, jego głos brzmi smutno, jak u śpiewaka operowego. Często robi się przygnębiony i kładzie się do łóżka po lunchu. Siedzę obok niego przy stole i widzę, jak smutek nadciąga do jego oczu z wnętrza brzucha. Nie lubi, kiedy to dostrzegam.

Jest trochę jak ktoś, kto oblał się wrznięciem, i teraz biega dookoła, szukając zimnej wody, żeby stanąć pod jej strumieniem. Nie może usiedzieć w miejscu. Jest uzależniony od pracy. Uchodzi mu na sucho zostawianie mojej macochy, żeby sama radziła sobie z nami, dzikusami, bo jest mężczyzną. Nie mogę powiedzieć, że bym go za to winięła. Sama bym próbowała się od tego wymigać, gdybym była w jego sytuacji.

Czuję się przy nim strasznie niekomfortowo. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na samym skraju krzesła i bardzo szybko macham stopą, choć nie chcę. Tak naprawdę go nie znam, a on tak naprawdę nie zna mnie. To nie jest jego wina ani moja, tylko mojej matki, bo przez tak długi czas nie pozwalała mu się z nami widywać. Ale nie mówiła nam, że to jej decyzja, myślałam, że on tak po prostu nie przyjeżdża, i przez cały ten czas czułam w środku złość na niego. Gniewam się, kiedy każe mi coś robić, i mówię naprawdę okropne rzeczy, na przykład, że nie ma prawa teraz zachowywać się jak ojciec. Nie jestem miłą osobą. Jestem utrapieniem. Doprowadzam go do szaleństwa.

Biedak odstawia mnie do szkoły, a ja po prostu wychodzę sobie drugą bramą. Idę do kręgielni i gram w Pac-Mana, czekając, aż w porze lunchu przyjdą chłopaki z Oatlands, bo jestem zakochana w B., ale on nie chce mieć dziewczyny, więc chodzę z Jerome'em Kearnsem. Szkoła mnie gównie obchodzi. Po co mi ona w ogóle? Najważniejszą rzeczą jest przytulanie, a Jerome jest dla mnie naprawdę miły. Cały czas tylko gadamy o Bobie Dylanie, Pink Floyd i się przytulamy. Jego ramiona są na idealnej wysokości do opierania na nich głowy, a on nadaje mi słodkie przezwiska.

Pojawiam się na lekcjach angielskiego, kiedy wiem, że będziemy pisali o wierszach Yeatsa. Kocham je, bo są jak muzyka, ale otwierają inne niebo, to, które jest we mnie – nie boję się go, bo ma granice. Mam poczucie, że wiersze uchyliły wszystkie okna i wpuściły do środka ogród. Teraz widzę wewnętrzne obrazy, a kolory na zewnątrz zniknęły.

Dookoła mnie nie wiruje przerażający wszechświat. Wewnątrz mnie znajduje się mglisty, starodawny salon z wielkim, szarym, marmurowym kominkiem. Yeats popłynął, pisząc „Wielkanoc, 1916”^[9] o tragicznym powstaniu irlandzkich republikanów przeciwko Brytyjczykom. *Nikt się już kurwa nie śmieje*, napisałam na klasówce w odpowiedzi na pytanie *Co próbował nam powiedzieć poeta?*

Yeats sprawił, że zapragnęłam pisać piosenki, ale jeszcze nie jestem na to gotowa. Jeszcze nie zakochałam się tyle razy co on, stary głupek. Gdy prosił kobietę o rękę, nie pojmował, że jeśli wiele razy odmówiła, lepiej nie oświadczać się jej córce. Wyjaśniałoby to, czemu odrzucała go jej matka. Nienormalny. Wygląda trochę jak mors. Jest dość odpychający. Ale jego wiersze są obrazami. Mój ulubiony to „Nie było drugiej Troi”, choć ile można rymować *ostatnim z dostatnim*^[10]. Musi być jeszcze jakaś inna możliwość.

W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy wywalili mnie z jakichś trzech szkół. I dalej przyłapują mnie na kradzieżach. Jeśli coś nie jest przybite gwoździem, biorę to. Nawet nie wiem dlaczego. Pogorszyło mi się na tyle, że moja macocha wezwała pracownicę społeczną, Irene. Nienawidzę jej. Nakryli mnie, jak podwędzałam złote buty dla przyjaciółki, miała je założyć na koncert The Pretenders. Kradnę ciuchy

dla znajomych, bo jestem druga w klasie, jeśli chodzi o sprint. Po prostu zakładam coś na siebie w sklepie i daję nogę. Irene powiedziała mojemu ojcu i macosze, żeby wysłali mnie do tego miejsca, do którego jadę teraz w samochodzie taty, i patrzę na swoje oczy odbijające się w oknie. Wiedząc, że to te same oczy, które będę widziała przez całe moje życie.

To miejsce nazywa się An Grianán – „Wschód Słońca”

DOM WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA, CZĘŚĆ DRUGA

KIEDY WJEŹDŹA SIĘ PRZEZ BRAMĘ HIGH PARK do An Grianán, od razu widać ogromną kolorową statwę Jezusa w czerwono-białych szatach, rozkładającego szeroko ramiona w powitalnym geście. Jest mi Go szkoda – musi być Mu strasznie zimno. Zastanawiam się też, czemu wygląda, jakby pochodził z hrabstwa Kerry, a nie Betlejem. Jego skóra i oczy z pewnością powinny być bardziej brązowe.

Jesteśmy w burym miejscu zamieszkanym przez mnóstwo zakonnice. I liczne starsze panie, które przemykają, szurając kapciami, z głowami pochylonymi brodą ku klatce piersiowej. Nie wolno nam się do nich odzywać. Mieszkają w innej części budynku.

Dom jest ogromny i ma kształt litery L. Towarzyszą mu: niewielki ogród i wielki kościół. Zakradłam się tam kiedyś podczas pogrzebu, żeby zobaczyć, jak wygląda martwa zakonnica. Półksiężyce u jej paznokci były ciemnofioletowe.

Dziewczyny ciągle gadają, że w ogrodzie straszy Biała Dama. Mówią, że przechodzi po mostku w stronę kościoła, ale nigdy jej nie widziałam. Powtarzają też, że jest mnóstwo grobów zarośniętych chwastami, a każdy z nich podpisano MAGDALEN. Ale jak to możliwe, by tak wiele osób w jednym miejscu nosiło to samo imię?

Zastanawiam się, czy stare zakonnice o tym wiedzą.

Panuje tu pewna zasada dotycząca muzyki. Każdy może podczas przerwy puścić z magnetofonu dwie piosenki, ale rano trzeba uprzedzić o tym personel, żeby zakleпали czas. W ten sposób każdy, kto chce, ma swoją kolej. Tego poranka, kiedy przyjechałam, w salonie dziewczyny puszczały w kółko kawałek *Don't Cry Out Loud* Elkie Brooks. Usłyszałam go, ukucnęłam w kącie i zaczęłam lamentować.

Mój boks ma trzy drewniane ścianki pomalowane na bladą błękit. Są w nim: mała toaletka, krzesło i niewielkie łóżko. Zamiast czwartej ściany powiewa pomarańczowa kwiecista zasłona. Leżąc w łóżku, widzę tycią biało-niebieską figurkę Dziewicy Maryi, której ktoś zapomniał – utknęła w kratownicy nad karniszem.

Kiedy tylko przyjechałam, dziewczyna z sąsiedniego boksu zaczęła wystawiać głowę nad rozdzielającą nas ścianką i uśmiechać się jak wścibska wróżka na błękitnym niebie. Chciała wiedzieć o mnie wszystko. Wyrzucała z siebie pytania jak serie z karabinu maszynowego. I tak było jej za wolno. Lubi mnie. Jest niesamowicie wytworna. Ma siedemnaście lat. Ciągłe poprawia kształt paznokci u swoich delikatnych, drobnych dłoni. Jej paznokcie są idealne. Ma ciemny odcień skóry i ogromne brązowe oczy, a jej czarne włosy są obcięte na bardzo krótko. Przypomina Audrey Hepburn, tylko czarną. Ciągłe skubie sobie brwi i smaruje usta ciekłą warstwą błyszczycy. Ma też naprawdę elegancki sposób wystawiania się. Kiedy się jej mówi, że wygląda pięknie, odpowiada: „Wiem!”

Myślę, że wszystkie dziewczyny umieszczono tu, bo rodziny ich nie chcą. Jedna puszcza w kółko *The Logical Song* Supertrampu. Gdybym była jej matką albo ojcem, nie siedziałyby tutaj ani nigdzie indziej, słuchając tak smutnej piosenki. Jedna ma krzywe biodro, potrzebuje operacji. Już miała ich całe mnóstwo, ale czeka, aż jeszcze trochę podrośnie, żeby mogła mieć kolejną, dużą. Nie wiem, czemu nie czeka u rodziny. Ma zaledwie dwanaście lat i jest nomadką.

Jest tutaj też jej kuzynka. Jest naprawdę śliczna. Ona również jest nomadką. Ma piękne czarne włosy i ciemnożółtą skórę. Wydaje mi się, że ma około siedemnastu lat. Jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką Bóg stworzył. Uwielbiam ich sposób mówienia, ich akcent jest przepiękny, a głosy niezwykle głębokie.

Wymawiają wyrazy inaczej niż zwykli ludzie. Ćwiczę ich wymowę w swoim boksie – tak bardzo mi się podoba. Kiedy mi się udaje, czuję się tak, jakbym śpiewała.

Jedna z dziewczyn ma dwadzieścia dwa lata. Mówią, że znalazła się tutaj, będąc w moim wieku, jako czternastolatka. Przeraża mnie to. Nie chcę tu mieszkać, kiedy będę miała dwadzieścia dwa lata. Ta

dziewczyna nie wydaje się w pełni „obecna”. Ma takie samo spojrzenie i tak samo krąży, szurając kapturami, jak tutejsze staruszki.

Zdarza jej się też mówić do siebie jak im. I zbyt często oblizuje wargi. Nikt jej nigdy nie odwiedza. Właściwie to bardzo rzadko kogokolwiek odwiedza rodzina. Gdy przyjeżdżają rodzice któreś z dziewcząt, ta schodzi na dół do małego bocznego saloniku obok głównego wejścia, tam dostają herbatę i ogólnie jest niezwykle uprzejmie. Czasem rodzice zabierają córkę na zewnątrz, ale zawsze przywożą ją z powrotem. Nieustannie mam nadzieję, że stanie się inaczej. Mam nadzieję, że uciekną ze swoim dzieckiem i zupełnie zapomną o tym smutnym miejscu, ale tak się nie dzieje.

Jedna chuda dziewczyna jest ciągle wściekła, ale ją lubię, chociaż jest totalnie przerażająca. Potrafi powiedzieć, że masz się pierdolić, a mówiąc to, wygląda jak wilczyca – ma kły i w ogóle. Ciągłe się ze mnie śmieje w okrutny sposób. Nie podoba mi się to, ale i tak jest w niej coś, co podziwiam. Chciałabym być tak odważna, żeby być tak niegrzeczną jak ona. Mówi wszystkie złe rzeczy, które pomyśli. Ja moje wyrzucam z siebie tylko wtedy, kiedy jest mi naprawdę przykro albo kiedy tracę panowanie nad sobą.

Ta dziewczyna dostała pracę w biurze. Zabrali nas na zakupy, żeby wybrać jej jakieś odpowiednie ubrania. Zrobiło mi się jej żal, kiedy podczas przerwy wymuszonej moimi słowami – które przypadkiem wywołały w niej inne emocje niż furię – odwróciła twarz, by oprzeć się o drzwi staromodnego Gresham Hotel. Potrzebowała masę czasu, żeby znów wyglądać groźnie. A zupełnie taka nie jest. To kanarek w tygrysiej skórze.

Popołudniami uczą nas maszynopisania, a rano mamy matematykę, angielski i inne lekcje z Johnem. John naprawdę mi się podoba. Prawdę mówiąc, jestem w nim totalnie zadurzona, bo jest łagodny i ma ładny tembr głosu. Ale i tak nie uważam na lekcjach, chyba że uczymy się o wierszach albo opowiadaniach. Wtedy jestem prawie pewna, że widzę, jak on myśli w skrytości serca, *Hmm, może ta wnerwiająca dziewczyna nie jest wcale taka beznadziejna*. Tak jakby doznawał szybkiego olśnienia. Które mija, kiedy na biurku pojawia się książka do matmy, a ja udowadniam rzeczy niemożliwe.

Czasem w piątkowe wieczory odwiedzają nas różni ludzie, żeby z nami pośpiewać: księża praktykanci i tacy tam. „Ludzie o dobrym sercu” zbierający punkty u Boga za spędzanie czasu ze złymi dziećmi. Zakochuję się w jednym z praktykantów, kolejnym Johnie (zawsze zakochuję się w Johnach). Jest łagodny jak John-nauczyciel. (Jak wspominałam, zawsze zakochuję się w łagodnych ludziach). Ten John kocha Boga tak samo jak ja i lubi rozmawiać tylko o Bogu i piosenkach, pomyślałam więc: *Jest idealny*, i poprosiłam go, żeby zapomniał o byciu księdzem i zamiast tego się ze mną ożenił, ale nie zgodził się.

Wygląda na to, że nigdy nie wyjdę za mąż. Nic, tylko mi odmawiają.

Pewnego wieczoru w naszej salce koncertowej, która znajduje się na dole, występowała grupa o nazwie The Fureys. Wolno nam było tam zejść. Zagrali moją ulubioną piosenkę, *Sweet Sixteen*, która zawsze przypomina mi moją pierwszą miłość, B. Musiałam go zostawić, przyjeżdżając tutaj – jego i wszystkich moich przyjaciół. Ale potem zagrali kawałek instrumentalny na irlandzki flażolet. Powiedzieli, że wokalista Fibnar Furey napisał go w wieku dwunastu lat. Utwór nosił tytuł *The Lonesome Boatman*. Była to najpiękniejsza i najbardziej zapadająca w pamięć melodia, jaką w życiu słyszałam. Taka rozpacz wyrażona przez dziecko. Jakby wiedział, co mam w sercu. A tu, w tym miejscu nikt nigdy nie dowiedział się, co w nim noszę.

Poczekalam, aż wyjdzie publiczność, a zespół zacznie się pakować. Podeszłam do Finbara i powiedziałam mu, że dzięki niemu zapragnęłam zostać muzyką.

Dziś się przyjaźnimy (mam pięćdziesiąt trzy lata), a Finbar nie pamięta naszego spotkania. Ale ja zapamiętam je na zawsze. I po dziś dzień wystarczy, że zobaczę na drzwiach garderoby jego nazwisko – co się czasem zdarza, kiedy gramy na tych samych festiwalach – bym się rozpłakała. Bo jego muzyka i piosenki są takie piękne.



Kiedy zbliżają się twoje osiemnaste urodziny, zaczynają cię szykować do podjęcia pracy. Po to uczyli nas pisać na maszynie,

żebyśmy mogły znaleźć zatrudnienie w halach maszynopisania albo biurach. Zaczynają cię też czasem wypuszczać, żebyś się przyzwyczaiła do świata pracy. Co drugi dzień pracujesz w biurze albo hali maszynopisania, która cię później zatrudni. Kiedy ta dziewczyna z boksu obok mojego – ta co wygląda jak czarna Audrey Hepburn – zaczęła ten proces, poznała chłopca z Glenageary, skąd pochodzę. Zakochali się w sobie i zaszła w ciążę.

Była bardzo szczęśliwa z tego powodu. Bardzo podekscytowana i dumna. Oczywiście narobiła sobie kłopotów u zakonnic. Urodziła chłopczyka o skórze tak białej, że aż niebieskiej, i o włosach czarnych jak noc. Skakała wokół niego, opiekowała się nim i dbała o te jego tycie ubranka, jak kiedyś o samą siebie. Uwielbiała go.

A ja uwielbiałam nosić go na rękach. Te jego wszystkie niemowlęce odgłosy. Zapach jego główki. Wyglądał jak mały Mojżesz, otulony w biało-niebieski kocyk, gotów do spłynięcia Nilem w koszyku z trzciny.

Nie wiem, czy wiedziała, że nie pozwolą jej go zatrzymać. Nie wiem, czy wiedziałyśmy to my. Ale nie wydaje mi się. Byłam w takim szoku, że nie pamiętam, kiedy zabrali go z jej ramion i zniknął. Powiedziano mi, że w Irlandii nie możesz zatrzymać własnego dziecka, jeśli nie masz osiemnastu lat i męża.

A teraz ona również zniknęła, choć ciałem nadal tu jest.

Już nie nadaje kształtu swoim paznokciom. Nie maluje się. Nie ubiera ładnie. Nie uśmiecha się ani nie mówi. Nic, tylko całymi dniami wypłakuje oczy. Mówi, że nie oddali go jego ojcu, i nie wie, gdzie teraz jest. Po prostu zabrali go i zniknął. Biedny mały Mojżesz.

DOM WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA, CZĘŚĆ TRZECIA

PRZY KAŻDEJ ZE ŚCIAN STAŁY MOŻE CZTERY SZPITALNE ŁÓŻKA z zasłonami dookoła. Zupełnie jak w prawdziwym szpitalu. Wszystko miało kolor maślanki: linoleum, zasłony, ściany. Ciemnożółte światła były przyciemnione i wydawały się świecić zza murów, tak że przedostawały się ponad zasłonami. Nie było nikogo z personelu, więc stałam i czekałam, aż ktoś przyjdzie i powie mi, gdzie mam spać. Z jednego z łóżek dobiegały jęki, ktoś wołał: „siostró, siostró”. Przez dziesięć minut nikt się nie pojawiał, więc zerknęłam ukradkiem do każdego z nich. We wszystkich leżały wiekowe staruszki i spały. Bywałam już wcześniej w szpitalach i widywałam umierających ludzi, więc zorientowałam się, że to małe hospicjum. W staruszkach rozpoznałam niektóre z pań, które obserwowałam, jak krążyły po terenie. Pań, do których nie wolno nam było się odzywać.

Siostra Margaret wysłała mnie na górę za karę za ostatnią z serii skutecznych ucieczek, z których wszystkie kończyły się nie czym innym, jak graniem na ulicach i udziałem w konkursach talentów w dublińskich hotelach, podczas których zawsze wygrywałam piątką, jeśli zaśpiewałam *Don't Cry for Me Argentina*. Podczas ostatniej ucieczki popełniłam ogromny błąd – wzięłam ze sobą inną dziewczynę. Starszą. Migdałiła się z jakimś kolesiem, oparta o ścianę bloku, a jego kumple zwiali z naszym całym dobytkiem, więc przestraszyłam się i wróciłam do Grianán. Dziewczyna nie wracała przez jakieś dwa tygodnie. Już nigdy nie zobaczyłam tamtych rzeczy, ale na szczęście nie straciłam mojej nowej gitary, bo ani na chwilę nie wypuściłam jej z rąk.

Staruszki prawie nie unoszą stóp, kiedy chodzą wokół budynku jak kaczęta za nieobecną matką. Wydaje się to nienaturalnie na opak, bo za nimi zawsze idzie zakonnica. Kacie pań wydają dźwięk, *szur-*

szur. Kiedy widzę te kobiety, dziwnie się czuję, jestem zaniepokojona, że dzieli nas dziedziniec, którego nie mogę przekroczyć, by zadać im trochę pytań. Wszystkie chodzą z pochylonymi głowami, broda ku klatce piersiowej, dłonie splecione na brzuchu, przez co wyglądają, jakby kogoś zamordowały i modliły się o wybaczenie, albo jakby były rzędem niewolnic idących na targ, skutych widmowymi, niewydającymi dźwięku kajdanami.

Położyłam się w jedynym łóżku, które stało puste. Przez całą noc pani obok nawoływała kogoś struchlałym głosem. Inne panie też czasem wołały. Wierciłam się w półśnie, próbując pojąć, dlaczego siostra Margaret posunęła się do tak skrajnych środków. Zwyczajową karą były ciche dni albo spanie na materacu na podłodze pod salą i samotne posiłki. Do swoich wracało się dopiero po tym, jak wszystkie dziewczyny uprały swoje ubrania w pralni przed zebraniem, które wypadało w środowe wieczory.

W pralni jest dość dziwnie. Po pierwsze, nie uświadczysz tam pralki. Jest tylko masa rur, może trzydzieści ogromnych białych zlewów i całe tony pajaków. Wszystko jest betonowe, a pierdyliony stóp wyłobity głębokie bruzdy w podłodze – wygląda to jak ta skała w Lourdes, którą przez sto trzydzieści lat pocierały liczne dłonie z nadzieją na cud w postaci dziecka.

W końcu usnęłam i śniło mi się, że na moim łóżku siedziała staruszka z boksu obok, łagodniejsza w obyciu i na oko o wiele lat młodsza, piłując paznokcie w ładniejszy kształt i śpiewając „Jak mam go pokochać”. A wtedy ścianki i zastony boksów zniknęły, a łóżka staruszek przeistoczyły się w rzędy grobów podpisanych MAGDALEN.



Po nocy w hospicjum nie uciekłam już ani razu. Rano, kiedy się obudziłam, wiedziałam, co siostra Margaret próbowała mi przekazać. Co najgorsze, wiedziałam, że nie jest mi niezyczliwa. Była zakonnicą, jakiej nigdy wcześniej nie poznałam. Celowo nie powiedziała mi, dlaczego zostałam wysłana do części budynku, o istnieniu której nie miałam pojęcia, czemu musiałam wspiąć się po schodach na piętro, na które nigdy nie pozwolono by mi pójść, gdybym o to poprosiła,

czemu stukałam do drzwi, których nie wolno mi było dotykać, a to wszystko bez obecności kogokolwiek z personelu.

Siostra pozwoliła mi samej dojść do tego wniosku – jeśli nie przestanę uciekać, pewnego dnia stanę się którąś z tych staruszek.

Kilka miesięcy po tym, jak przybyłam do Grianán, zauważyłam, że jedna ze starszych dziewcząt dostała pozwolenie na opuszczanie terenu szkoły, bo przygotowywała się do matury. Czyli mogła mieć normalne życie. Udało mi się namówić ojca i siostrę Margaret, żeby pozwolili mi chodzić do szkoły naprzeciwko i podchodzić tam do egzaminu. Nie było to zupełne kłamstwo, kiedy mówiłam im, że chciałabym pisać o wierszach i opowiadaniach, i że nigdy nie starczało mi czasu z Johnem, żeby się o nich uczyć, ale moim głównym celem było to, żeby nie zostać zakonnicej czy staruszką w przytułku, nie pracować w hali maszynopisania i nie musieć dzielić losu „gospodyń domowych”.

Za moje ciągłe ucieczki częściowo odpowiedzialna była siostra Margaret – nie powinna była kupować mi tej gitary. Kiedy zaprowadziła mnie do sklepu, wybrałam taką akustyczną z metalowymi strunami, żeby być jak mój starszy brat, Joe. Jako że to ona płaciła, przeszperałam regały i znalazłam jeszcze śpiewnik z piosenkami Boba Dylana, z tekstami i rysunkami chwytów. Naciągnęłam ją na niego. Powiedziała, że znajdzie mi nauczyciela, jeśli będę chciała, i pewnego dnia przyszła do mnie miła pani o imieniu Jeanette, która mówiła z bardzo angielskim akcentem, więc nie była ani drętwa, ani nudna. Pokazała mi, jak na podstawie obrazków z chwytami ustalić, co powinny robić moje palce. Pierwszą piosenką, którą nauczyłam się grać, była *To Ramona*.

*Ramona, come closer
Shut softly your watery eyes
The pangs of your sadness
Will pass as your senses will rise
The flowers of the city
Though breathlike,
Get deathlike at times*

*And there's no use in tryin'
T' deal with the dyin'
Though I cannot explain that in lines*^[11]

Wytrzymałam tylko jakieś dwie czy trzy lekcje, po czym zaczęłam uciekać. Ciągnęło mnie na scenę. Wolałam grać w parkach, łapiąc obolałymi palcami chwytę gitarowe na podstawie fotografii ze śpiewnika. Czasem wpadałam też do matki. Nawet kiedyś mnie tam dorwali. Zawsze musiałam wrócić po około dwudziestu czterech godzinach – nie miałam gdzie się podziać. Podczas tych kilku razy, kiedy to nie zostałam ściągnięta siłą, sama wlokłam się z powrotem. A potem kłamałam, odpowiadając na pytania, czy pod moją nieusprawiedliwioną nieobecność byłam u matki i czy kradłam (w obu kwestiach oczywiście, że tak). Ściemniałam też, kiedy musiałam kogoś kryć, jak na przykład kolegę mojego brata, który pozwolił mi zanocować na podłodze swojego biura i którego by za to zabili, gdyby się wszystko wydało.

Siostra Margaret próbowała pozbawić moją matkę wpływu na mnie. To było dla niej najtrudniejsze zadanie, bo zupełnie nie mogła do mnie dotrzeć. Nigdy nie chciałam nic powiedzieć, tylko w zupełnym milczeniu i z czerwoną twarzą wypłakiwałam całe wiadra łez. Po jakimś czasie siostra podchodziła do mojego krańca ławki i przytulała mnie jak jedno z tych swoich afrykańskich dzieci, żebym mogła się wypłakać w jej ładną, niebieską, zakonną bluzkę i zasmarkać ją, przez co chichotałam, a ona mówiła do mnie cichutko: „Och, Sinéady”.

W salonie śpiewała czasem piosenkę z Afryki, *Malikę*. Wydaje mi się, że oznaczało to „anioła”. Lubiła śpiewać. Przebywała w Afryce jako młodsza zakonnica, przez wiele lat. Ale zakonnicom mówią, dokąd mają jechać, a jej kazali wrócić do Irlandii. Kiedy o tym opowiada, jej oczy robią się granatowe od powstrzymywanych łez, a twarz odwraca ku oknu, jakby w poszukiwaniu ptaków. Jej praca polega na pilnowaniu smutnych dziewcząt, a sama jest smutnym dziewczęciem.

Naciągnęłam ją na czerwoną parkę w No Romance na George's Street – to sklep z punkowymi ciuchami. Kupiła mi ją, bo odchodzę. Odsiedziałam swoje, jak w tej piosence^[12], odzyskuję swoje życie. Ujmę to inaczej: dostaję życie, a ona kupiła mi parkę, żeby to uczcić. Kurtka jest super. Wyglądam teraz jak prawdziwa punkowa. Wydaje mi się, że siostra Margaret będzie chyba za mną tęskniła. Trochę pociąga nosem.

Gównu mnie teraz obchodzi ktokolwiek poza mną samą, więc ja nie pociągam nosem ani trochę. Po prostu chcę się stąd wynieść, żeby B. mnie zobaczył w mojej parce. Dlatego ją chciałam i dlatego naciągnęłam na nią siostrę Margaret. Najważniejszą rzeczą, którą straciłam, przyjeżdżając tutaj, była nadzieja na bycie z nim. On ma zieloną parkę. Było mi w niej z nim ciepło, to był jedyny czas, kiedy czułam się jak w domu, nie licząc domu Babci.

Wolno mi odejść, ponieważ zgodziłam się na przeniesienie do szkoły z internatem. Taka jest umowa. Na lato jadę do ojca, a później do placówki w Waterford. Później będę mogła odwiedzać ojca w co drugi weekend i w dni wolne od zajęć. Koleżanka mówi, że w pociągu do Waterford dwa jajka na twardo kosztują trzy funty dziesięć pensów. Za tyle to można kupić całą cholerną rodzinę kurczaków.

Grianán był pełen dzikich dzieciaków. Nie było tam ani jednej nudziary. Bardzo dużo się od nich nauczyłam o miejscu, w którym mieszkalam, i o tym, co inni myśleli o nas – mieszkańcach. Właściwie to więcej czasu niż na lekcjach spędziłam w toalecie: na papierosie i pogaduszkach z równie (czyli wcale nie tak bardzo) punkowymi dziewczynami jak ja. Palenie stanowiło jedyną rzecz, dla której warto było żyć, dla tych z nas, których nie cieszyło samo życie, a szkoła nigdy nie była miejscem zdobywania wykształcenia. Była schronieniem. Dostałam C z plastyki, D z jakichś innych przedmiotów, i zwyczajowe E, F i NK z pozostałych. NK to „nieklasyfikowana”. Nie przejęłam się tym.

Koniec końców było kilka pozytywnych rzeczy w czasie, który spędziłam w Grianán.

Zakochałam się ze wzajemnością w uroczym chłopcu, Davidzie. Był prawdziwym punkiem. Miał odpowiednią fryzurę, agrafki i wszystko.

Mój ojciec zabronił mi siadać na naszych meblach. Ciągle do Davida chodziłam. Jego matka była dla mnie naprawdę miłą, taka łagodna kobieta. On też. Jak baranek. Ciągle się czymś martwił i nikt nie mógł dojść czym. Jego matka powiedziała mi, że się o niego niepokoi. Ale ja spędzałam z nim chwile pełne wygłupów, nigdy nie wydawał mi się zmartwiony. Był naprawdę szczęśliwy, jego oczy świeciły jak u kosmity i całował mnie okropnie miękko, a jego rodzice siedzieli w kuchni obok salonu, kiedy z Davidem puszczailiśmy pierwszą stronę *Let's Dance* i się kochaliśmy.

Wiem już, że śpiewanie jest czymś, co zabierze mnie z dala od ludzi. Zanim opuściłam Grianán, śpiewałam na weselu Jeanette, mojej nauczycielki gry na gitarze. *Evergreen*. Nogi mi się trzęsły. Brat Jeanette, Paul Byrne, jest perkusistą zespołu o nazwie In Tua Nua. Razem z gitarzystą Iuanem O'Shea dali mi kasetę z muzyką. Poprosili, żebym napisała do niej jakieś słowa, bo szukają wokalistki. Siostra Margaret kilka razy dała mi wychodne w niedzielę, żeby zabrali mnie do studia Eamonna Andrewsa, gdzie pierwszy raz śpiewałam z pogłosem i słuchawkami. Tak bardzo kocham pogłos – brzmi jak w kościele. Siostra Margaret była dość wyluzowana, że mi pozwoliła. Wydaje mi się, że to dlatego, że obiecali mi zapłacić. Nie, żeby ona chciała te pieniądze. Po prostu była zadowolona, że mogę zrobić coś innego, niż kraść, żeby na siebie zarobić. Chłopaki zachowali piosenkę, której tytuł brzmiał *Take My Hand*, ale powiedzieli, że jestem za młoda, żeby z nimi śpiewać. Byłam tak zazdrosna o dziewczynę, która została ich wokalistką, że początkowo chciało mi się płakać, kiedy słyszałam, jak śpiewa mój tekst. Była taka wspaniała i piękna, i szczerze mówiąc, śpiewała go lepiej. Ja brzmiałam jak dziecko. Ona brzmiała jak kobieta. Dziecko nie może śpiewać piosenki, której narratorką jest Śmierć. Nie wiem, skąd mi się wzięły te słowa.

SONG TO THE SIREN

KOCHAM MOJĄ MACOCHE. Jest najbardziej uroczą kobietą na świecie. Więc mówię to z pełną życzliwością: ta kobieta nigdy nigdzie nie podwiezie cię samochodem. W skrytości ducha uważam, że jest w tym wielka mądrość. Gdyby podrzuciła jedno dziecko, pozostała siódemka oczekiwałaby tego samego. Jest protestantką. Oni są o wiele bardziej praktyczni. Nie mają tego całego poczucia winy. Szczerze jej to nie obchodzi. Żadne wielkie oczy ani trzepotanie rzęsami czy łzy, tupanie lub jęki nie sprawiają, że gdzieś cię zawiezie czy skądś odbierze. Przenigdy. Trzeba sobie radzić inaczej, albo przerażane. Więc kiedy zobaczyłam, że jej samochód jedzie w moją stronę przez Beechwood Avenue, a moja siostra płacze na fotelu pasażera, wiedziałam, że moja matka nie żyje.

Dopiero co wyszłam z mojej kawalerki, żeby – jak w każdą niedzielę – ruszyć pieszo ulicą do ojca. Mieszkam teraz z C., przyjaciółką, która w zeszłym roku wygrała konkurs na najlepszy kostium halloweenowy, chociaż wcale się nie przebrała. Ma romans z wokalistą Fine Young Cannibals. Oczywiście jest ładny, młody i obrabia ją na śniadanie, obiad i podwieczorek.

Poprzedniego wieczoru C. poszła spać, a my siedzieliśmy z Kevinem do późna i gadaliśmy. Kevin był wcześniej moim chłopakiem, ale znów jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Gra na kongach. Jest dla mnie taki dobry, naprawdę, słów mi brak. Nieważne, czy chodzimy ze sobą, czy nie. I tak jesteśmy najlepszymi kumplami. Siedzimy więc sobie w sobotni wieczór, dumamy, gadamy o wszystkim i niczym.

Zeszło na temat tego, jak byśmy zareagowali na śmierć któregoś lub obojga z naszych rodziców. Również z tego powodu, kiedy zobaczyłam samochód mojej macochy, już wiedziałam. Niesamowite, że coś nam

podsunęło ten temat poprzedniej nocy, a dowiadywałam się dopiero teraz.

Mój młodszy brat, John, był w tym samochodzie. Samochodzie mojej matki, nie macochy. Szczęśliwie fizycznie nic mu się nie stało, został wypisany ze szpitala i przekazany pod opiekę mojego ojca. Ma szesnaście lat.

Jechał na tylnej kanapie, w fotelu pasażera siedział inny mężczyzna. On również, na szczęście, nie ucierpiał fizycznie. Mój brat stracił przytomność i obudził się w szpitalu, gdzie powiedziano mu, że jego matka nie żyje. Nim dojechałam do domu ojca, już tam był, leżał w łóżku. Albo na kanapie – nie pamiętam dokładnie. Nie widzieliśmy go od wieków. Nigdy nie opuścił matki. My to zrobiliśmy.

Dla mojej matki przekroczenie przez którekolwiek z naszej czwórki progu domu mojej macochy stanowiło zdradę ostateczną. Matka nigdy by nie uznała, że jej zdrada wobec mojego brata miała jakiegokolwiek znaczenie. Ale wizja, że on mógłby zdradzić ją, była dla niego niczym ukrzyżowanie, bo tak bardzo potrzebował jej miłości. Był teraz mocno przybity tym, że tu był.

Niestety relacja ojca z moim młodszym bratem jest koszmarna. To zasługa zarówno matki, jak i ojca. Strasznie mojego brata wykorzystywali. Wynikła z tego cała seria koszmarnych wydarzeń, za które go obwiniono, podczas gdy ojciec zgrywał ofiarę.

Pomiędzy moimi rodzicami wywiązała się wojna o pewne rzeczy materialne, z których o wszystkie ojciec bardzo agresywnie walczył od czasu zakończenia ich małżeństwa dziesięć lat wcześniej. Szczególnie o biżuterię. Figurki Capodimonte. Portrety. Różne inne przedmioty. Moja matka ukryła niektóre z tych dóbr na strychu, a inne w banku. Podjęto liczne próby odebrania jej ich, ale żadna z nich nie okazała się skuteczna.

Na kominku stało ich zdjęcie ślubne. Ojciec przedał je na pół i złożył z powrotem w ramce jak puzzle.

Matka wszystkie doczesne dobra zostawiła moim braciom, więc ojciec nie miał nic do powiedzenia w kwestii majątku. Ona już nie żyła, ale wojna trwała. Sprytna suka. Nie zostawiła swoich rzeczy moim braciom z troski o nich – zrobiła to, by wygrać wojnę. Wszyscy byliśmy dla niej drugorzędni. Zawsze tak było. A przynajmniej tak to czuję.

Można się zastanawiać, jak to u diabła możliwe, że ci ludzie uprawiali ze sobą wystarczająco dużo seksu, żeby powołać do życia czworo dzieci, skoro się tak szczerze nienawidzili.

Zawiniła gołoledź. Na nowej drodze, którą budują w Shankhill, obok kościoła. Jechała na mszę. Autobus upadł w poślizg, a może ona. Nie wiem. Nie będę cisnąć brata o szczegóły. Ona nie żyje. A naszej czwórce – za pośrednictwem mojego ojca, a następnie macochy – dostarczono wskazówki z domu pogrzebowego, wraz z pięćdziesięcioma funtami, żebyśmy poszli do Dunnes i kupili jej do trumny sukienkę „zapinaną pod szyję”.

Poszliśmy – czwórka dzieciaków – do jej domu. Byliśmy w szoku. Szperaliśmy we wszystkim jak wrony. W ogródku od frontu rozpaliliśmy ogień w puszcze po herbatnikach, którą wypełniliśmy dosłownie górą Valium ze wszystkich buteleczek, które znaleźliśmy. Pochłaniała ten lek, jak to się mówi, latami. Już nawet nie potrzebowała recepty. Aptekarz po prostu jej go wydawał.

Jeszcze się nie przyzwyczaiłam do mówienia o niej w czasie przeszłym.

W dziale odzieżowym w Dunnes zaśmiewaliśmy się histerycznie, na przemian płacząc. Wydało się nam to kretyńsko śmieszne, że uroczą dziewczyną, która nas obsługuje, nie ma pojęcia, że kupujemy sukienkę, którą nasza matka będzie nosiła przez wieczność. Im bardziej pomocne pytania zadawała ekspedientka, tym bardziej musieliśmy się powstrzymywać, żeby się nie posikać. Biedaczce musiało się wydawać, że właśnie wypuścili nas z zoo.

Nie wydaje mi się to dalekie od prawdy.

W kościele czułam autentyczny gniew, kiedy wszyscy podchodzili, żeby ucisnąć nam ręce. To było dzień przed pogrzebem. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Nigdy nie widywałam tych ludzi, kiedy żyła. Byłam wściekła, że nam nie pomagali. Albo jej. Połowy nawet nie znałam. A ci, których znałam, uprawiali mnie w jeszcze większą wściekłość. Wiedzieli. Nie znali szczegółów. Ale wiedzieli. I nie zrobili nic, poza przyjściem dziś i ściskaniem nam rąk, i mówieniem, jak bardzo żałują naszej straty. Kusiło mnie, żeby zapytać, *Której dokładnie?* Ale nie chciałam jeszcze bardziej denerwować mojego starszego brata, Joego. Mieliśmy większe szanse, że nasza matka powstanie z grobu

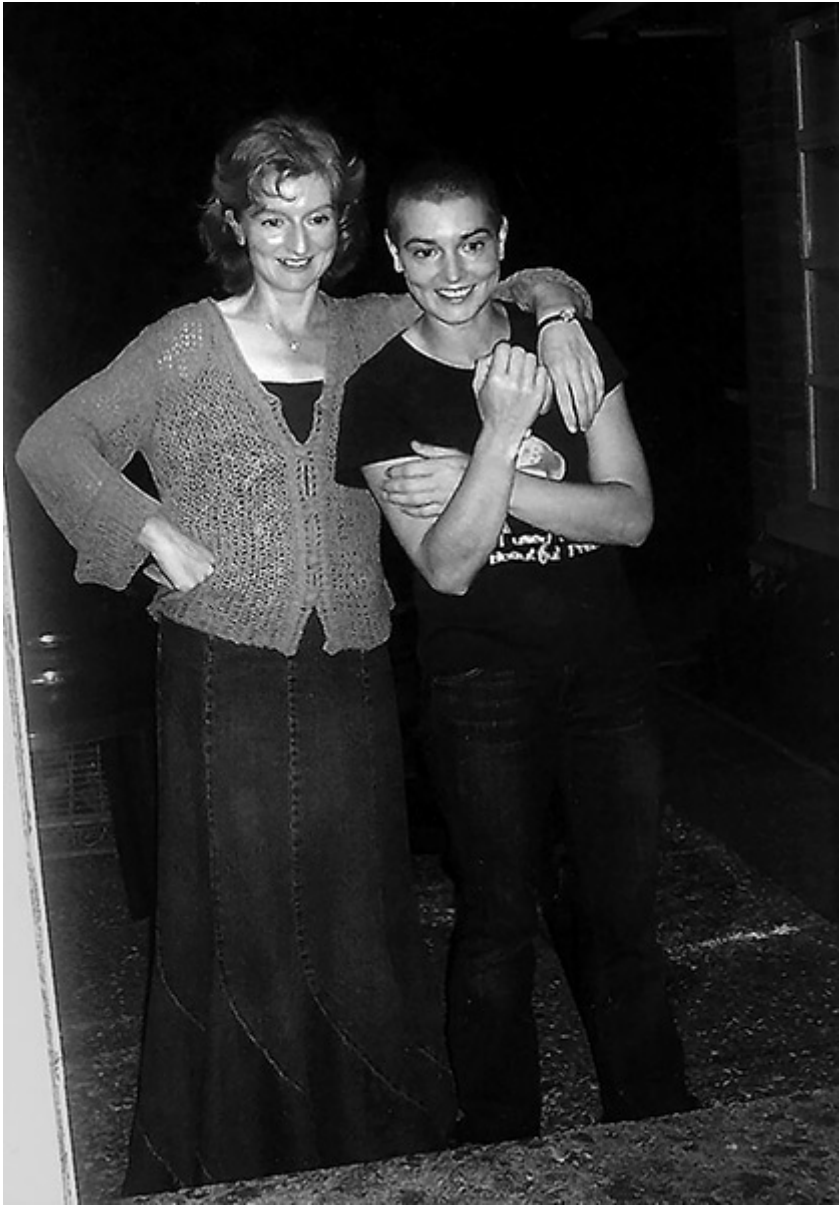
w którąś Wielką Sobotę, niż że kiedykolwiek odzyskamy to, co naprawdę straciliśmy. Czyli nas samych, wiele lat wcześniej.

Poprzedniej nocy wrzeszczałam ku niebu na Boga. Wyzywałam go od okrutnych dupków, jakich świat nie widział, aż się w końcu porzygałam. Mówienie Mu tych wszystkich nienawistnych rzeczy strasznie bolało. Nie pierwszy raz to robiłam.

Jego odpowiedzi są zawsze nieme. Trochę mi to zajęło, żeby się w tym połapać. Początkowo strasznie mnie to wkurzało. Myślałam, że milczenie oznacza, że Go to nie obchodzi. Więc wrzeszczałam dalej, aż się wywrzeszczałam, i sama mogłam być tylko milczeniem. Wydawało mi się, że powinno się słyszeć Jego głos, jak opowiadają. Ale dowiedziałam się, że On nie może mówić, bo sam strasznie dużo płacze. A kto umie mówić, jednocześnie szlochając?

W domu pogrzebowym mój ojciec płakał nad ciałem matki. Powtarzał w kółko „Przepraszam, Marie”, i tak raz po raz. To też mnie wkurzało. Czemu teraz przeprasza, a nie wcześniej? Czemu żadne z nich nie powiedziało „Przepraszam” naszej czwórce? Czemu prowadzić wojnę, a potem mówić „Przepraszam”, kiedy ta druga osoba już nie żyje? Uciekłam z domu pogrzebowego. Szłam ulicą przez Glashule, do Dun Laoghaire. Nie wydaje mi się, żebym kiedyś przestała uciekać. Nie wiem, jak miałybyśmy kiedyś przestać być wściekła. Teraz już nic się nie da naprawić.

Następnego dnia, kiedy czekaliśmy w salonie mojego ojca na samochody pogrzebowe, postanowiłam, że umrę od papierosów. Uznałam, że przez całe swoje życie będę palić, i palić tyle papierosów, ile będzie trzeba, żeby wysłały mnie do mamy. Nic nie pamiętam z pogrzebu, tylko stopy dookoła grobu. Patrzyłam w dół, jak wszyscy. Płacząc.



Sinéad z siostrą Éimear
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

SIOSTRY

MOJA SIOSTRA ÉIMEAR (wymawia się „limir”) jest ode mnie starsza niecałe czternaście miesięcy. Była dla mnie zawsze jednak zarówno matką, jak i siostrą.

W dzieciństwie dzieliłyśmy łóżko. Miałyśmy umowną linię pośrodku. I niech Bóg ma w opiece tę, która ją przekroczyła, niechcący albo specjalnie. Tłukłyśmy się na kwaśne jabłka. Ciągle to robiłyśmy, jak para chłopaków.

Ale jeśli zdarzyło nam się przeholować, Éimear natychmiast przechodziła w tryb matki. Na przykład, pewnego bożonarodzeniowego poranka – w domu mojego ojca, w którym dzieliłyśmy pokój z dwoma jednoosobowymi łóżkami – pokłóciłyśmy się i Éimear rozdeptała mojego świętego Mikołaja z czekolady, więc dałam jej bezlitosnego kopniaka w tyłek i rzuciłam się w stronę drzwi, a ona ruszyła za mną w pogon. Jednak zanim udało mi się uciec, skręciłam kostkę i padłam na ziemię, wrzeszcząc z bólu. W ułamku sekundy Éimear rzuciła się na podłogę obok mnie, dopytując „O Boże, co ci się stało?”, i już było po awanturze. Kocha mnie. Nie wiem czemu. Ale tak jest.

Z jednego powodu, tylko tego jednego, dzielenie z nią pokoju u ojca było koszmarem: kochała się w Barrym Manilowie. Więc jej połowa pokoju była oblepiona ogromnymi plakatami z nim, a moja z Siouxsie and the Banshees. Każda z nas budziła się w piekle, jak sądzę, jeśli moje plakaty straszły ją w nocy tak samo jak mnie jej romantyczna paplanina o Manilowie.

Wcześniej kochała się w Danielu Boone. To jeszcze mogłam zrozumieć. Ale nie Manilowa. Jednak patrząc na to inaczej, to chwala Bogu, że nigdy nie interesowali nas podobni faceci. Ja lubię punków i niegrzecznych chłopców. A ona porządnych nudziarzy.

Ona nigdy nie podpadała ojcu. Co mnie strasznie wnerwiało. Ja zawsze miałam przerąbane. Czasem dzwoniłam do ojca, udając Éimear, bo nie umiał nas odróżnić przez telefon, i dzięki temu mogłam się dowiedzieć, jaka kara czeka Sinéad po powrocie do domu.

Nadal uwielbiamy rozwalać czekoladę na pamiątkę tamtego numeru z Mikołajem, więc każdego roku na Boże Narodzenie rozdeptyjemy kilka takich figurek, a na Wielkanoc tłuczemy młotkiem piękne czekoladowe kurczaczki. Zapoczątkowałyśmy tę tradycję, kiedy Éimear przechodziła przez rozstanie. Płakała w kuchni, a że była Wielkanoc, to ktoś dał jej czekoladowego kurczaka w koszyku, więc wystarczyło, że podałam jej młotek. Śmiała się przez łzy, tłukąc go w drobny mak.

Chociaż Éimear nigdy nie wpadała w tarapaty, nie oznacza to, że nie miała chęci na rozróby. Po prostu w przeciwieństwie do mnie nigdy jej nie przyłapywali. W szkole była idealna. Robiła piekło z życia mnie i mojemu małemu gangowi, czyli wszystkim „niedobrym” dziewczynom. Ganiała nas, a ja zatrzymywałam się i składałam palce w kształt kwadratu, nazywając ją kwadratogłową nudziarą. Doprowadzałam ją tym do szału. Ale w porównaniu ze mną jest nudna. I zazdroszczę jej tego. W skrytości ducha o tym marzę. Nie ma nic przyjemnego w byciu trochę nudziarą, a trochę artystką.

Dziś Éimear ma doktorat z historii sztuki. Jest bardzo mądra. I nie ma ani odrobiny cierpliwości do głupoty. Lata temu miała sklep, w którym sprzedawała swoje własne obrazy, wspaniałe. Sama założyła drzwi do tego sklepu. Ogromne drzwi, a ona zdołała sama przykręcić wszystkie zawiasy. A waży połowę tego co ja. Zawsze jej się wydaje, że jest gruba. Ale wcale tak nie jest.

Różni się ode mnie tym, że ma rudy kolor włosów i dobrą samoocenę. Ja nie mam ani tego, ani tego. Każę mi powtarzać przed lustrem afirmacje: „Jestem zdolna do miłości. Jestem zdolna do bycia kochaną. Kocham i akceptuję siebie” i tak dalej. To nie działa, ale kiedy spędzam z nią czas, bardziej siebie lubię. Bo ona mnie lubi i nie trawi nikogo, kto nie lubi mnie. Éimear nie ma żadnej choroby psychicznej. Nigdy nie była upierdliwa. Nie jest trudna ani nadmiernie emocjonalna jak ja. Nie jest mściwa jak ja. Nie ma w sobie złośliwości. Potrafi odejść od źródła przemocy, sama jej nie zadając. Chciałabym mieć te jej cechy. Bóg mi świadkiem, że nad tym pracuję.

Całkiem niedawno przyszła mnie odwiedzić w szpitalu. Trzymała mnie za rękę i chodziła ze mną po ogrodzie, mówiąc: „Kocham cię”. Nagle poczułam się, jakbyśmy znów byli małymi dziećmi. W dzieciństwie włóczyłyśmy się razem po ulicach Dublina – po Moore Street, Parnell Street. Chodziłyśmy na frytki do Kingfishera za pieniądze, które wyżebrałyśmy wcześniej od przechodniów, mówiąc im, że potrzebujemy na bilet autobusowy do domu. A tak naprawdę robiłyśmy wszystko, żeby *uniknąć* bycia w domu. (To było wtedy, kiedy mieszkaliśmy z matką). Robiłyśmy wszystko, żeby nie wracać, bo w domu czekało na nas tylko lanie. W niektóre wieczory jeździłyśmy po prostu autobusem od jednego końca linii do drugiego z nadzieją, że matka będzie już spała, kiedy wrócimy do domu. Stanowiłyśmy dziwny widok: żebrzące dzieci z klasy średniej w brudnych, od lat niepranych ubraniach. Nieźle nam szło to żebranie – musiało, bo inaczej byśmy głodowały. Latem, kiedy wszystkie dzieci cieszyły się na czas spędzony w domu, my ukrywałyśmy nasze kije do hokeja na trawie i płakałyśmy. Wiedziałyśmy, że czekają nas tygodnie przemocy. Inne dzieci oczekiwały tygodni radości, ich matki się uśmiechały. Nasza toczyła pianę z ust. I nie było w zasięgu wzroku nikogo, kto mógłby nas uratować. Ani chwili wytchnienia. Tylko nieuchronność przeznaczenia.

ANY DREAM WILL DO

Z MOIM BRATEM, JOSEPHEM, mam podobną relację jak z ojcem, ponieważ dogadujemy się wyłącznie wtedy, kiedy dyskutujemy o muzyce. Kiedy tego nie robimy, mój brat mnie nie lubi. Bo jestem upierdliwa i nadmiernie emocjonalna. Jednak gdy dorastaliśmy, był moim bohaterem. Wszędzie chodziłam z jego pustym futerałem od gitary, żeby wyglądać tak cool jak on. Chociaż przeszedł przez etap, podczas którego chciał zostać księdzem, to zamiast tego mądrze wybrał karierę pisarską. Napisał, muszę to przyznać, jedną z moich dwóch ulubionych powieści wszech czasów, czyli *Redemption Falls*^[13] (drugą jest *Mistaken* Neila Jordana).

Spędziłam z nim w sumie może godzinę, odkąd zmarła nasza matka, a miałam wtedy osiemnaście lat. Dzieciom wychowanym w przemocy ciężko być obok siebie – wyzwalacze emocji i wspomnienia. Do tego pewnie o raz za dużo wyprowadził mnie z równowagi. Do tego pewnie o raz za dużo ja go wyprowadziłam z równowagi. Jesteśmy wybuchowi, O'Connorowie. To smutne, naprawdę. Nie dano nam przykładu, że krew nie woda. Jestem pewna, że w naszych żyłach płynie woda zamiast krwi.

Joe gra na gitarze. Niezbyt dobrze, ale gra. Moja siostra gra na harfie, a młodszy brat na perkusji. Zawsze mi się wydawało, że super by było nagrać razem płytę i nazwać ją „Fuck the Corrs”. Ale żarlibyśmy się tak, że Liam i Noel Gallagherowie byłiby przy nas jak koteczki.

Zabawny jest ten mój brat Joe. Tak śmieszny, że można się posikać. Bardzo za nim tęsknię. I czuję się ze sobą okropnie, że jesteśmy tak daleko. Ale nadal jest moim bohaterem. Kocham go całą moją duszą.

JOHN, I LOVE YOU

MÓJ BRACISZEK JOHN jest ode mnie dwa lata młodszy. Miał bardzo ciężko z moją matką. Noce, w które słyszałam, jak krzyczy, błagając o litość (na jej rozkaz), i nie mogłam go uratować, miały ogromny wpływ na mój aktywizm i problemy z radzeniem sobie z agresją. Nie mogłam go uratować. Nie mogłam go uchronić. Nie mogłam nawet ruszyć mięśniami, żeby pójść do jego pokoju. Przez całe życie jestem wściekła na moją matkę. Ale przenieśliśmy to uczucie gdzie indziej. Nie byłam w stanie przyznać, że jestem wściekła właśnie na nią, więc wyładowywałam się na świecie. I spaliłam prawie każdy most, który kiedykolwiek przekroczyłam.

Gdybym mogła się cofnąć w czasie i uderzyć moją matkę albo doprowadzić do jej aresztowania, zrobiłabym to. Ani ja, ani John nie wyszliśmy z tego tak dobrze przystosowani do życia jak nasze starsze rodzeństwo. Matka nie udzieliła nam lekcji z poczucia własnej wartości, jak Joemu i Éimear. Nasza matka nauczyła nas tylko tego, że zrujnowaliśmy jej życie. Upokarzała Johna przed nami i nas przed Johnem. Ileż to razy przyznawałam się do czegoś, czego nie zrobiłam, żeby go za to nie zbiła. Zamiast niego biła wtedy mnie.

Wiem, że Éimear czuje podobnie, jeśli chodzi o mnie. Skrzywdziło ją to, że nie mogła mnie uratować. Podobnie jak mnie skrzywdziło to, że nie mogłam uratować Johna.

Pewnego razu, kiedy byliśmy nastolatkami, poszliśmy z Johnem do kina na horror *Halloween*. Morderca nosił białą maskę hokejowego bramkarza. John ganiał mnie później do końca O'Connell Street w swoim białym kasku motocyklowym założonym tył na przód. Jak to się stało, że się na nic nie władował, tego nigdy nie pojmem. Napędził mi koszmarne stracha.

Kiedyś, podczas udawanej bójki, ugryzłam go w nos. Sprytny gnojek nasmarkał mi do ust.

Jesteśmy naprawdę porąbaną rodziną. Nawet nie pasuje do nas to określenie: *rodzina*. Powinno podnosić na duchu. A jest inaczej. To słowo boli, rani niczym nóż. Kroi serce na kawałki. Tym bardziej, że jest zbyt późno, by cofnąć czas i zrobić coś inaczej.

O MOIM OJCU

KIEDY MIAŁAM JAKIEŚ PIĘTNAŚCIE LAT, próbowałam sobie załatwić haszysz, ale nigdy nic z tego nie wyszło. W dużej mierze dlatego, że koleś, któremu dałam piątaką, umarł. I nie, to nie mój ojciec go zabił.

Koleś był współnikiem mojej przybranej siostry, a ojciec wiedział, że jest jakiś szemrany. Pewnego wieczoru ten typ czał się na ścieżce przed frontowym ogródkiem ojca, zerkając przez żywopłot i czekając, aż moja siostra wyjdzie z domu. Ojciec go wysledził i zwabił do ogrodu gadką typu: „Chodź, chodź, ona zaraz wyjdzie”, po czym zwałił go z nóg na trawę, jednym ciosem w skroń. Facet był wysoki i chudy jak tyczka. Ojciec ma metr sześćdziesiąt, jak ja.

Koleś był tak durny (jak Bill Clinton w gabinecie owalnym z cygarem i Monicą Lewinsky), żeby wrócić któregoś wieczoru, zakładając, że mojego ojca nie będzie w domu. Mój braciszek był wtedy na tyle mały, że jeździł na rowerku trójkołowym. Rower stał przed głównym wejściem, na tycim ganku wyłożonym czerwonymi kafelkami. Gdy tylko mój ojciec zauważył chłopaczka, chwycił za rowerek, pobiegł z nim do bramki, wsiadł na niego i pogonił typa do końca ulicy, kolanami prawie kopiąc się po twarzy przy każdym obrocie pedałów. Biedak uciekał ile sił w nogach przez wiele mil, zerkając co kilka sekund przez ramię z twarzą wyrażającą czyste przerażenie, można by pomyśleć, że goni go sam Freddy Krueger.

Kiedy mój starszy brat był mały, codziennie rano pod szkołą dokuczał mu pewien pies. Ponieważ przez kilka tygodni sytuacja się nie zmieniała, pewnego dnia ojciec odprowadził brata, żeby zlokalizować psa. Ten zaczął warczeć na Joego, szczerząc kły. Mój ojciec dał mu jednego kopniaka rodem z Francis Street. Pies już nigdy nie zbliżył się do Joego. Z moim ojcem się *nie* zadziera. Wydaje mi się, że jestem jak on.

Kiedyś w szkole, gdy z siostrą miałyśmy odpowiednio pięć i sześć lat, przyparłyśmy do muru pewną biedną dziewczynkę, która ośmieliła się stwierdzić, że jej ojciec jest ładniejszy od naszego. Ponieważ nasz tata jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, nie zamierzałyśmy dać sobie w kaszę dmuchać i kazałyśmy jej to odszczekać. Nie żebyśmy zamierzały zrobić jej krzywdę i nie groziłyśmy jej niczym konkretnym ani nic takiego. Po prostu ogłosiliśmy nasze absolutne odrzucenie jej oceny sytuacji, po czym górowałyśmy nad nią w milczeniu, aż to odwołała. Z dumą poinformowałyśmy później ojca, że jego honor i reputacja zostały ocalone.

Powinnam wspomnieć, jeśli jeszcze tego nie zrobiłam, o jego imponującej i inspirującej pokorze. Której mam nadzieję mieć po nim choćby kroplę.

W wieku osiemdziesięciu dwóch lat jest, oczywiście, na emeryturze. Pracował jako inżynier budowlany. Ciągle jednak podnosi mnie na duchu, kiedy jest mi źle. Sprawia, że znów się czuję wielka, kiedy mam wrażenie, że jestem mała. Kocham go bardzo i żałuję tych wszystkich lat, kiedy nie odzywałam się do niego, bo byłam młoda i głupia. Każdej młodej osobie odradzam takie zachowanie. Czas mija szybko i nie można go odzyskać.

Ale teraz jesteśmy już razem i to ogromne błogosławieństwo dla nas obojga.

WIERSZ Z MOJEGO DZIECIŃSTWA

Dziecko, które mówiło, nie mówi już
Jeśli zatańczysz ze mną, dam ci zapaść w sen
Nie potrzebujesz marzeń, gdy będziesz ze mną spać
Jeśli twoje ciało jest puste, możesz zamieszkać mnie

Jestem tym, którego dłoń wzięła, choć nie lubię nazw
Jedni zwą mnie muzyką, inni wielkim rozgrzeszycielem
Byłem z nią, gdy myślała, że jestem duszą z chmur
Udawałem z miłości, chcąc być jej przyjacielem

Czemu? Bo jest wrażliwa, nie chcemy jej stracić
Mało kto taką wiarę ma
Prosiła o pomoc, a usłyszałem
Gdy szepcze też: „zniknąć już czas”

Objąłem wiotką kibić jej
Ma twarz granatem, zielenią i czerwienią zapłonęła,
Porwałem ją we wszechobecny taniec
Oblałem ją światłem i się rozpułyła

CZĘŚĆ DRUGA



Nastoletnia przedsiębiorczyni
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

KIM JESTEŚ?

DZIEŃ, W KTÓRYM OPUŚCIŁAM IRLANDIĘ, był najlepszym dniem w moim życiu, a gdy tylko znów z niej wyjeżdżałam, przeżywałam kolejny najlepszy dzień.

Wyszło na to, że ktoś na górze mnie lubi, bo w 1985 roku, jakieś dwa tygodnie po tym, jak pochowaliśmy moją matkę (spokojnie, najpierw upewniliśmy się, że naprawdę nie żyje), odezwali się do mnie ludzie z Ensign Records. Zrobili to za pośrednictwem gościa, który nazywał się Ciaran Owens, a którego poznałam, śpiewając z Ton Ton Macoute, zespołem, do którego dołączyłam poprzedniego lata. Zespół otrzymał swą niefortunną nazwę po haitańskiej tajnej policji, a wybrał ją lider i basista Colm Farrelly, który szczyił się, że jest trochę czarownikiem.

Zamieściłam ogłoszenie w „Hot Press”, jedynym magazynie muzycznym w Irlandii. Napisałam, że jestem wokalistką i szukam zespołu. Włączyłam się po przedmieściach Dublina, by brać udział w przesłuchaniach organizowanych w garażach i salonach różnych ludzi, i zdecydowałam się wreszcie na Ton Ton, bo inaczej niż cała reszta nie wyglądali na nudziarzy. A jeśli chodzi o muzykę – totalne szaleństwo Colma było czynnikiem decydującym.

Zgodził się też na to, żebyśmy grali jakieś moje piosenki, na co nie przystały inne zespoły. Inne zespoły chciały, żebym do końca życia śpiewała *Summertime*, a ja prędkiej dałabym sobie wykłuć oczy.

Ton Ton utrzymał się jakiś rok. Gruba sycha w branży muzycznej, dyrektor Nigel Grainge, oraz Chris Hill z Ensign chcieli przeszukać Irlandię pod kątem artystów, bo mieli w stajni the Boomtown Rats i Thin Lizzy. Ciaran Owens był jednym z ich zwyczajowych doradców co do tego, co jest teraz modne, a co nie. Zabrał ich na nasz koncert sześć miesięcy wcześniej.

Teraz namierzili mnie za pośrednictwem Ciarana i zadzwonili. Powiedzieli, że chcą, żebym przyjechała do Londynu i nagrała demo z Karlem Wallingerem z The Waterboys, i pytali, jak szybko mogę to zrobić. Nie chcieli całego zespołu, tylko mnie, a mnie to pasowało, bo kilka tygodni wcześniej odkryliśmy, że Colm chomikuje dla siebie wszystkie pieniądze, jakie udawało nam się zarobić, więc zespół się rozpadł.

Nie minęło czterdzieści osiem godzin od telefonu z Ensign, a już byłam w samolocie, dzięki stu funtom życzliwie zaproponowanym mi przez cudownego szefa restauracji, w której wówczas pracowałam – the Bad Ass Café w Dublinie – gdzie wraz z pozostałymi kelnerkami nosiłam koszulkę z napisem „NICE PIZZA ASS^[14]” (Nie żartuję, serio nie rozumiałam, o co chodzi, do jakiegoś dwudziestego ósmego roku życia).

Nagrałam z Karlem demo czterech piosenek, z czego trzy, koniec końców, znalazły się na mojej pierwszej płycie *The Lion and the Cobra*. Pierwsza piosenka była zatytułowana *Drink Before the War*, a napisałam ją rok wcześniej. Opowiadała o dyrektorze mojej szkoły, który miał kij w dupie i nienawidził tego, że piszę piosenki, i urabiał mojego ojca, żeby ten nie pozwolił mi zabrać gitary, kiedy wracałam do szkoły z internatem, mimo że nic innego nie umiałam robić, tylko pisać piosenki. Chodziłam palić papierosy dokładnie pod jego furtką, żeby mnie wyrzucił ze szkoły, w ramach protestu przeciwko jego protestowi przeciwko mojemu muzykowaniu. Nie zadziało. Pewnego poranka objechał mnie przed całą szkołą na apelu. Był niemiłosiernym snobem. „Jeśli zamierzasz pisać piosenki – marudził pod swoim pompatycznym nosem – do końca życia będziesz używać tylnych drzwi”. Ostatnie dwa słowa wypowiedział, jakby ich dosłownym znaczeniem było „psie gówno”. Nie miał pojęcia, że w tym wszystkim właśnie chodziło o wchodzenie tylnymi drzwiami. Dla niego zabawa stanowiła wroga publicznego numer jeden.

Miał swoje powody do złości: jeden z moich nauczycieli, wspaniały czarnobrody miłośnik muzyki o nazwisku Joe Falvey, miał przyjaciela, który był właścicielem studia nagraniowego w Cork. To było całkiem spory kawałek samochodem z Waterford, gdzie mieściła się nasza szkoła. Wraz z moim kolegą Jeremym graliśmy na gitarach na ulicach Waterford i dorobiliśmy się niezłej sławy, więc kilka razy pan Folvey

zabrał nas do Cork na całonocne nagrania, po których zakradaliśmy się rano do szkoły. I wszystkich nas na tym przyłapali.

Z Jeremym graliśmy na ulicy również w weekendy i w tygodniu po szkole. Zaczęliśmy nawet występować w jednym z pubów. Więc raczej zupełnie nie skupialiśmy się na nauce. Mieliśmy ją totalnie gdzieś. Podobnie pan Falvey. A dyrektorowi się to nie podobało. Ściągaliśmy na szkołę niesławę rock'n'rolla.

Pewnego piątkowego poranka, kilka tygodni po tym, jak nie udało mi się zostać wyrzuconą ze szkoły, obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że tego dnia zaczynam lekcje od podwójnych zajęć z gospodarstwa domowego. Nie chciałam zostać gospodynią domową. Miałam już o tym jakieś pojęcie i nie podobało mi się to. Nienawidziłam gotować. Poza tym chciałam sypiać z więcej niż jednym mężczyzną.

Poprosiłam mojego kolegę Hugh, żeby pomógł mi się dostać na pociąg powrotny do Dublina. Nie pamiętam, czy mnie odwiózł, czy jak w ogóle dostaliśmy się na stację, ale pomagał mi się spakować i wsadził mnie do pociągu.

Poszłam do Colma. Był starszy od reszty towarzystwa z Ton Ton Macoute, ale wciąż mieszkał ze swoją starą matką. Zostałam u niego na kilka nocy i dostałam trochę kasy na podnajęcie pokoju w Dublinie, w dzielnicy o nazwie Dolphin's Barn.

Przez mniej więcej tydzień nie kontaktowałam się z ojcem. Kiedy to wreszcie zrobiłam, dobrze zareagował. Zdawał sobie sprawę z tego, że już podjęłam decyzję. Znalazłam pracę i dołączyłam do zespołu. Ojciec był sprytny. Dawał mi dwieście funtów miesięcznie, co stanowiło równowartość mojego czynszu i ani funta więcej, nie mogłam więc siedzieć na tyłku i nie pracować, jeśli chciałam coś jeść albo płacić rachunki. Nie żebym zamierzała się objąć. Ale było to naprawdę bystre.

W pokoju nade mną mieszkał brukarz, ogromny facet. Musiałam kiedyś pożyczyć od niego dwadzieścia funciaków. Kiedy spóźniałam się ze zwrotem, włamał mi się do pokoju pod moją nieobecność i wszystko mi ukradł. Włącznie z fletem, który dostałam od mojej przyjaciółki Barbary. Przeprowadziłam się.

W zespole nic tylko tłukliśmy próby, przez cały dzień, codziennie, z wyjątkiem godzin pracy, a potem całe wieczory również, bo graliśmy trochę koncertów w pubach i braliśmy udział w konkursach talentów. Mieliliśmy salę na strychu starego budynku przy Crown Alley, a ja pracowałam przy tej samej ulicy. Mogłam jeść tyle pizzy, ile dusza zapagnie. Mogłam uwodzić tylu kucharzy, ile dusza zapagnie. I śpiewać, ile dusza zapagnie.

Dostałam też pracę jako dziewczyna od pocałunkogramów. Kolesie płacili po dwadzieścia pięć funtów, żeby zobaczyć mnie w stroju francuskiej pokojówki, jak mówię głupi wierszyk z koszmarnym francuskim akcentem i wkładam parę francuskich falbaniastych majtek na głowę jakiegoś nieszczęśnika. Jako że była to Irlandia, oczywiście nie było w tym żadnego całowania, na przekór nazwie stanowiska pracy.

Płacili mi sześć funtów z tych dwudziestu pięciu. Moja przyjaciółka Barbara (od której dostałam ten flet, który mi później skradziono) była żoną Steve'a Wickhama, skrzypka z In Tua Nua i The Waterboys. Któregoś dnia zapytała mnie, czy ona też mogłaby zostać dziewczyną od pocałunkogramów, bo trochę jej się nudziło. Była Amerykanką z Atlanty, więc miała ode mnie więcej odwagi. Była wspaniała, przebojowa i blond. Facet prowadzący tę firmę, która nazywała się Gorące Usta, w pełni to wykorzystał i przebrał ją w bikini z przywiązanymi do stanika i majtek balonami, które faceci mogli gryźć.

Byłam trochę zazdrosna. Ale potem dostałam swój ulubiony strój, czyli „Niegrzeczną Zakonnice”, z przodu pełen habit od góry do dołu, a z tyłu od talii w dół nic, tylko kabaretki i szpilki.

Czułam, że to takie niewłaściwe, ale zarazem jakże odpowiednie.

Przypuszczam, że byłam najgorszą dziewczyną z pocałunkogramu, jaką widział świat. Koszmarnie się wstydziłam. A wierszyki, ułożone przez właściciela biznesu, były żenująco obciachowe. Trzęsłam się, czytając je i uciekałam od razu, kiedy udawało mi się je wykrztusić.

Facet, który prowadził tę firmę, świadczył też usługi gorylogramów i tarzanogramów dla pań. Mieszkał w budynku, który był chyba dawnym przytułkiem dla chłopców prowadzonym przez księżę. Teraz przebywali w nim jeden ksiądz i kilku młodych mężczyzn. W nadświetlu nad drzwiami wejściowymi stała wielka jasnoniebiesko-biała figura Maryi Dziewicy. A gościu od firmy miał czerwony

samochód z gigantycznymi czerwonymi ustami na dachu. Kiedyś zjeździliśmy tym autem cały cmentarz Deansgrange, szukając grobu mojej matki – niech Bóg zlituje się nad nami – on w swoim kostiumie goryla, ja w stroju francuskiej pokojówki, i rechotaliśmy jak głupi.



Nagrałam dla Ensign również demo piosenki *Just Like U Said It Would B*, w której zagrał Steve Wickham. Też weszła na moją pierwszą płytę. Opowiada o czymś, czego nauczyłam się od pewnego pastora na temat sztuki i rezultatów odmawiania Psalmu 91, z którego pochodzi tytuł mojego albumu.

Następna była *Never Get Old*, kolejny utwór napisany przeze mnie w szkole, o pewnym cichym chłopcu, w którym skrycie kochały się wszystkie dziewczyny. Miał własnego jastrzębia. Zabrał mnie kiedyś na pola i pokazał mi go. Pozwolił mi włożyć skórzaną rękawicę i nakarmić ptaka kawałkami surowego mięsa. Ten chłopiec miał bardzo łagodne serce.

Na podstawie taśm demo zaproponowano mi kontrakt płytowy, który podpisałam piątego sierpnia 1985 roku. Prawnik, do którego wysłał mnie Ensign, błagał mnie, żebym pozwoliła mu postarać się o lepszą ofertę dla mnie. Ale nie zamierzałam ryzykować. Byłam usatysfakcjonowana. Chciałam tylko jak najszybciej wydostać się z Irlandii i uniezależnić finansowo, i nie zamierzałam czekać na kolejną okazję. Podpisałam kontrakt na siedem procent, co oznaczało siedem procent od sprzedaży płyt, a do tego musiałam sama opłacić wszystko, co wiązało się z nagrywaniem, promocją i trasami koncertowymi.

Obowiązkiem prawnika jest przeczytać mi każdy zapis w umowie, dla pewności, że ją rozumięłam. Ale ja miałam osiemnaście lat, a kiedy ma się osiemnaście lat, kontrakty to straszna nuda. Chwilę przed tym, jak moje oczy wreszcie spowiły się mgłą, z całą powagą wytłumaczył mi zdanie po zdaniu zapis, który stwierdzał, że jeśli oraz/lub kiedy nagrania zostaną rozpowszechnione na Księżycu, warunki z kontraktu znajdą tam zastosowanie. Zapytał, czy to rozumięłam, a ja odpłynęłam w sen.

Nic już więcej nie pamiętam, poza wizją biednej amerykańskiej flagi powiewającej w smutnych szarościach na Księżycu. Myślałam o tym, że raczej wolałaby wrócić do domu i mieszkać na Ziemi w kolorze, jeść burgery i hot dogi, zamiast dostawać wysyłane z dołu płyty pogłębiające tylko jej poczucie samotności, bo nie ma nikogo, kto otarłby jej łzy, kiedy usłyszysz cover *Song to the Siren* w wykonaniu This Mortal Coil.

Kiedy na dobre opuszczałam Irlandię – kilka tygodni przed podpisaniem kontraktu – leciałam samolotem z Petem Townshendem. W tamtych czasach samoloty Aer Lingusa miały fotele ustawione w parach, przodem do siebie, jak w pociągach. I on siedział naprzeciwko mnie. Albo w Irlandii grali The Who, albo brał udział w jakimś innym wielkim koncercie. Zanim wsiadłam do samolotu, postanowiłam, że jak tylko wystartujemy, nawet nie spojrzę za siebie przez okno. Obecność Townshenda wzięłam za znak, że obrałam właściwą ścieżkę, i gdy prześlizgiwaliśmy się przez przestworza, skupiłam się na jego twarzy. Nienawidziłam Dublina. Wszystko kojarzyło mi się z matką. Sklepy były pełne kapeluszy, którymi byłaby zachwycona, a ja teraz już nigdy nie będę mogła jej ich ofiarować.

Kiedy przylatywało się z Irlandii na Heathrow, zawsze czekało dwóch policjantów z wydziału specjalnego londyńskiej policji. Stali za czarnymi podestami – tam gdzie podchodziło się po odbiór bagażu – jeden po lewej, drugi po prawej. Zatrzymywali tylko mężczyzn, w szczególności mężczyzn o niechlujnie wyglądających brodach i długich włosach. A to dlatego, że we wczesnych latach 80. XX wieku był taki czas, w którym uczestnicy Irlandzkiego Strajku Głodowego byli zarośnięci, tak samo jak wszyscy w IRA. Ich przeciwnicy w ogóle nie mieli bród ani specjalnie owłosienia, bo ciągle krzyczeli. Wyrzynali się nawzajem, tam na północy, odkąd pamiętam. W wiadomościach strasznie to wyglądało, ogień i krew, dzieci i staruszkowie wrzeszczący na ulicach. I gówna na całych ścianach więziennych cel, i patykowaci mężczyźni o zapadniętych oczach, których trumny były tak lekkie, że mogłoby je nieść jedno małe dziecko. I uzbrojeni mężczyźni na pogrzebach, i mężczyźni wyciągani w ich trakcie z samochodów

i zabijani. A przez ten cały czas fryzura Margaret Thatcher była zawsze nieskazitelna.

Podczas ostatniego miesiąca, zanim ostatecznie opuściłam Irlandię, odbyłam jedną czy dwie wizyty w Londynie, pomiędzy którymi obeznany irlandzki księgowy, specjalizujący się w muzyce namierzył mnie drogą telefoniczną w mojej dublińskiej kawalerce, by zaoferować swoje usługi. Nigdy o nim nie słyszałam ani o istnieniu księgowych jako takich. „Och – powiedział – będziesz potrzebowała, żeby ktoś zarządzał za ciebie twoimi pieniędzmi, i mam też dla ciebie idealnego menedżera. To Fachtna Ó Ceallaigh, który zajmował się the Boomtown Rats”.

Tak w ogóle, to kilka lat wcześniej poznałam Fachtnę – kiedy byłam trzynastolatką. Miało to miejsce pewnego popołudnia w hallu dublińskich sądów, Four Courts, w czasie, gdy Rats mieli zakaz koncertowania w Dublinie. W dniu przesłuchań w sprawie moich rodziców odbywały się też przesłuchania w ich sprawie.

Mojego brata Josepha poraził widok gwiazdy, jaką był Fachtna, i gdy ten szedł przez hall do drzwi frontowych na papierosa, rzucił się ku niemu, by poprosić go o autograf. Promieniejąc, przyprowadził później Fachtnę do mnie i powiedział po prostu: „A to moja młodsza siostra”. Pamiętam nasz uścisk dłoni, jakby wydarzył się pół godziny temu.

Zanim ostatecznie opuściłam Irlandię, odbyłam z tym księgowym dwa spotkania, podczas których doprowadzał mnie do szaleństwa, nalegając, żebyśmy „potwierdzili to wszystko” (szczegóły kontraktów nagraniowego i wydawniczego) z moim ojcem, zanim podpiszę. Mimo to ogromnie go polubiłam. Musiałam mu tylko nieustannie przypominać, za każdym razem odrobinę głośniej, że mam osiemnaście lat i bardzo dziękuję, ale mój ojciec nie musi się już o mnie troszczyć, a fakt, że jestem kobietą, nie oznacza, że nie zrozumiałam umów, które wyjaśniał mi prawnik. Myślał, że się tak unoszę, bo nie chcę być dla ojca ciężarem. W rzeczywistości moja babcia kilka razy mi wpajała, że kobiecie nie wolno pokazywać swoich zaskórniaków żadnemu męskiemu krewnemu.

Następnym raz ścisnęłam dłoń Fachtny Ó Ceallaigh, sadowiąc się na chwiejnym krześle naprzeciw niego w kawiarni przy Marylebone

High Street w Londynie. Kiedy okrawał żółtka jajek czubkiem noża, przypomniałam mu, że kiedyś się spotkaliśmy, ale oczywiście tego nie pamiętał.

Gdy wróciłam do Dublina, wysłał mi kartkę – napisaną uroczym, irlandzko wyglądającym pismem – że miło mu było mnie poznać. Był pewny, że poradzę sobie w branży muzycznej i chciał, żebym wiedziała, że powinnam zawsze być sobą, nieważne, czego będzie ode mnie chcieć branża muzyczna. Nie przyszło mi do głowy, że może mieć to głębsze znaczenie, ale później pomogła mi świadomość, że mam za sobą kogoś dorosłego, kto wstawi się za prawem jednostki, by na przykład nie dała sobie wyskubać brwi do sesji zdjęciowej. Czy też za prawem do zostawienia na sobie koszulki, kiedy fotografuje ją pewien angielski dżentelmen. (To piszę już po tym, kiedy jak głuptas wpakowałam się w pułapkę i ściągnęłam T-shirt, bo wspomniany fotograf sformułował pytanie jak wyzwanie: „Co ty na to, żeby zdjęć koszulkę?”, czego nie mówi się Irlandce. Miałam poczucie, że muszę to zrobić, żeby powiedzieć tym samym *Wal się z takim pytaniem*).

Na pierwszych kilka miesięcy zatrzymałam się u ciotki Marien w południowym Londynie, gdzie poznałam moich dwóch kuzynów. Jeden ubierał się jak dziewczyna, chociaż był hetero, i nosił długie włosy ufarbowane na rudo, najfajniejszy facet na Ziemi. Drugi miał krótkie blond loki i też był najfajniejszym facetem na Ziemi. Zabrali mnie na rajd po klubach i zakupy na King's Road, gdzie kupiłam brzoskwiniową sukienkę z lycry. Oglądaliśmy Live Aid w ogrodzie ich matki. Pojechaliśmy do Clacton-on-Sea na całonocny koncert Doctor and the Medics i zasnęłam na nim z głową zdecydowanie za blisko ogromnego głośnika. Mój kuzyn, ten, co ubierał się jak dziewczyna, zabrał mnie też na Kensington Market, gdzie moje oczy ujrzały szeroki asortyment lakierowanych szpilek w rozmiarze 46, dla mężczyzn. Anglia oficjalnie była najwspanialszym krajem na Ziemi.

Znalazłam też swojego pierwszego duchowego nauczyciela.

Odkąd skończyłam osiemnaście lat, gdy przebywałam z ludźmi, których spotkałam wcześniej zaledwie raz lub dwa, widziałam w swojej

głowie wnętrza ich domów. Dywany, kolory garnków i naczyń, stos osobistej korespondencji, wszystko. Jakbym unosiła się w ich pokojach.

Czułam wewnętrzny przymus, żeby każdego pytać, czy moje wizje są zgodne z prawdą, i zawsze były. Kiedy po raz pierwszy spotkałam się z Chrisem Hillem i Nigelem Grainge'em, opisałam im poprzednie biuro Ensign Records, chociaż nigdy moja noga w nim nie powstała. Nie myślałam zbyt wiele o tych wizjach, po prostu przyjmowałam do wiadomości, że są. Ludzie patrzyli jednak na mnie, jakby czuli, że powinnam mieć im coś ważnego do zakomunikowania, a tak nie było, i zmęczyło mnie rozczarowywanie ich. Tak naprawdę chciałam dogłębnie zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, żeby to zatrzymać.

Moja ciotka Marien i jej siostry miały wspólną pasję, a były nią nauki spirytystyczne. Opowiedziałam ciotce o swoich doświadczeniach, a ona przedstawiła mnie znajomemu, czterdziestosiedmioletniemu pastorowi kościoła Baptistów w Greenwich, który również był medium i szkolił adeptów tej dziedziny. Powiedziałam mu, że chcę się nauczyć odcinać tę część mnie, która zakrada się do wnętrza innych osób bez pozwolenia.

Sę w tym, że to się działo dlatego, że oni sami nie znajdowali się w swoich własnych wnętrzach.

Pierwszym etapem mojego szkolenia było codziennie wypowiadanie na głos Psalmu 91.

*Kto przebywa w pieczy Najwyższego
i w cieniu Wszechmocnego mieszka,
mówi do Pana: „Ucieczko moja i Twierdzo,
mój Boże, któremu ufam”.
Bo On sam cię wyzwoli
z sideł myśliwego
i od zgubnego słowa.
Okryje cię swymi piórami
i schronisz się pod Jego skrzydła:
Jego wierność to puklerz i tarcza.
W nocy nie ulęknieś się strachu
ani za dnia – lecącej strzały,*

ani zarazy, co idzie w mroku,
ni moru, co niszczy w południe.
Choć tysiąc padnie u twego boku,
a dziesięć tysięcy po twojej prawicy:
ciebie to nie spotka.
Ty ujrzysz na własne oczy:
będziesz widział odpłatę daną grzesznikom.
Albowiem Pan jest twoją ucieczką,
jako obrońcę wzięłeś sobie Najwyższego.
Niedola nie przystąpi do ciebie,
a cios nie spotka twojego namiotu,
bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie,
aby cię strzegli na wszystkich twych drogach.
Na rękach będą cię nosili,
abyś nie uraził swej stopy o kamień.
Będziesz stąpał po węzłach i żmijach,
a lwa i smoka będziesz mógł podeptać.

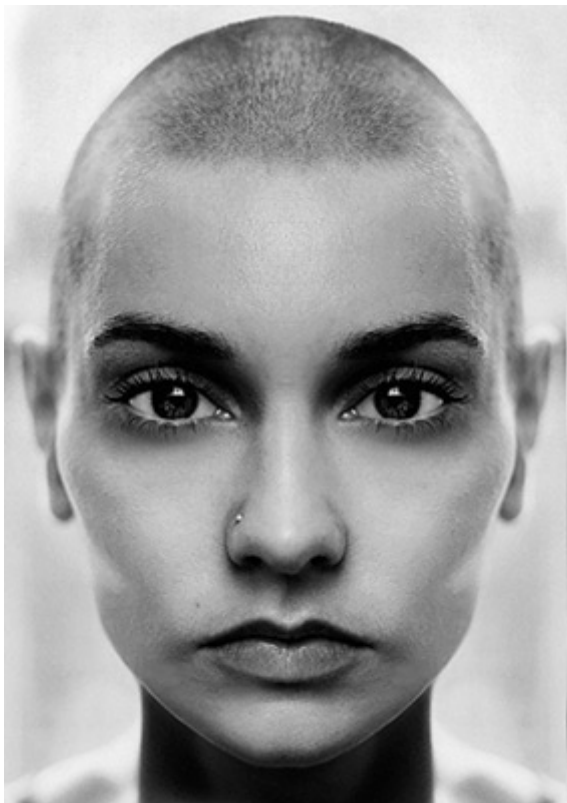
Ja go wybawię, bo przylgnął do Mnie;
oślonię go, bo uznał moje imię.
Będzie Mnie wzywał, a Ja go wysłucham
i będę z nim w utrapieniu,
wyzwolę go i sławą obdarzę.
Nasycę go długim życiem
i ukazę mu moje zbawienie^[15].

Pewnego wieczoru, kiedy siedziałam w swoim pokoju, zobaczyłam w szklanej gablocie odbicie postaci w czarnym kapturze obszytym dwiema złotymi obręczami. Następnie zaczęły migotać światła i wybiegłam stamtąd, przerażona. Pastor powiedział, że powinnam była zostać, bo miałam otrzymać wiadomość. Odparłam, że nie, dziękuję, wolę nie dostawać wiadomości od nikogo w kapturze.

Gdy w końcu przeprowadziłam się do Londynu i opuściłam dom ciotki, pastor wyznał mi dozgonną miłość. Mieliśmy pewnego rodzaju

romans. Ciotka domyśliła się, co się święci, i nie przyjęła tego zbyt dobrze, nie tylko dlatego, że pastor był żonaty, ale również dlatego, że chyba jej też się podobał. Była wściekła. Prawdę mówiąc, nigdy jej nie przeszło. Lata później, kiedy pojechałam na rodzinną imprezę z ojcem jednego z moich synów, gapiała się na mnie gniewnie przez parkiet i mówiła bezgłośnie, *Będzie mój, będzie mój*, wskazując na mojego partnera, a potem na własną klatkę piersiową.

Pastor przekonał mnie (jako że byłam młoda i głupia), że jego żona go nie rozumie. Że ja jestem jego prawdziwą miłością i w ogóle. Po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że robi ze mnie kretynkę, żeby sobie pobzykać. Kiedy tak siedziałam sama, czekając na nasze cotygodniowe godzinne spotkanie, nie wychodząc nigdzie z nikim innym, byłam jak cholerna Whitney Houston, *saving all my love*, oszczędzałam całą swoją miłość, jak totalna debilka. Niedługo więc i ja przestałam go, kurde, rozumieć.



W oczekiwaniu na premierę pierwszego albumu...

FOT. KATE GARNER

Pewnego wieczoru pastor pojawił się w mieszkaniu, które po wyniesieniu się od ciotki wynajmowałam w Lewisham. Przyniósł zepsuty odkurzacz, którego nie chciała już jego żona. Pomyślałam, że spodoba mi się taki prezent. Miał czelność powiedzieć jej, że zna kogoś, kto mógłby go chcieć.

Patrzyłam, jak wraca do samochodu, i rozważałam zrzućcie mu tego odkurzacza na łeb z mojego balkonu na piątym piętrze.

Kupiłam sobie małego żółtego Fiata Bambino. W Anglii wystarczyło wtedy tylko tymczasowe prawko, żeby prowadzić samochód. W życiu nie miałam ani jednej lekcji jazdy. Pewnego razu wsiadłam do auta bardzo późnym wieczorem i je rozbiłam. Zadzwoiłam do pastora i powiedziałam: „Jestem ranna, rozbiłam samochód, przyjedziesz

po mnie?". Odparł, że nie, nie przyjedzie, bo nie chce, żeby ktoś go ze mną zobaczył. Nigdy więcej się już z nim nie skontaktowałam.

Naprawdę byłam poważnie ranna. Zwichnęłam miednicę. Od strony kierowcy uderzył we mnie rozpędzony samochód. Do dziś, od czasu do czasu, muszę chodzić na nastawianie. Prawa strona nie działa jak powinna. Śmiesznie chodzę. Jak Charlie Chaplin. Przed wypadkiem tak nie chodziłam.



Nigel Grainge, guru z wytwórni płytowej
FOT. ANDY PARADISE/The Independent/Shutterstock

OSIADANIE

W CAŁYM LONDYNIE jest około ośmiu milionów osób. To dwa razy tyle co w całej Irlandii. Trochę mnie to przeraża z tego samego powodu, z jakiego przeraża mnie nieskończoność. Ona po prostu jest zbyt wielka. Tamiza jest sto razy szersza od Liffey. Na niebie stale widać światła samolotów. Zlatują się tutaj z całego świata. Nad Irlandią samoloty przelatują tylko wtedy, kiedy mają ją po drodze do jakiegoś innego miejsca. No chyba, że są to irlandzkie samoloty pełne Irlandczyków lecących do kraju i z powrotem, z coraz droższymi biletami, im bliżej Bożego Narodzenia – czasu, kiedy każdy, kto był na tyle bystry, żeby wyjechać, musi teraz wrócić, żeby nie wyjść na złego syna lub córkę.

Nienawidzę Bożego Narodzenia. Czuję wtedy ból w duszy, jakby ktoś drzewem przebijał moją klatkę piersiową.

Poza kuzynami i ciotką jedynymi ludźmi, których znam w Londynie, są Chris i Nigel z Ensign oraz Fachtna, mój menedżer.

Sporo czasu spędzam u Chrisa. Jest dla mnie naprawdę życzliwy i miły. Dużo się mną opiekuje. Podejrzewam, że trochę się we mnie kocha, ale ma wspaniałą żonę, której nigdy nie okazałby braku szacunku.

Nigel dał mi dwie kasety z utworami Vana Morrisona. Nigdy wcześniej go nie słyszałam. Brzmi jak jeden z tych mnichów tybetańskich, takich, co leczą głosem. Daję się mu pochłonać bez reszty, porwać na ukryty uniwersytet. Tu nie chodzi o słowa, tylko to, co robi z ich brzmieniem. Zabiera mnie do miejsca, gdzie powinnam się uczyć. Widzę piękne, kamienne budynki na złotych przyporach.

Moje mieszkanie ma salon od frontu budynku, który wychodzi na Hither Green Lane. Obok salonu są małe sypialnia i kuchnia. A wszystko to mieści się nad indyjskim sklepem spożywczym. Ludzie stamtąd są dla mnie mili. Zaprzyjaźniłam się z ich chudym synem,

który jest mniej więcej w moim wieku i interesuje się muzyką. Nie, żebyśmy się sobie podobali czy coś, to tylko przyjaźń. Siadamy i gadamy o wszystkim i o niczym. Mam magnetofon, a on nie. No i tu może palić papierosy z dala od gniewu swoich rodziców.

Chłopak jest bardzo wrażliwy. W pewnym momencie jego ojciec postanowił, że trzeba go wzmocnić, i zmusił go do zaciągnięcia się do spadochroniarzy. Biedak wbiegł do mnie po schodach, cały spanikowany, pytając z przerażeniem w oczach: „I co ja teraz zrobię?”. Żadne z nas nie mogło nic zrobić. Ojciec go zaskoczył, chłopak miał wyjechać już następnego dnia.

Jakieś dwa tygodnie później usłyszałam w nocy dzwonek do drzwi. Poszłam zobaczyć, kto to, a to on! Uciekł. Pękałam z dumy, że jest taki odważny. Na twarzy miał wymalowany szok. Nie tylko po tym wszystkim, co znosił przez te dwa tygodnie – wrzaski, pompki, cały repertuar, jaki widzi się w telewizji – ale i dlatego, że sprzeciwił się woli ojca.

Bał się pójść do domu, więc został u mnie i przez jakiś tydzień spał na mojej kanapie, podczas gdy ja chodziłam na dół kupować jedzenie i gawędziłam na całego z jego rodzicami, uważając, by nie wspominać o synu (a oni nigdy nie wspominali o nim), po czym hop, wracałam na górę. Kiedy się wyniósł i „poszedł w długą”, już nigdy więcej się nie odezwał. A ja już długo nie pomieszkałam przy Hither Green Lane.

Jestem samotna, ale piszę piosenki na moją pierwszą płytę, a to odpowiednie zajęcie dla samotników. Piosenki to duchy. Kiedy ukaze się mój album, stanę się „dostarczycielką duchów”. Czeka mnie całe życie pożegnań. Muszę się z tym pogodzić.

Napisałam piosenkę zatytułowaną *Troy*, o mojej matce i o pastorze. Demo nagrywałam u Chrisa w domu. Kazałam mu stanąć za drzwiami. Kiedy wpuściłam go z powrotem, był naprawdę wstrząśnięty. Powiedział, że nigdy nie słyszał niczego podobnego ani o takim natężeniu dźwięku. Kazał mi to w kółko puszczać.

Czasem spaceruję po Fleet Street, kiedy jest pusta w niedziele, bo skrycie pragnę pisać dla gazet. Nie wiadomości czy nawet nie

o muzyce – ale o wierszach i sztukach teatralnych. Zastanawiam się, czyby mnie chcieli. Jednak nigdy nie wystąpiłam im próbek.

Chodzę też do Stowarzyszenia Spirytystów na publiczne odczyty, żeby zobaczyć, jak pracują różne media.

Wyraźnie pamiętam, jak udałam się w kłótnię ze skinheadem pod czerwoną budką telefoniczną. W środku była kobieta z Dalekiego Wschodu, która wyrzucała z siebie miliony słów w jakimś egzotycznym języku najszybciej jak mogła, żeby starczyło jej monet. Skinhead wrzeszczał na nią, żeby się pospieszyła, i zaczął walić w drzwi, chociaż przed nim w kolejce byłam jeszcze ja. Powiedziałam, że ma zostawić ją w spokoju. Wyczuł, że jestem Irlandką, i ryknął na mnie „Londyn dla londyńczyków!”. Odparłam „Gdybyście zostawili nam coś własnego w naszych własnych krajach, nie musielibyśmy używać waszych obleśnych budek telefonicznych całych oblepionych naklejkami z dziwkami, więc się, kurde, zamknij”. W kolejce stało jego trzech kumpli i pewnie skończyłabym z obitym pyskiem, gdyby nie zaczęli się śmiać, że przegadała go dziewczyna. Dzięki Bogu typ musiał zacząć udawać, że go to bawi, żeby bronić własnego honoru. Kiedy skończyłam swoją rozmowę, wszyscy uścisnęli mi dłoń, po czym rozstąpili się, żeby zrobić mi przejście, jakbym była biskupem Johnem McQuaidem w Dublinie, dostojnie krocącym po Grafton Street w Boże Narodzenie.

NAUCZKA LUB DWIE

SPĘDZAM DUŻO CZASU Z FACHTNĄ. Ma cały pokój zastawiony regałami pełnymi płyt. Posiada więcej płyt, niż w życiu widziałam. Te, które królują na jamajskich listach przebojów, kupuje w Dub Vendor na Ladbroke Grove. Mówi, że za każdym razem, kiedy się przeprowadza, zabiera je wszystkie ze sobą. Pewnie dlatego właśnie nie ma żony ani dziewczyny – gdzie miałyby trzymać swoje rzeczy?

Puszcza mi mnóstwo singli reggae, które wyszły w poprzednim roku. Uwielbiam jeden Barringtona Levy'ego, zatytułowany *Here I Come*, o gościu, który ma dziecko z kobietą, a ona każe mu je zabrać, bo nie chce być ograniczana. To piosenka smutna, ale i skoczna, ze względu na sposób, w jaki Levy wykorzystuje swój głos. Kiedy ona mówi, że nie chce tego dziecka, nie padają żadne słowa. Zamiast tego Levy śpiewa „Shuddly-waddlly-boop-diddly-diddly, w’oh, oh, oh!”, i przekazuje tym miliony myśli i uczuć, jakie mężczyzna mógłby mieć w takiej sytuacji, lepiej, niżby to zrobił sam Oscar Wilde.

Szaleję za muzyką, którą pokazuje mi Fachtna. Jedyne reggae, które wcześniej słyszałam, to *Israelites, 54-46* i *Uptown Top Ranking*. A on puszcza mi kolesia, który nazywa się Prince Buster. Śmieszna piosenkę pod tytułem *Judge Dread*. Opowiada o pokręconej scenie na sali sądowej, w której sędzia ciągle skazuje wszystkich na czterysta lat więzienia. Po czym wchodzi wyjątkowo słodkie, a zarazem i złowieszcze chórki, którym towarzyszą cztery powtarzające się dźwięki na trąbce, oraz bębny. A na basie i keyboardzie grane są tylko akordy.

Fachtna zabrał mnie na spotkanie z jego znajomym Leroyem, na którego mówią też Lepke. Ma piracką stację radiową o nazwie the Dread Broadcasting Company (the DBC) i stoisko na Portobello Road, na którym sprzedaje płyty reggae.

Targowisko Portobello Market odbywa się w soboty i niedziele. Jest ogromną atrakcją turystyczną zalewaną tłumami przyjezdnych z chyba każdego kraju na Ziemi. Kiedy w sobotnie popołudnia ludzie się przechadzają, Leroy puszcza głośno płyty z dwóch ogromnych głośników, stojących przed jego stoiskiem. W jamajskim stylu jest, żeby utwór uznany za wspaniały szybko zagrać ponownie. Kiedy Leroy to robi, młodzi ludzie mijają nas, wołając „Powtórka!”. A potem maszerują dalej. Jestem zachwycona.

Na chodniku przed swoim stoiskiem Leroy ustawił mikrofon. Na Jamajce robią coś wspaniałego – dodają do nagrań podkład muzyczny bez żadnego wokalu, żeby ludzie mogli sobie sami do niego śpiewać. Kiedy kupujesz singiel z piosenką, dostajesz w pakiecie tak zwany „riddim”. Trochę przypomina to karaoke, ale jamajscy piosenkarze piszą czasem nawet inne teksty i linie wokalne do tego samego riddimu i wszystkie stają się totalnymi przebojami.

Pierwszego dnia, kiedy tam poszłam, Leroy puścił późnym popołudniem jeden czy dwa riddimy. Trochę młodych mężczyzn z długimi, posplatanyimi włosami zaczęło się schodzić z różnych części targowiska i szperać nonszalancko w płytach i koszulkach. Można było jednak wyczuć, jak centymetr po centymetrze zbliżają się do mikrofonu, gdzie się ostatecznie zatrzymywali. Kręcili w ziemi kółka palcami stóp z nieśmiałości i ekscytacji, a ich oczy krążyły między ziemią, mikrofonem a sobą nawzajem, i na powrót. Ależ wykręcali palce, ależ się kiwali i przygryzali wargi.

Za każdym razem, gdy któryś z młodych mężczyzn chwycił za mikrofon, wydawali się nadciągać ku niemu starsi mężczyźni z podobnymi włosami, którzy wykonywali taneczne kroki do przodu i tyłu, od czasu do czasu podnosząc jedną rękę wysoko w powietrze, jakby pragnąc przed czymś ostrzec. Stałam oparta o mur za stoiskiem i nie mogłam dojść, o czym chłopaki śpiewają, takie mieli akcenty. Wyłapywałam tylko cztery słowa, bo wykrzykiwali je głośno, kiedy tylko występowały w piosence. Były to: *plonąć*, *papież*, *Babilon* i *krew*. (Jestem też pewna, że słyszałam rym *kłamca – zdrajca*).

Zaciekawiło mnie, że starsi mężczyźni podnoszą ręce, kiedy słyszą te konkretne słowa. Ruszyłam wzdłuż stoiska, szukając kogoś, z kim mogłabym porozmawiać na tyłach zgromadzenia. Głosy przy

mikrofonie się zmieniały, ale riddim nie. Przy wejściu do pubu pulchny starszy facet w niebieskiej koszulce opierał się o swój rower, przypalając malutką końcówkę skręta, którą przytrzymywał pęsetą. Miał długie siwe włosy zamotane na głowie jak kapelusz, ale było ich na tyle dużo, że jeszcze opadały mu na plecy.

Stanęłam z nim twarzą w twarz i próbowałam przekrzyknąć muzykę:

– Czy mogę cię o coś zapytać?

Schował skręta za plecami i odparł:

– A co, jeśli nie będę chciał peedzieć?

– Co?

– Mogę nie chcieć peedzieć.

– O co ci chodzi? Nie chcę z tobą siedzieć.

– Twoje pytanie, mogę nie chcieć na nie peedzieć.

Trochę potrwało, zanim zrozumiałam.

– Co to Babilon?

Roześmiał się.

– Czemu się śmiejesz?

Znow się roześmiał.

– Dlaczego śpiewają „płonie Babilon?” i czemu powtarzają, że papież musi spłonąć, i czemu ci starsi faceci tak tańczą, z palcami w górze?

Odchylił głowę, zanosząc się kaszlem i śmiechem jednocześnie.

– Skąd jesteś?

Odparłam:

– Z Irlandii.

– Hmm – odpowiedział i przez kilka sekund patrzył na mnie w milczeniu spod okularów słonecznych. Wreszcie powiedział:

– Anglia ją psiaada?

– Co?

– Czy Anglia psiaada Irlandię?

Odpowiedziałam:

– Nie. – (Nie było czasu, żeby wchodzić w szczegóły).

– Dobrze więc – odparł. – Boga też nikt nie psiaada.

Zamarł na chwilę, spojrzał na mnie.

– Czego was uczą w kościele w Irlandii? Nauczają objawienie?

– Że co?

– Ci katolicy, papież i ten cały teges, to wszystko niechrześcijańskie. Dlatego nie mówią wam, że Bóg nadchodzi. Papież to diabeł, a jego urząd to diabelski urząd. Masz Biblię, córko?

– Tak, nawet kilka.

– Dobrze, to poczytaj objawienie proroka i całe życie wracaj do muzyki rasta. Babilon to działka diabła. Spłonie, bo takie jest objawienie.

To powiedziawszy, wdrapał się na rower i ruszył z wolna ku zachodowi słońca, w stronę Westbourne Grove. Oczekałam chwilę, żeby się upewnić, że nie ogląda się za siebie, i ruszyłam po jego śladach.

Droga, w którą skręcił w prawo, nim zsiadł z roweru, nazywa się All Saints. Był przy niej punkt przyjmowania zakładów, sklep płytowy i bar z daniami na wynos, wokół którego zebrało się trochę starszych facetów o lwich grzywach i rozmawiało z jamajskim akcentem.

Zajęłam miejsce na progu drzwi nieopodal i słuchałam, w jaki sposób używają słów. Było to coś pięknego. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił po angielsku. Ci starsi faceci nie byli zwykłymi mężczyznami, nie gadali o piłce nożnej ani o polityce. Rozmawiali jak księża. Długowłosey sprzedawca ze sklepu muzycznego bardzo głośno puszczał muzykę reggae, a jej słowa były pełne Pisma Świętego, którego wersety mężczyźni wykrzykiwali i z pasją omawiali pod jego drzwiami.

Zachodzę do sklepu i pytam sprzedawcę, co za fragment Biblii wykorzystuje taka a taka piosenka, którą zagrał. Mam specjalny notes, wszędzie go ze sobą noszę. Odpowiedź zapisuję, a potem wracam do domu i czytam te ustępy. Wydaje mi się, że bawię tego gościa. Tak miło się do mnie uśmiecha, jego twarz jest jak wielkie, jasne słońce. Pyta: „Co tam dziś, córeczko?”

Zawsze, kiedy rozmawiam ze starszymi facetami, nazywają mnie „córeczką”. Dla mężczyzn w średnim wieku jestem „siostrzyczką”. Są dla mnie bardzo życzliwi. Nic nie kombinują. Bardzo się mną opiekują. Pytają, czy coś jadłam, i dają mi jamajskie paszteciki, jeśli zaprzeczę. Nieważne, że tylko sobie z nimi przesiaduję, nie mówiąć zbyt wiele.

INFLAMMABLE MATERIAL

WCIAŻ OGLĄDAM W KSIĄŻKACH OBRAZKI, jak łąpać chwytty gitarowe. Zakładam na gryf kapodaster, który zmienia tonację tych kilku znanych mi sekwencji akordów. Gram ich najmniej jak się da i żadnego „szpanerskiego”. Nie umiem łąpać chwytów barowych ani wydobyć dźwięku głośniejszego niż szept. Gitary na moich demówkach nagrywam dwuścieżkowo. Mam magnetofon czterośladowy – przypomina zwykły kaseciak, do którego można podpiąć gitarę i mikrofon. Posiadam też lśniący, czerwony statyw do mikrofonu i czarny mikrofon z kablem.

Mam dwie gitary: dwunastostrunową i sześciostrunową, obie firmy Takamine. I keyboard. Cały ten sprzęt, plus jeszcze trochę ekwipunku, opłacił Ensign w ramach mojego kontraktu. Wszystko poustawiałam sobie w salonie przy Hither Green Lane, ale rejestrator dźwięku jest na tyle niewielki, że mogę go wszędzie nosić ze sobą.

Gram cicho na gitarze i nagrywam jedną ścieżkę, śpiewając słowa w myślach. Później odtwarzam ją i nagrywam cicho drugą gitarę, więc są dwie gitary i już nie szkodzi, że gram cicho. Kiedy potrzebuję uderzyć głośniej, ta metoda również się sprawdza, ponieważ dogrywanie pozwala zamaskować moją fatalną grę. Można podkreślić albo obniżyć poziom głośności gitar i wokalu na różnych etapach piosenki i zagłuszyć wszystko pogłosem, kiedy miksujesz ostatnią wersję dla siebie.

Zanoszę taśmy do Ensignu i każę Nigelowi i Chrisowi słuchać ich na słuchawkach. Uważają, że mam już wystarczająco dużo piosenek, by zabrać się za szukanie muzyków do zespołu i zacząć próby. Właściwe nagrania ruszą, kiedy przyjdzie na to pora. Nigel i Chris chcą na razie, żebym przywykła do śpiewania własnych piosenek i zaczęła tworzyć

z innymi ludźmi. Cieszę się z tego, bo uwielbiam, gdy ktoś inny pisze muzykę – moje możliwości są dość ograniczone.

Wręczając mi świstek papieru przez stół, w greckiej restauracji nieopodal biura Ensignu, Nigel powiedział: „Ali McMordie ze Stiff Little Fingers mieszka w Putney, chcę, żebyś wpadła do niego w czwartek rano o dziesiątej”. Jezu drogi. Prawie zemdlałam, bo uwielbiam Stiff Little Fingers. „Poznasz Alego, który gra na basie, i jego znajomego perkusistę, Johna Reynoldsa. Możesz popisać z nimi piosenki?”

Poszłam tam umówionego dnia. Przechodząc przez ulicę w poszukiwaniu furki, zobaczyłam mężczyznę, który właśnie zaparkował czarne BMW i zamykał drzwiczki. Miał kręcone włosy i szarą kamizelkę z zielonym napisem „Mikey Dread”. Niósł pałeczki do perkusji. „Jesteś Sinéad?”, zapytał w tym samym momencie, kiedy ja powiedziałam: „Jesteś John?”

Na blacie w kuchni Ali trzymał biały gipsowy odlew tyłka swojej dziewczyny. Zaprowadził nas z Johnem do salonu, żeby posłuchać moich utworów. Bardzo im się podobał *Troy*. Zapytali mnie, jakie chciałabym z nimi pisać piosenki. Wydaje mi się, że odpowiedziałam: „Nic grzecznego”.

W porze lunchu poszłam z Johnem do kawiarni. Kiedy rozmawialiśmy, zaczęłam widzieć obrazy sypialni.

Jak wspominałam, czasem widzę w swojej głowie wnętrza domów różnych osób. Po prostu tak się dzieje. Nie ma tu żadnego głębokiego albo przepełnionego znaczeniem uzasadnienia.

Obok łóżka – niewielki stolik z bibelotami. Koronkowe firanki i lawenda, stosik listów na półce. Zaciągnięte ciemne kotary. Obrazy były tak wyraźne, że zapytałam Johna, czy rozpoznaje ten pokój. Powiedział, że należy do jego siostry, Audrey. Umierającej. Był zrozpaczony. Bardzo cierpiała. Opiekował się nią daleko od Londynu, ale codziennie dojeżdżał do miasta do pracy, żeby nie oszaleć.

Ze swoimi krótkimi ciemnymi lokami i wielkimi niebieskimi oczami John wyglądał jak dziecko. Ale miał ciało olbrzyma, dłonie jak ogromne łopaty. Zmienił temat. Zaczął opowiadać obleśne dowcipy. Używać słowa na „k” częściej niż ktokolwiek, kogo w życiu spotkałam. Czułam, że połączyła nas więź na całe życie.

OGOLENIE GŁOWY

NIGEL JEST TOTALNYM NUDZIARZEM, jak to każdy o imieniu Nigel. Zaprosili mnie z Chrisem do Ensign kilka dni wcześniej. Jadłam z nimi lunch u Khana i jakoś w połowie Nigel oświadczył, że chciałby, żebym przestała obcinać włosy na krótko i zaczęła ubierać się jak dziewczyna. Nie popierał mojego ostatniego podejścia do (bardzo krótkiego) irokeza. Powiedział, że wraz z Chrisem chcieliby, żebym wkładała minispódniczki i ciężkie buty, a do tego może trochę kobiecych akcesoriów, kolczyków, naszyjników i bransoletek i innych hałaśliwych ozdób, których przecież nie można nosić blisko mikrofonu.

Kiedy skończył, powiedziałam do Chrisa, który kiwał głową z milczącą aprobatą po każdym słowie Nigela: „A więc, niech was dobrze zrozumiem. On chce, żebym wyglądała jak twoja kochanka i ta laska, dla której zostawił żonę?” Zapadła cisza, w trakcie której wstałam i zebrałam swoje klucze i fajki. Chris miał niezłą minę. Jego wielkie oczy nie były w stanie ukryć podziwu wobec mojej wypowiedzi. Albo złości, że mnie to tak bawi.

Kiedy powiedziałam o tym Fachtnie, odparł: „Myślę, że powinnaś, kurwa, ogolić sobie głowę”. Następnego dnia poszłam do męskiego fryzjera. To był grecki zakład przy łaźni niedaleko Ensign, bo chciałam wpaść do nich, jak tylko dokonam tego aktu. Umówiłam się, że zajrzę pod pretekstem przekazania jakichś paragonów ich uroczej sekretarce Doreen, rozsądnej blondynce w starszym wieku.

Facet zajmujący się tego dnia zakładem miał może dwadzieścia sześć lat. Ja – dziewiętnaście. Był autentycznym Grekiem, delikatnie pulchnym, o czarnych, krótkich włosach i lekkim, popołudniowym zaroście. Wyglądało na to, że zostawili go samego na posterunku, i mimo że nie miał innych klientów poza mną, był nieco zafrapowany.

Wśliznęłam się na jego czerwony fotel i ogłosiłam: „Chcę wyglądać jak chłopiec”. Kiedy dotarło do niego, co dokładnie mam na myśli – ponieważ nie mówiłam słowa po grecku, zostało mu to objaśnione za pomocą gestów, które, jak mi się wydaje, mogły go z początku skonfundować – rzucił się do wiszącego na ścianie telefonu, może po to, żeby zadzwonić do właściciela, a łzy zaczynały się zbierać w jego oczach.

Nikt nie odbierał. Został zupełnie sam.

„Prooszę nnie każ mi tego robidź! Proooszę!” – błagał, odwieszając słuchawkę i podchodząc do mnie z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, a ton jego głosu był tak miękki, jakby mnie urodził: „Twoje piękne włosy”.

Kiedy, widząc determinację w moich oczach, wyczuł, że nie dam się spławić, doczłapał wreszcie do mnie przez salon, a w jego myślach pojawiło się mrozące krew w żyłach przerażenie, aż odruchowo podniósł rękę, by chronić gardło.

„A cso powie twój ojciecz? – wydusił, wciągając szybko powietrze, i dodał – A cso powie twój brat?”, kiedy je wypuszczał. Potem nastąpił kolejny szybki wdech i pełna trwogi pauza. Oraz: „O mój Bożże! Cso powie twój chłopag! O mój Bożże!”. Na tym etapie oczy tak mu wyszły ze strachu, że obawiałam się, że mu wypadną.

Za pomocą kolejnych gestów rąk, bo on z kolei nie mówił zbyt wiele po irlandzku, przekazał mi, że naprawdę nie chce ryzykować, że jacyś mężczyźni przyjdą mu natłuc. Zapewniłam go, że tak się nie stanie, chociaż na tym etapie rozważałam natłuczenie mu własnoręcznie. Gdy wreszcie go przekonałam, że jestem jedyną kreatorką swojego przeznaczenia, chociaż jestem kobietą, i wyjaśniłam, że mój ojciec przebywa w Irlandii (co oddałam, biegając po salonie z ramionami rozłożonymi na kształt samolotu i mówiąc „Irelandais! Papa est en Irelandais!”), wreszcie się zgodził. Ale przez cały czas bardzo jasno wyrażał swoje uczucia. „Tag nie robiom dziewszyny”.

Kiedy skończył, stanęłam z nim twarzą w twarz, a po jego prawym policzku spłynęła łza.

A ja? Byłam zachwycona. Wyglądałam jak obcy. Jak ze *Star Treka*. Teraz nie miało znaczenia, w co będę ubrana.

Kiedy weszłam do Ensign, Nigel zareagował pełną zaskoczenia ciszą. Doreen, która stała do niego plecami, w milczeniu pokazała kciuki w górę i radośnie się uśmiechnęła. Chris poprosił mnie, żebym pogadała z nim później w samochodzie.

– Czemuś to zrobiła?

– Bo chcę być sobą.

– Nie możesz być sobą z włosami?

– To ty ich potrzebujesz, stary łysolu, a nie ja. Może pomogę ci znaleźć lekarza?

THE LION AND THE COBRA

OGROMNY STÓŁ MIKSERSKI USIANY JEST WZDŁUŻ i wszere maleńkimi światełkami: zielonymi, czerwonymi, żółtymi lub zielonymi, zależnie od tego, jak głośno śpiewasz. Kiedy za głośno, światełka robią się czerwone, co oznacza, że na taśmie dźwięk będzie zmniejszony. Moim celem jest mieszanie się w najcieńszej z cienkich granic między zielonym a żółtym – co dzieje się teraz raczej rzadko – żeby Mr. Happy (pan producent) nie musiał się martwić.

Wyczuwam, że jeśli chodzi o poziom wokalu, nie będę miała wiele do powiedzenia podczas miksowania, więc muszę być pewna, że każde słowo lub jego końcówka, które śpiewam szeptem, będą słyszalne, bo producent sprowadza mnie do jakiegoś przypadkowego poziomu i tak zostawia. Wyszepiane słowa giną, a nie pisałam ich po nic. Sprawiałam więc, że mój głos sam stał się mikserem.

Zrobiłam to, patrząc na światełka na moim domowym rejestratorze dźwięku, kiedy śpiewałam do mikrofonu z głośnością tuż powyżej średniej. Zapamiętałam, kiedy kończy się zielone, i pozwoliłam mu zatopić się w moim ciele podobnie, jak robią to dźwięki, więc unikanie żółtego jest teraz elementem piosenki.

Wokół mikrofonu można się poruszać w obrębie pewnego pola energetycznego w kształcie trójkąta. Rozmiar tego pola zależy od rodzaju mikrofonu. Niektóre wymagają, żeby, jak to mówimy, być „nad nimi”, ponieważ przestrzeń, w której wychwytyują dźwięki, jest maleńka. Inne mają większe pole i można machać głową, żeby osiągnąć to, czego się chce, a światełko nie wyjdzie poza granice zieleni. Pozwalasz swojemu ciału wykorzystać pole podobnie, jak aktor wykorzystuje scenę. Jak daleko jest za daleko, jak blisko jest zbyt blisko? Czujesz to w twarzy.

Jestem w samym środku nagrywania pierwszego albumu. Nigel wybrał producenta, który jest pieprzonym debilem i zupełnie nie ma poczucia humoru, a przydałoby mu się, biorąc pod uwagę jego koszmarną brodę i jak żenująco brzmi przez niego moja płyta.

Straciłam nie tylko swoje własne poczucie humoru, ale za każdym razem, kiedy producent odtwarza piosenkę, tracę też odrobinę chęci do życia. Dosłownie płaczę w środku, a na zewnątrz się uśmiecham. Bo nie chcę zranic niczych uczuć.

Jedynymi ludźmi, z którymi o tym rozmawiałam, są John Reynolds i Fachtna. John jest cały czas ze mną w studiu, bo gra na perkusji i razem mieszkamy. Więc często rozmawiamy o tym, że może uciekniemy na drugą stronę Marsa, na wypadek, gdyby na okładce płyty umieścili nasze nazwiska.

Początkowo – doskonale ilustrując potencjalne wykorzystanie terminu *osobowość analna* w kontekście muzycznym – producent spędzał długie godziny, ustawiając brzmienie bębna basowego albo samego hi hata, zanim nagraliśmy choćby dźwięk. Cały dzień tylko *tss, tss, tss*. Kto w ogóle tak robi? Zespół musiał czekać całe dni, żeby coś nagrać, co oznaczało, że ja muszę czekać do późnej nocy, żeby śpiewać, a wszystko dlatego, że facet nie mógł albo nie chciał się muzycznie wysrać.

Przez większość czasu stał do mnie plecami i nosił dużo szarego. Siadał pośrodku stołu mikserskiego w fotelu producenta, który jest zawsze największym z trzech obrotowych krzeseł w tym pomieszczeniu. Tak naprawdę to nie bardzo nawet siedział przy tym stole, ile opierał się na nim, obejmując dłońmi głowę. Pozycja pokonanego. Wyglądał, jakby zamierzał sfingować własną śmierć.

Jakieś dwa tygodnie wcześniej Fachtna powiedział, że chociaż nie potrafię korzystać ze sprzętu studyjnego, mogę zacząć od zera i sama wyprodukować swoją płytę, jeśli mam ochotę. Miałam tylko mówić inżynierowi dźwięku, czego chcę. Powiedział, że i tak przecież dokładnie to robi producent.

„Ale – powiedziałam – co w takim razie z setkami tysięcy funtów, które wydała już wytwórnia na te nagrania? Nigel się załamie, nie mogłabym go tak zdenerwować. Jeśli zrobiłabym coś takiego, równie dobrze mogłabym wziąć od niego kasę i wywalić ją do kibla”. Wtedy

Fachtna powiedział mi coś, co wcześniej do mnie nie dotarło. Otóż te setki tysięcy funtów pochodziły z moich własnych pieniędzy, bo zgodnie z kontraktem takie koszty podlegały pełnej rekompensacie. Nadal jednak twierdziłam, że nie mogę zranić uczuć Nigela.

Ale niedługo po tym ktoś poprosił mnie w imieniu Nigela o coś, co nie było częścią naszego kontraktu i co sprawiło, że przestałam się przejmować i jego pieniędzmi, i jego uczuciami.

W piątkowy wieczór byliśmy w studiu i nagrywaliśmy cover *Crystal Ship* The Doors, i nie mogłam wyciągnąć wysokiego dźwięku. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Po milionowym nieudanym podejściu strasznie się wściekłam i uderzyłam pięścią w mikrofon. To też się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Kiedy tylko usłyszałam, jak upada na ziemię, pomyślałam: *Jestem w ciąży*. W sobotę rano, przed pójściem do studia, kupiłam w drogerii test. Musiałam nasikać do maleńkiej szklanej probówki, po czym umieścić ją w tycej podstawie, pod którą znajdowało się lustro, na którym po chwili pojawiło się urocze, różowe kółeczko. Wyglądało pięknie, jak mała planeta.

Natychmiast pobiegłam do recepcji w studiu i porwałam z kanapy jedną z poduszek, po czym pognałam z powrotem do łazienki, gdzie upchnęłam ją pod swetrem, żeby zobaczyć, jak będę wyglądała gruba z wielkim, ciężowym brzuchem. Obracałam się w każdą stronę przed lustrami i podskakiwałam z podekscytowania. Ależ byłam szczęśliwa.

Ojcem był John i kiedy przekazałam mu tę wiadomość następnego dnia na Hammersmith Market, był wstrząśnięty.

Kompletnie się w nim wtedy odkochałam i moje serce się zamknęło. Nie mogłam już z nim uprawiać seksu. Nie wyznałam mu dlaczego, bo czułam się winna. Zamiast tego powiedziałam, że coś musi być ze mną nie tak, jeśli chodzi o te sprawy.

Kiedy przekazałam wieści Nigelowi, miło się uśmiechnął i powiedział, że powinnam pójść do lekarza pracującego dla Ensign i u niego zacząć prowadzenie ciąży. Udałam się tam następnego wieczoru.

Lekarz powiedział mi, że Nigel już do niego dzwonił i wyraził życzenie, by wywrzeć na mnie wpływ, co ów lekarz przekazał mi następującymi słowami: „Twoje wydawnictwo płytowe wydało sto tysięcy funtów na nagrywanie twojej płyty. Nie powinnaś rodzic tego

dziecka, jesteś im to winna”. Następnie poinformował mnie, że jeśli będę latać w ciąży samolotem, dziecko będzie miało wady. A poza tym, jeśli zamierzałam zostać muzyczką, nie powinnam mieć dzieci, ponieważ kobieta nie może zostawić dziecka i wyjechać w trasę, a nie może przecież zabrać go ze sobą.

Od lat tyle nie płakałam. Nigel może sobie wsadzić te swoje sto tysięcy. I swojego producenta. Zaczynam od nowa.



Sinéad z mężem Johnem Reynoldsem
FOT. ANTON CORBIJN



Sinéad z Johnem Reynoldsem w domu, około roku 1980
FOT. JOHN REYNOLDS

ZEGARY I WOKI

I OTO MAM CO NAJMNIJ STO TYSIĘCY DŁUGU NA POCZĄTEK, a zarabiam tylko pięć tysięcy rocznie. Jeśli ta płyta nie odpracuje tych pieniędzy i nie zarobi kolejnych, jako że jest nagrywana po raz drugi, nigdy nie będę niezależna finansowo od ludzi z penisami.

A skoro już o nich mowa, jestem tak ciężarna, jak to tylko możliwe. Dziecko ładnie się wierci, a ja wychodzę z siebie z podekscytowania. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało, kiedy nagrywałam wokale. Niektóre piosenki to prawie same wrzaski.

W zeszłym tygodniu zostałam wyrzucona z włoskiej kawiarni na Charing Cross przez starszą panią prowadzącą lokal, ponieważ miałam na sobie białą koszulkę z napisem „Zawsze używaj prezerwatyw”, obciętą tak, żeby wyeksponować ciężowy brzuch. Nie widziała w tym nic zabawnego.

Mieszkam w staroświeckim pensjonacie w Putney. Zostanę tu na trzy tygodnie, podczas gdy będziemy miksować album. Dom wygląda rodzinnie, jest z czerwonej cegły i ma, dzięki Bogu, tylko jedno piętro. Uliczka też wygląda rodzinnie. Wszystkie domy wyglądają rodzinnie. Serwetki z kremowego lnu z wyhaftowanymi w każdym rogu tyciami liliami leżą poskładane w trójkąty na moich szafkach nocnych. Szklany dzban pełen wody, z brzuchem takim jak mój, stoi obok telewizora w próżnej nadziei. Nie tknęłam go.

Przez kilka ostatnich dni lubiałam turlać grubą siebie wzdłuż białych ogrodzeń i przerośniętych drzew ulicy, przy której mieściło się studio. W końcu było to o wiele przyjemniejsze miejsce niż to, w którym mieszkaliśmy podczas nagrań – Kypriana Hotel. Odpowiednia nazwa, bo w dublińskim slangu na obrzydliwą norę mówi się właśnie „kip”.

Były tam nawet pchły. John Reynolds i ja znosiliśmy ich wszelkie kaprysy i ich tycie ząbki po nocach. Ale robiliśmy to z przyjemnością,

bo fakt, że w ogóle tam byliśmy, oznaczał, że za sprawą jakiegoś cudu zostaliśmy byłymi złodziejami, którzy teraz mieli szansę uczciwego zarabiania na życie. Gdyby nie branża muzyczna, kradlibyśmy razem na potęgę i skończylibyśmy w oddzielnych więzieniach.

Kiedy poznałam Johna, tylna część jego samochodu była zawałona zegarami i wokami. Włamali się z kolegą do jakiegoś wielkiego magazynu. Zbliżało się Boże Narodzenie, a oni nie mieli kasy. Sprzedawali więc kradzione zegary i woki, niektóre wręczali bliskim sobie kobietom w charakterze prezentów świątecznych. Matka Johna dostała jedno i drugie. Mniej cenione kobiety dostawały albo to, albo to.

Z tego czasu, gdy nagrywaliśmy naszą płytę, najlepiej zapamiętałam pierwsze spotkanie z Johnem Keogh. Leżał na podłodze przed toaletą w studiu, w swoich własnych objęciach, ponieważ właśnie zapakował sobie w żyłą dziatkę hery. „Hejo, Lśniacooka”, wybełkotał ze swoim wschodniolondyńskim akcentem, po czym zaczął się chichrać sam z siebie, a jego gałki oczne obróciły się i schowały w czaszce. Kiedy zadarłam stopę, by nad nim przejść, powiedział, „Nie bój nic, nie będę ci zaglądał pod kieckę”.

Jest basistą w zespole Max, a my nagrywaliśmy ich piosenkę *Just Call Me Joe*. Ma grube czarne rzęsy, długie jak pajęczne nogi, a jego źrenice mają bardzo jasny, żółtozielony kolor. Wyglądają jak mleczce. Kiedy jest u mnie, oczy kręcą mu się dookoła głowy jak u węża w *Księdze Dżungli*, bo zawsze jest na twardych narkotykach. Ale nie jest śliski, to kompletne niewiniątko. Dlatego nie może znieść ciężaru świata.

Opiera się o moje drzwi. Mówi, że nie ma siostry, więc lubi ze mną rozmawiać. Patrzy na mnie, jakby był pod moim wrażeniem, jak zachwycone dziecko. Kiedy zapytałam go, dlaczego, odparł, że nigdy nie powinien musieć zostać dorosłym, tak jak ja nie powinnam musieć być dzieckiem. Robi na nim wrażenie, że ktoś chciałby być dorosły.

Jego uśmiech sprawia, że inni się uśmiechają, bo rozpromienia się aż do łez. Próbuje ukrywać swoją urodę – biją go za nią w jego dzielnicy. Odwraca twarz lub patrzy w dół. Ubiera się niechlujnie, ma

pryszczę, a jego zęby są szare od hery i żółte od całej reszty. Ale uśmiecha się, kiedy heroina zamyka mu oczy. Jest bardzo mądry. Wszystko robi dla korzyści innych, nigdy własnej. Nie chce, żebyśmy się o niego martwili. Chce, żebyśmy myśleli, że wszystko z nim w porządku. Ale jest inaczej. Na koniec zasypia podczas kąpieli.

Jeśli chodzi o miksowanie, zajmujemy się tym: ja, inżynier oraz operatorzy dźwięku. To im przede wszystkim przypada główniana robota. Robią niezliczone herbaty i kawy dla muzyków i producentów. Muszą być pierwsi w robocie, a wychodzą ostatni. Biegają do sklepu po kanapki i inne zachcianki towarzystwa. Są nerdami, ale w takim znaczeniu jak Superman. Kiedy na nich patrzę, to widzę, że gdyby nie nerdy, nigdy nie powstałaby żadna płyta. Zamiast tego byłoby tylko mnóstwo zjaranych muzyków i nakoksowanych menedżerów pochłoniętych skutecznym odpięciem poważnych zarzutów o molestowanie seksualne, które się według nich nie liczy, jeśli byli nakoksowani. W procesie nagraniowym żadne z nich nie przydałoby się do niczego.

Tylko ten typ człowieka umie wykonać zadanie, od którego wzięto swoją nazwę operowanie dźwiękiem. Potrafi zrobić coś, czego nie ośmieliłby się zaryzykować nikt inny. Jest do tego zmuszany przez przełożonych w studiu, ponieważ to on ma najmniej do stracenia ze wszystkich. Jednak za sprawą tego, że to umie, ma władzę nad całą resztą.

A umie skleić taśmę, żeby edytować nagranie.

Jeśli pierwsza połowa piosenki poszła dobrze, a druga była do bani, za to w poprzednim podejściu było na odwrót, operator może przeciąć taśmę – za pomocą żyłki Wilkinson Sword – tuż przed miejscem, kiedy zaczęło iść marnie, i wykonać podobne cięcie w drugiej taśmie, tuż przed tym, jak zaczęło iść dobrze. Następnie łączy części specjalnym klejem i cała piosenka staje się udana, a ty nie musisz nagrywać jej znów od początku.

Zaczyna się od odtworzenia utworu przez producenta i wyznaczenia miejsca edycji. Później puszcza się ten fragment raz po raz w zwolnionym tempie. Podczas tego procesu operator dźwięku

obserwuje przewijającą się ze szpuli na szpulę taśmę. Wreszcie delikatnie chwytając brzegi szpul i tak nimi obraca, że piosenka zwalnia, aż wokół brzmi nisko jak z horroru. Ale on nie ustaje, aż znajdzie najkrótszą z pauz w muzyce i znajdzie jej umiejscowienie na taśmie. Dopiero, kiedy jego oko będzie umiało ją rozpoznać, wyciągnie dziesięciocentymetrowy fragment taśmy pomiędzy szpul na niewielki stalowy mostek, który wygląda jak tory kolejki dla krasnali, i zakreśli pionową linię kredą krawiecką.

Ma jedną szansę na dobre cięcie. Jeśli coś pomiesza, będzie katastrofa. W jego rękach jest cała masa forsy (i artystycznego temperamentu). Zdesperowani obserwatorzy gryzą knykcie. Przez te półtorej minuty – bo tyle zajmuje wykonanie cięcia, aplikacja kleju i ponowne puszczenie nagrania – wszyscy są cicho jak duchy. Ponieważ operator jest mistrzem mistrzów – nigdy się nie myli. Sklejka jest nieskazitelna za pierwszym podejściem. Przydziela mu się chwilę odpoczynku z nogami na kremowym, skórzanym pufie, podczas gdy dla odmiany to szefowie, kimkolwiek by byli, przynoszą mu kawę i ciasteczka. Jest chirurgiem plastycznym gwiazd.

MY BOY LOLIPOP, LIPIEC 1987

JAKE ZSINIAŁ W SWOIM KOCYKU od stóp do głów, więc zawołałam pielęgniarkę, a ona chwyciła go i pognęła korytarzem. Nie pozwoliła mi iść ze sobą. Chodziłam po ścianach. Przez okno widziałam skrzydło szpitala po przeciwnej stronie, do którego ludzie szli umierać. Moje drzwi mijają starsza pielęgniarka, złapałam ją za ramię i błagałam:

– Moje dziecko zsiniało i zabrali je – on nie umrze, prawda?

– Mam nadzieję, że nie – odparła, nie przystając ani na chwilę.

Jezusie. Coś takiego nigdy by się nie wydarzyło w Irlandii. Tam potrzyzymałby cię ktoś za rękę. Ale jestem w John Radcliffe Hospital w Oksfordzie. I mam dwadzieścia lat. To moje pierwsze dziecko. Nigdy w życiu nie byłam taka przerażona.

Tej nocy, kiedy się urodził, miałam koszmarny sen, w którym przyszedł do mojego pokoju lekarz z dzieckiem zawiniętym w kocyk. Wręczył mi je, ale kiedy mościłam je sobie na ramieniu, wysunęło się z zawiniątka na podłogę, a jego czółko pękło jak filizanka. Wierzyłam, że nie jest to zła wróżba dotycząca moich umiejętności rodzicielskich.

Dzięki Bogu, już mi go oddali. Włożyli go na godzinę do inkubatora. Urodził się trochę przedwcześnie i waży tylko niecałe trzy kilo. Ja jestem raczej drobna, więc on też. Tak powiedziała pielęgniarka.

Poza tym wydaje mi się, że kiedy już się wy dostał na świat, na zbyt długo go na mnie położyli bez opatulenia. Byli tak zaabsorbowani łożyskiem, że odmroził sobie ten swój mały tyłek. W ciele jest gorąco, więc nic dziwnego, że jak się z niego wylezie, jest koszmarnie zimno. W książkach nic nie pisali o tym, że trzeba mieć kocyk, więc go nie przygotowałam. A w izbie porodowej też go nie mieli. Więc przez dobre pół godziny nie był niczym przykryty.

Znajoma Johna poradziła mi, żebym piła dużo oleju rycynowego, jak tylko zaczniesz się poród. Nie wiem dlaczego, ale posłuchałam.

Twierdziła, że dzięki temu poród będzie łatwiejszy. Ale była to ta sama osoba, która dziewięć miesięcy wcześniej powiedziała mi, że czternasty dzień cyklu jest jedynym, w którym *nie da się* zajść w ciążę. Nie dodała jednak, że po oleju rycynowym dostanę sraczkę jak stąd do Irlandii, a poród będzie tak szybki, że nie będzie kiedy podać leków przeciwbólowych.

Tej nocy dyżur miała biedna, drobna studentka pielęgniarstwa w niebieskim mundurku. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Był naprawdę późny wieczór. Musiała ciągle podawać mi małe szare miski z masy papierowej, do których się wypróżniałam, a potem je odnosić, gdy się zapełniły. Zapełniałam ich ze dwadzieścia. Było to najczarniejsze kupsko, jakie w życiu widziałam, poza tym, które zrobił mój uroczy synek jakieś pół godziny po urodzeniu. Jak smolista pasta do zębów. Bardzo mi tym zaimponował. Oraz tym, że jest naprawdę słodki, czerwony i włochaty. Zupełnie jak mała małpka.

Jake urodził się cztery minuty przed czwartą nad ranem. To była długa, ciężka noc. John poszedł do domu się przespać, jak tylko około piątej rano zmył ze mnie prysznicem krew. To zadanie wielkodusznie przydzieliła mu położna, jakby było największym zaszczytem, jakiego mógł zaznać mężczyzna, który przez całą noc patrzył na swoją kobietę rodzącą w i na jego najbardziej elegancką białą koszulę galową (przeostroża: nigdy nie pożyczaj kobiecie, której minął termin porodu, ubrania, które chcesz odzyskać).

Nie jest zbyt zadowolony z efektów strzyżenia, jakie zafundowałam mu poprzedniej nocy, więc świetnie się bawi, ochlapując mnie, stojącą przed kafelkami, zimną wodą zamiast ciepłej. Na swoją obronę mogę powiedzieć to, że sam mnie o to cięcie poprosił, a każdy, kto oddaje swoją fryzurę w ręce osoby, która się strzyże tak, jak ja, dostaje to, na co zasłużył. Dość kiepsko przycięłam mu boki i nie mam pojęcia o cieniowaniu. Prawie się rozpłakał, jak się zobaczył.

Ale myślę, że mu to wynagrodziłam, bo uwielbia swojego małego dzidziusia. Powiedział, że mogę nosić jego niebiesko-białą koszulę nocną. Pojutrze przyjeżdża z Liverpoolu jego mama, żeby zobaczyć swojego pierwszego wnuka. Jest kochana, ta mama Johna. Uwielbiam ją. Pochodzi z Yorkshire i jest odważna jak małe dziecko. Je słodycze,

choć ma cukrzycę. Ma na imię Betty. Bardzo do niej pasuje, bo ma wielkie, brązowe oczy jak Betty Boop.

Ma jednak szurniętego psa. Nie ma mowy, żebym zabrała Jake'a do niej. Listonosze rzucają pracę jeden za drugim. Od frontu przerobiła sobie garaż na salon, piękny i pełen kwiatów. Dawne drzwi do garażu są teraz ogromnym oknem. Głupi pies rzuca się przez nie, kiedy tylko ktoś mija furtkę. To doberman. Nienawidzę go. Przyparł mnie do muru na całe wieki, gdy pierwszy raz spotkałam Betty. *Strasznie* żenujące.

Betty jest taka miła dla Johna. Wprost go ubóstwia. Jeśli udziela mu reprimendy, to tylko na żarty. John ciągle przy niej głośno pierdzi, a potem wybuchają śmiechem. Siostra Johna, Maria, jest taka sama. Ma mnóstwo tatuaży, ale Betty o tym nie wie.

Chciałabym być jej córką. Albo jednym z dzieci, które wychowała. Jest taka życzliwa i łagodna. Jej głos jest pełen miłości i ciepła. Unosi się w górę i w dół, jak powinien robić głos matki. Synowie wciąż ją odwiedzają. Są już dorosłymi mężczyznami, jak John. Uwielbiają ją. Dzięki jej miłości wyszli na ludzi. Dzięki niej mają prace. I dziewczyny, i w ogóle.

Jeden z jej synów powiedział swojej ukochanej, że idzie za róg po papierosy i nie wracał przez dwa lata. Ale później się pobrali. Jest naprawdę zabawny. Będzie superojcem.

Chcę, żeby to było jasne: nie winię Johna (ani mojego ojca, skoro już jesteśmy w temacie), że martwili się, że będę miała dziecko. Było wiele powodów do troski. I wiem, że chcieli dla mnie jak najlepiej.

Nie wierzę za to w szczerą troskę wydawnictwa płytowego. Martwili się tylko o pieniądze, podczas gdy John i ojciec niepokoiili się o moją młodość. Innymi słowy, były to słuszne obawy wynikające z miłości.

John naprawdę zasługuje na osobny rozdział tej książki, bo jest dla mnie jak brat i najlepszy przyjaciel na świecie. Znam go od swojego osiemnastego, a jego dwudziestego ósmego roku życia. To wiele długich lat. Zawsze był dla mnie oparciem jako przyjaciel, nawet kiedy popełniałam błędy. Zawsze był moją opoką. I zawsze się o mnie troszczył.

Przeżyłam z Johnem swoje absolutnie najzabawniejsze chwile i nigdy, z żadną inną istotą ludzką, tyle się nie śmiałam. Ani nie pierdziałam głośno. John jest w tej dziedzinie legendą. I jest to zaraźliwe.

Dziś jego studio znajduje się na strychu domu, który dzieli z Fioną, swoją wspaniałą żoną, i ich dwiema córkami, Jesse i Ruby.

Zatrzymywali się tam i pracowali wszelkiego rodzaju artyści. Od Seuna Kutiego po Roberta Planta, Indigo Girls, mnie czy Damiena Dempseya – każdy, kto ci przyjdzie do głowy. Bo John jest absolutną muzyczną położną. Potrafi (czasem pierdząc w głos) sprawić, że ludzie czują się tak swobodnie, że stają się w pełni sobą, w sposób, w jaki nie umieliby w żadnym innym studiu. Wydobywa z każdego artysty to, co w nim najlepsze.

John ma dwa bulmastiffy i kocha je jak własne dzieci. Jest wspaniałym ojcem, a Fiona wspaniałą matką. Ani razu nie słyszałam w ich domu podniesionego głosu, chyba że śpiew.

Był i nadal jest niezwykłym ojcem dla Jake'a. I, dzięki Bogu, Jake jest skórą zdjętą z ojca. Tacy są podobni.

Nie umiem znaleźć słów, by opisać, jak bardzo kocham Johna i jak wiele dla mnie znaczy. Jest dla mnie rodziną. I nie zaśpiewałabym prawie niczego dobrze, gdyby nie to, że czułam się przy nim na luzie, nagrywając w piżamie i kapciach, podczas gdy on doprowadzał mnie do łez ze śmiechu swoimi bąkami emitowanymi w samą porę, gdy wchodził podkład muzyczny...

Przepadłabym, gdyby nie John. Byłabym niczym bez jego towarzystwa, kreatywności, braterstwa, śmiechu i wsparcia emocjonalnego, jakie mi zapewniał. Jest kotwicą mojego życia. Nie ma słów, które mogłyby to oddać. Ale katalog muzyczny, jaki stworzyliśmy razem na przestrzeni trzydziestu pięciu lat, mówi sam za siebie i jest dziedzictwem naszej więzi. Pięknego tańca przez życie, jaki razem wykonaliśmy. Wciąż go tańczymy. I zawsze będziemy.

THE WAY YOUNG LOVERS DO

KIEDY JOHN POJECHAŁ ODEBRAĆ BETTY ze stacji, wykąpałam Jake'a pierwszy raz. Biedne stworzenie ryczało wniebogłosy. Coś okropnego. Był cały czerwony ze złości. Taki malutki. Betty się w nim zakochała. Jest super. Podarowała mu uroczą figurkę królika w zielonych spodenkach i żółtej koszulce, tłustego i szeroko uśmiechniętego.

Obecność Jake'a w naszym życiu była dla nas sporym zaskoczeniem. Pewnego dnia, jakiś tydzień po jego narodzinach, wybieraliśmy się gdzieś z Johnem samochodem i dopiero, gdy ujechaliśmy dobrych trzydzieści metrów, przypomnieliśmy sobie o tym, że mamy dziecko. Prawie zeszlismy na zawał, kiedy do nas to dotarło. Zahamowaliśmy z piskiem opon i wróciliśmy po niego do domu.

Innej nocy miałam straszny koszmar, że zostawiłam Jake'a pod opieką mojej matki i poszłam na zakupy. Nigdy żaden sen mnie tak nie przeraził. Obudziłam się złana potem, szukając Jake'a po omacku w półmroku, żeby się upewnić, że to nieprawda.

Dzieci zazwyczaj nie uśmiechają się przez pierwszych sześć tygodni życia, a kiedy Jakey to wreszcie robi, jest to najpiękniejszy bezzębny uśmiech, jaki w życiu widziałam. Jego cała buzia i oczy promieniają. Kiedy zdarzyło się to pierwszy raz, leżał na brzuchu w moim łóżku.

Drugą osobą poza Johnem Reynoldsem, która przez ten czas bez wahania wspierała mnie w chęci bycia zarówno koncertującą muzyczką, jak i matką, był Fachtna, mój menedżer. Jako jedyny mówił, że mogę być dobrą mamą i że zawsze dopilnuje, żebym miała pomoc. Znałam go od dwóch lat, a wtedy stał się moim bohaterem.

Trzy miesiące po tym, jak urodziłam Jake'a, miał ukazać się mój album, w gazetach pojawiały się recenzje i umawiano wyjazdy promocyjne.

Mam dwadzieścia lat i jestem w hotelu Blooms w Dublinie. Niosę tacę z kawą do stolika w knajpie, przy którym Joe Jackson z „Hot Press” czeka na wywiad ze mną, i trzęsą mi się ręce i nogi. Wysłali nas samolotem z Londynu na promocję *The Lion and the Cobra*. Nie wiem, kogo spotykają ludzie, z którymi rozmawiam, ale nie jestem to ja.

Mieszkamy w American Hotel w Amsterdamie i siedzę w pokoju. Rozmawiam w nim z dziesięcioma osobami dziennie, jedna po drugiej. Wszystkie mają mikrofony i notesy w ręku. Aparaty i biały błysk fleszy. Czy stanę tak, a może inaczej?

Nawet nie wiem, w jakim jesteśmy mieście. Nie obchodzi mnie, co mi dadzą na lunch. Nie obchodzi mnie, czemu nagrałam płytę. Nie wiem nawet, na jakiej jestem planecie. To, co powie Fachtna, jest dobrym pomysłem. Co on uwielbia, uwielbiam i ja. Czego nienawidzi, próbuję znienawidzić. Chcę tylko wciąż robić na nim wrażenie. Mówię to, co mi się wydaje, że je sprawi. Staję się czymkolwiek, co mi się wydaje, że zrobi na nim wrażenie.

Czasem myślę, że jestem bardziej jak on niż jak ja sama.



Londyn, około roku 1989. Nowy wygląd, nowa kariera

FOT. KATE GARNER

THERE IS A LIGHT THAT NEVER GOES OUT, 1987

JESTEM W TRASIE W LODOWATEJ ANGLII, supportuję INXS. Zaraz po tym, jak się zgodziłam z nimi pojechać, David Bowie poprosił mnie o zagranie przed jego zespołem. Byłam rozczarowana, że nie mogę przyjąć tej propozycji, ale tak czy inaczej bardzo się cieszę z samego zaproszenia. W moim zespole są Mike Joyce i Andy Rourke z The Smiths. Andy jest najzabawniejszym człowiekiem, jakiego w życiu poznałam. Uwielbiam go.

Pewnego razu do Andy'ego, jego braci i ich ojca przyszedł na podwieczorek proboszcz. Chłopaki byli na kwasie. Starali się normalnie zachowywać przy stole i nie zaśmiewać się do łez. To jeden z powodów, dla których uwielbiam Andy'ego – zaśmiewa się do łez. Zaśmiewanie się do łez jest najlepszym uczuciem, jakie istnieje, i najzabawniejszą rzeczą, jaką można zobaczyć. Razem z Mikiem są naprawdę zabawni. Rozśmieszają się nawzajem tak, że aż turlają się po podłodze. Mike'a też uwielbiam. Sprawili, że pokochałam ludzi z Manchesteru. Totalnie bezpośredni. Żadnego pieprzenia. Żadnych nieszczerych gadek. Poza tym traktują mnie jak chłopca, przez co jestem szczęśliwą dziewczynką.

Wśród muzyków naprawdę nie istnieje takie podejście do kobiet, jakie panuje w środowisku zarządzających branżą muzyczną (i jakie ogólnie panuje w Irlandii). Więc kiedy jestem z muzykami i technicznymi, fajnie mi w dziewczynskiej skórze. Przebywam głównie z facetami i traktują mnie jak faceta, więc uczę się, jak to jest być mężczyzną.

Jeśli czujesz się jak mężczyzna, jesteś w trasie bezpieczniejsza. Nie w tym znaczeniu, że „bezpieczna wśród ludzi”, ale chroni cię to przez trudami życia w trasie i faktem, że jesteś nietypową kobietą jak

na panujące standardy. Zachowujesz się, jakbyś miała te same przywileje co mężczyźni. Ciężko sobie z tym radzić. Miejsce kobiety jest w domu. A nie na drodze 66. Szczególnie jeśli jest matką, jak ja. Jeśli nie będziesz sobie powtarzać, że jesteś mężczyzną, przez całe życie będziesz sfrustrowana, kiedy tylko pójdziesz do pracy. Ludzie pokroju Andy'ego czy Mike'a, czy Johna Reynoldsa, czy Johna Keogh lub paczki Johna Maybury'ego zupełnie nie traktują mnie inaczej z tego powodu, że jestem dziewczyną. Poza miłymi sytuacjami, kiedy Maybury, reżyser teledysku, prosi kogoś, żeby mnie umalował i ciągle powtarza mi, jaka jestem śliczna. Jest gejem jak stąd do księżycy, więc jest to nawet miłsze usłyszeć to z jego ust niż od faceta hetero, bo ci tylko tak mówią, żeby dziewczynę przelecieć. John Maybury i jego koledzy mówią tak, bo dziewczyny wielbią. Sprawiają, że jest mi bardzo przyjemnie nią być. Ale lubię wyglądać jak chłopiec. Nigdy nie mrugnęli okiem w tej kwestii. Nikomu to nie przeszkadza. Tylko biednemu Nigelowi Grainge'owi.

Z grubsza to lubię wyglądać jak znajomy Johna Maybury'ego, Alan. Jest niezwykle przystojny, strzyże się na rekruta i ma miękki, uroczy głos. Jego oczy są po brzegi wypełnione łagodnością, kiedy patrzy dosłownie na każdego. Czasem widać w nich całe jego serce. Nie jest wybuchowy ani nie boi się ludzi. Chciałabym być jak on. Ja jestem wybuchowa, a większość ludzi mnie przeraża.

Chwilę wcześniej Maybury dokonał niezwykłego muzyczno-promocyjnego wyczynu. Był rok 1987, a Irlandia Północna ogarnięta wojną, ale mimo to Maybury i jego szalony oświetleniowiec zdołali przetransportować kilogramy napalmu z Heathrow na lotnisko w Dublinie, nieprzytłapani na żadnym z nich. Materiały wybuchowe chcieli wykorzystać w wideoklipie. Zajęliśmy Hellfire Club, osiemnastowieczną ruinę okrytą niesławą, stojącą na wzgórzu z widokiem na Dublin. Z pięć razy wysadzaliśmy tam ten napalm. A to przecież pomnik historyczny. Nie wystąpiliśmy nawet o zezwolenie. Koleś, który się tym zajmował, był jakimś wojskowym ekspertem. Nic nie odpadło ani się nie przewróciło. Pozostawiliśmy budowlę nienaruszoną.

To był klip do mojego pierwszego singla, *Troy*. Pierwszą część nakręciliśmy w lodowatym studiu we wschodnim Londynie. John

do pracy nad tym teledyskiem zaprosił wszystkich swoich przyjaciół. Ogolili mi głowę kompletnie na gładko za pomocą maszynek Bic. Potem pokryli mnie od klatki piersiowej w górę czystymi płatkami złota, jak tamtą dziewczynę z Jamesa Bonda, i posadzili w płonącym kręgu, gdzie śpiewałam. Przez cały dzień wirowałam w kółko po małych torach, a John kazał mi „szukać kamery”. Wyglądałam jak strasznie wpieniony kosmita, który podpala wszystko oddechem.

Tak czy owak, wróćmy do INXS. Michaela Hutchence’a poznałam na dublińskim lotnisku, kiedy przed pierwszym koncertem z trasy zgłaszaliśmy się do odprawy. Był dla mnie naprawdę miły. Typ starszego brata. Opiekuńczy. Żaden flirciarz ani nic takiego. Nie spędzaliśmy wiele czasu razem, a kiedy już się to udawało, wszędzie było mnóstwo ludzi. Zawsze dyskretnie miał na mnie oko, nieważne, czy zagadywał kogoś przez salę, siedząc na kanapie, czy rozmawiał z kolegami, czy robił jeszcze coś innego. Pilnował, żeby jakiś debil nie zaciągnął mnie do łóżka ani nie zamęczył brązową paplaniną. Lubiłam go. Nie mówił zbyt wiele za pomocą słów. Mówił spojrzeniem. Był jak Indianin.

W Liverpoolu bramkarz z dyskoteki znajdującej się w piwnicy naszego hotelu pobił mnie i Andy’ego Rourke’a. Wielki, włochaty potwór. Wyglądał, jakby służył dla Brytoli w Belfaście. Miał wąsy i w ogóle, jedna wielka reminiscencja.

Nie spodobały mu się moje martensy. No i dobra. Mają wystające blachy nad palcami – zgodnie z modą rozciąłam skórę na czubku buta, żeby było je widać. Nie spodobała mu się też moja ogolona głowa. Wróciliśmy na górę, gdzie zmieniałam buty, ale kiedy znów zeszedliśmy na dół, nadal byłam łysa, a do tego śmialiśmy się do rozpuku.

Kiedy byliśmy przy kasie, Andy miał bezczelną minę i chichotał nerwowo. Człowiek Potwór uznał więc, że robimy problemy, i mu przyłożył. Później zagonił nas do windy i sprzął oboje. Dołączył do niego kolega, który wywlókł mnie za fraki z windy, po czym zaczął ciągnąć po schodach na górę, całą drogę *bum, bum, bum*, podczas gdy Człowiek Potwór robił to samo Andy’emu. Wyrzucili nas na ulicę. Wtedy trafił nas szlag. Straciłam panowanie nad sobą. Poszliśmy

z powrotem na górę, do naszych pokoi, gdzie przez godzinę skakałam w kółko, grożąc, że zejdem i gościa zabiję. Biedny Fachtna musiał zaczekać, aż zasnę, żeby mieć pewność, że tego nie zrobię. Zabarykadował drzwi wieżą z krzesel dla pewności, że Człowiek Potwór pozostanie na zewnątrz, a ja w środku.

Z jakiegoś powodu Bóg sprawił, że słowo *koncertowanie* rymuje się ze słowem *puszczanie*. Bo faktem jest, że z tras koncertowych, szczególnie z moich młodszych lat, kiedy odbywałam ogromne tournée promujące moje płyty w Stanach Zjednoczonych i Europie, pamiętam głównie seks. Tylko to było nam w głowie. Graliśmy koncerty, a seks był miłą odskocznią pomiędzy nimi. Ja i inne dziewczyny z mojego zespołu – kiedy nie byłyśmy zajęte łamaniem serc – często podróżowałyśmy w autokarze technicznych. Szalone, bo tego się nie robi w Ameryce, a tym bardziej bez menedżera trasy. Wszystkie autokary bujały się na boki na autostradach.

Koniec końców złamałyśmy chyba trochę serc, bo większość ekipy stanowili żonaci lub zajęci faceci, a my nie zamierzałyśmy kontynuować tych relacji. Na koniec trasy rzucałyśmy ich w te pędy, co było dość okrutne, jako że naprawdę ich lubiłyśmy. Głuptasy z nich, bo my po prostu się puszczałyśmy. Jak już mówiłam, naprawdę ich lubiłyśmy. To byli mili faceci, ale mieli dziewczyny, a jak to się mówi w branży muzycznej, co na trasie, zostaje w trasie. I tak to traktowałyśmy.

Tournée, które pamiętam najlepiej, towarzyszyło wydaniu mojej drugiej płyty, *I Do Not Want What I Haven't Got*. Na tym etapie miałam nowego menedżera, Steve'a Fargnoliego, który był też menedżerem Prince'a. A ponieważ *Nothing Compares 2 U* z tego albumu było numerem jeden, nagle w trasie otworzył się dla mnie zupełnie nowy świat. Był stylistą, oświetleniowcy, cała *produkcja*, wszelkiego rodzaju pompa i ceremoniał. Ciężko mi było się do tego przyzwyczaić, bo miałam wielką tremę i czułam się jak kompletna oszustka. Nie mogłam pojąć, czemu komukolwiek w ogóle podobają się moje piosenki, czemu ktokolwiek klaszcze lub uważa, że są dobre. Naprawdę nie wierzyłam w siebie, czy to chodziło o piosenki, czy

o cokolwiek innego. A występowałam na festiwalach i jarmarkach, gdzie ludzie wrzeszczeli na kolejkach górskich, darli się z przerażenia, a ja śpiewałam kojące piosenki dla swojej publiczności. To było coś przedziwnego – wręcz wyzwalającego. Wyrobiłam też sobie zwyczaj śpiewania z zamkniętymi oczami, co naprawdę zdenerwowało mojego menedżera. Wolałam to z wielu powodów, między innymi dlatego, że jeśli nawiązało się kontakt wzrokowy z czyimś chłopakiem, występowała obawa, że po koncercie jego dziewczyna spuści mi manto, jeśli piosenka była romantyczna. Gdzieś pomiędzy wrzaskami dobiegającymi z kolejek a lękiem przed gniewem z zazdrości wyrobiłam sobie nawyk zamykania oczu podczas koncertów i zanurzania się w swoim własnym świecie.

Bycie w trasie wiązało się z wielką samotnością. Było wokół mnie mnóstwo ludzi, i to nawet takich, których kochałam, ale nikt nie widział mnie ani ja nie widziałam już swojego odbicia w innych. Nagle nie było obok mnie nikogo, kogo bym znała, zanim stałam się bardzo sławna. Odciełam się od rodziny. Nie była to ich wina – wyłącznie moja.

Całe to doświadczenie bycia w trasie i siedzenia całymi dniami w hotelach wydało mi się dość samotne. A promocja? Pakowałam się w kłopoty za każdym razem, kiedy tylko otworzyłam usta. Ktoś zadawał mi pytanie, ja odpowiadałam, i bach! Kłopoty. Nikt nie umiał mnie zaakceptować jako dobrego człowieka. To było krzywdzące. Do tego wszyscy zaczęli traktować mnie jak wariatkę.

Pewnie nie zdajecie sobie sprawy z tego, że nieważne, czy jest się królową angielską, Barbrą Streisand, Bobem Dylanem, czy kimkolwiek innym, nie można zrobić kupy w autokarze. Na drzwiach wisi tabliczka z napisem „TYLKO PĘYNY”. To sprawia, że bycie w trasie jest dość interesujące.

Moim marzeniem jest napisanie książki do kibla pod tytułem „TYLKO PĘYNY”. Napisałabym do Mariah Carey i Barbry Streisand, a nawet królowej angielskiej, z prośbą o ich historie. Byłoby to szczególnie zabawne, gdyby były to wyłącznie wielkie kobiece gwiazdy, takie jak Céline Dion.

Moje własne historie o próbach zrobienia kupy nie są zbyt zabawne. Są dość niepokojące, więc nie będę się fatygować. Cóż, raz, kiedy byłam w trasie ze Sly'em and Robbiem, utknęłam w szczerym polu we Francji, nie widząc dalej niż czubek własnego nosa. Byłam na tyle blisko autokaru, że nie dawałam rady się wypróżnić, bo się wstydziłam i nie szło. Jednocześnie bałam się, że wszyscy wysiądą, i wtedy to już w ogóle po sprawie. Więc tak sobie trzymałam. Skończyło się na tym, że faktycznie ktoś wysiadł i tak mnie wystraszył, że ruszyło. Ale jestem pewna, że inni mają śmieszniejsze opowieści ode mnie, bo kiedy podróżujesz autokarem z czternastoma osobami, to fakt, że nikt nie może zrobić kupy w autobusie, oznacza, że musisz się czternaście razy zatrzymać o różnych porach dnia i nocy.

DOBRE WIEŚCI, ZŁE WIEŚCI I TAK DALEJ

SŁYSZĄC DOBIEGAJĄCE Z TELEFONU SŁOWA FACHTNY – „Zostałaś nominowana do nagrody Grammy” – ujrzałam w swojej głowie, jak moje życie zwija się jak koc i znika. W mgnieniu oka, jakbym umierała. Nigdy o tym nikomu nie powiedziałam. Jestem jak Stevie Nicks. Ona zachowuje swoje wizje dla siebie.

Nominacja za album *Lion and the Cobra* w 1989 roku zmieniała bieg mojej kariery. Oczywiście kolejna nominacja dwa lata później za płytę *I Do Not Want What I Haven't Got* przyniosła mi niezmierną satysfakcję na innym poziomie. To dlatego, że niewiele wcześniej Nigel zadzwonił, by powiedzieć, że nie chce wydawać tej płyty. Cytuję: „Jest zbyt osobista, to jak czytanie cudzego pamiętnika. Będzie jak z drugą płytą Terence'a Trenta D'Arby'ego, która zbiera kurz w magazynie”.

Nigel znał te cholerne piosenki wiele miesięcy przed nagraniami, a teraz płyta była już zmasterowana. Zastanawiałam się, co on u diabła bierze. Myślę, że po prostu zachowywanie się jak świnia sprawiało mu przyjemność.

Przypomniałam mu, że kontrakt zapewnia mi kontrolę twórczą, co oznacza, że płyta wychodzi, czy mu się to podoba, czy nie.

Ten facet był typem nakokowanego kretyna. W jaki sposób piosenka może być zbyt osobista? Wyobraziłam sobie, że plaskam go lekko po skroniach wielką, surową rybą. To jedyne, co da się zrobić z głupimi ludźmi.

Nie minęło kilka miesięcy, a *I Do Not Want What I Haven't Got* była na pierwszym miejscu na całej planecie, Nigel zaś nie musiał nawet podnosić słuchawki, żeby zarabiać miliony. I cieszę się z tego. Bo na kretyna nikt nie polec, o ile nie czuć od niego z daleka grubą forszą.

Jeden z czynników, które przełożyły się na sukces mojej płyty, miał związek z cmentarzem w Paryżu. Na Père Lachaise stoi łożo wykute w białym marmurze. Spoczywa na nim młoda kobieta w koszuli nocnej zapiętej na guziki. Leży otulona kocem obok niemowlęcia. Uśmiecha się do niego, a ono odwzajemnia uśmiech. Każdy szczegół, aż po ściegi w pościeli i kocach, wszystko jest idealnie realistyczne. Każda zmarszczka od uśmiechu pod oczami kobiety. Nawet jej włosy na poduszce.

Przechadzałam się tam przez prawie cały dzień w niezwykle drogim płaszczu, który chętnie bym sobie zatrzymała. Stylista, Gerry Stafford, opowiedział mi, że Père Lachaise ma swoją własną kanalizację. Muszę przyznać, że nieco przeraziła mnie wizja, że zmarli wstają, żeby zrobić kupę, a potem szorują z powrotem do swoich grobowców. A tak w ogóle, to czym się tam podcierają?

Zapamiętać: nigdy, przenigdy nie iść już na cmentarz.

Kręciliśmy tam teledysk do *Nothing Compares 2 U*. Większość materiału nagraliśmy w Londynie kilka dni wcześniej, może ze trzy różne ujęcia. W jednym z nich, w zbliżeniu, po prostu śpiewałam piosenkę wraz z nagraniem, siedząc w czarnym polo na krześle. Ale gdy nadszedł fragment: „All the flowers that you planted, Mama, in the backyard, all died when you went away”^[16], przez jakieś dwadzieścia sekund płakałam. Wydawało mi się potem, że zmarnowałam ich czas. Ochłonęłam i śpiewałam dalej. Ale myślałam, że ten materiał jest nie do wykorzystania. Dlatego cieszyłam się, że mamy te zdjęcia w Paryżu. Tylko dręczyło mnie poczucie winy, że przeze mnie wszyscy stracili czas i pieniądze.

John Maybury, który reżyserował i ten teledysk, myślał, że płaczę, bo niedawno pożegnałam się z Fachną. Ale z tego to już się cieszę. Tak jest lepiej dla wszystkich.

Płakałam, bo moja mama nie żyje. Wciąż mnie to rozwała, chociaż mam dwadzieścia cztery lata. Trochę wstyd. Ale cóż. Jestem przecież dziewczyną.



W show-biznesowych dzielnicach Los Angeles, na białych murach, rosną piękne ciemnoróżowe kwiaty. Nie mieszkają tu żadni Meksykanie. Ani Afroamerykanie. Widuje się ich tylko wtedy, kiedy sprzątają cudze domy.

W nowojorskim biurze mojego wydawcy płytowego kolor skóry pracowników najciemniejszy jest w piwnicy, gdzie się segreguje pocztę. Jaśniej z każdym kolejnym piętrem wzwyż. Podobnie rzecz się ma z rozgłośniami radiowymi, których się tu słucha. Na dwóch ostatnich piętrach dołącza jeszcze zasada „zero kobiet”. Chyba że pełnią funkcje sekretarek.

Szefom nie podoba się zdjęcie z okładki *Lion and the Cobra*, więc w Stanach musieliśmy dać inne z tej samej serii. Uznali, że na europejskiej wyglądam na „wściekłą”. Wyglądam, jakbym krzyczała. Prawda jest taka, że śpiewałam. Bardzo mądry fotograf poprosił, żebym śpiewała do płyty, którą puścił naprawdę głośno. Ale szefom podoba się „skromna” wersja zdjęcia, na której patrzę w podłogę z zamkniętymi ustami. Podobno kobiety wyglądające na wściekłe nie „robią wyników sprzedaży”. A już przecież ucierpieli przez moją fryzurę.

Ludzie, którzy zarządzają branżą muzyczną, nie mają w sobie krztyny punka. To banda przerażonych ludzi. Ale przerażonych nie tym, co trzeba – bo na przykład muzyką. Dlatego w 1991 roku, choć wręczano nagrodę Grammy w kategorii rap, nie pokazano tego w telewizji. Społeczność raperów przeprowadziła więc bojkot. A ja nosiłam z boku głowy wygolone i zafarbowane logo Public Enemy, żeby można je było zobaczyć w telewizorach na całym świecie.

W show-bizie właśnie zaczęło się robić ciekawie. Młodzi zaczynają się buntować (a nie miało to miejsca od czasu śmierci Johna Lennona).

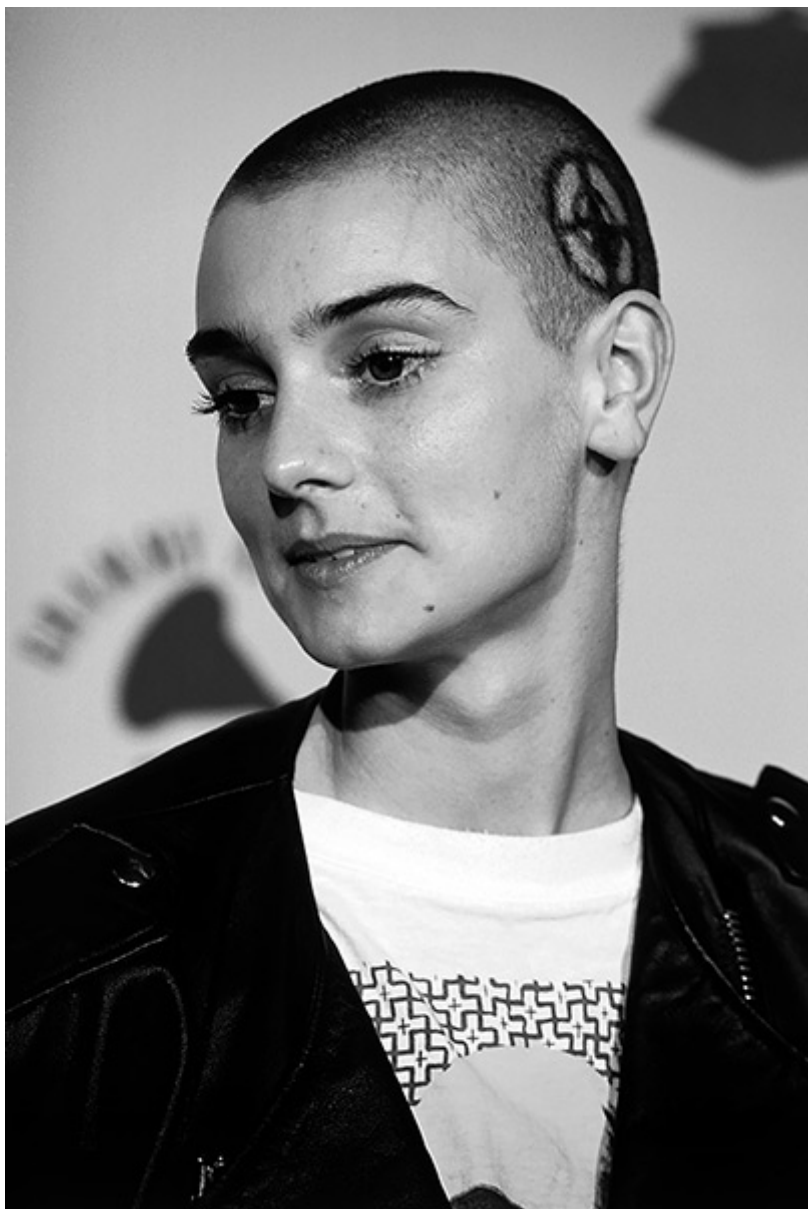
Największą potęgą w Ameryce jest rap. Wszędzie widać nastolatków (nazywanych przez establishment „dzieciakami”), którzy przesiadują na schodkach z ogromnymi boomboksami, puszczając Public Enemy albo KRS-One tak głośno, że brzuch boli. Noszą też magnetofony na ramieniu, przemierzając ulice niczym stacje drogi krzyżowej.

Podobnie jak w przypadku nauk Chrystusa, misją rapu jest zbudowanie poczucia własnej wartości w tych, których „wcześniej uznawano za gówno”. Jest więc równie niebezpieczny. Słucha go wiele

dzieciaków różnego pokroju, a branża muzyczna nie chce, żeby jej górnym piętrom zagroził albo nieodpowiedni kolor skóry, albo nieodpowiednia postawa – czyli ktokolwiek, komu zależy na prawdzie.

Dzieciaki stanowią rynek i trzeba zrobić tak, żeby nadal myślały, że są warte mniej od gwiazd, bo inaczej przestaną chcieć tego, co gwiazdy sprzedają.

A teraz najlepsze. Kiedy zarządzający branżą muzyczną w końcu zdają sobie sprawę, że nie zduszą rapu, postanawiają przejąć nad nim kontrolę. Milionerami stają się udawani raperzy, którzy głoszą przekaz: „nie możesz być taki jak ja”



Solidarność, rozdanie nagród Grammy w 1989 roku

FOT. MICHAEL GRECCO

FUNNY HOW TIME SLIPS AWAY

WZIĘŁAM UDZIAŁ W ROZDANIU NAGRÓD GRAMMY w 1989 roku, kiedy byłam nominowana w kategorii Najlepszej Wokalistki Rockowej. Wykonałam tam *Mandinkę*. Przez całą próbę generalną byłam zdenerwowana, bo poprzedniego dnia, kiedy wylądowaliśmy w LA, wybrałam się do jednego z pawilonów przy Sunset Boulevard, w którego oknach błyskają neony z napisem „Wróżka”.

Zza czerwonej kotary wyłoniła się stara, pulchna Hinduska w fioletowo-pomarańczowym sari. „Siadaj”, zarządziła i wskazała sfatygowany, jasnozielony fotel po lewej stronie. Wyszła na kilka minut, po czym wróciła i usadowiła się na identycznym fotelu naprzeciwko mnie.

Gawędziłyśmy przez kilka minut. Nie pojawił się żaden konkretny temat, powiedziałam jedynie, że moja matka nie żyje i że chciałabym się dowiedzieć, czy dobrze się czuje, gdziekolwiek jest. Powiedziała: „Ja się tym nie zajmuję. Musisz pójść do medium”.

Potem rzuciła: „Pokaż mi dłoń”. Podałam jej prawą rękę. „Widzę dookoła ciebie mroczne duchy”, powiedziała.

Serce podeszło mi do gardła. „Dlaczego tu są? Jak mam się ich pozbyć?”

„Są tutaj, bo jesteś smutna. Musisz wziąć kąpiel, a następnie napełnić plastikową butelkę wodą z wanny”.

I ciągnęła: „Za każdy twój rok na ziemi musisz recepturką przymocować do butelki banknot studolarowy, po czym dać mi ją. Oto lek”.



Na rozdaniu nagród Grammy z Alem Greenem i BP Fallonem

FOT. BP FALLON

Pobiegłam z powrotem do hotelu i powiedziałam Fachtynie: „Potrzebuję dwóch tysięcy dolarów ASAP”. Nie chciał mi ich dać. Nie chciał poprosić o nie wytwórni. Powiedział, że daję się nabrać, a ta kobieta to naciągaczka. Wiedziałam, że ma rację, ale wróżka napędziła mi stracha, więc nie dawałam mu żyć przez całą noc i jeszcze rano. Chciałam to zrobić tak czy inaczej. Wciąż byliśmy na siebie obrażeni, kiedy nadeszła pora próby generalnej. Często się na siebie obrażaliśmy.

Podczas próby siedzieliśmy w środku trzeciego rzędu, gdy Sarah Vaughan wykastowała *So Many Stars*. Byłam pod wrażeniem. To była jej rozgrzewka. Gdy się już wykastowała i odśpiewała piosenkę trzy razy, jej głos był idealny. Czysty, niezadymiony i piękny.

Policzki Dizzy’ego Gillespiego nadymały się jak balony, kiedy ćwiczył. Chciałam je pocałować, tak słodko wyglądały.

Al Green miał na sobie koszulę zrobioną ze złota. Wyglądała jak utkana z tony tych łańcuszków. Ktoś nas sobie przedstawił.

Wspaniale pachniał. Perfumami, nie wodą po goleniu. Śmiałam się, że powinnam poprosić go o udzielenie nam ślubu, skoro jest pastorem. Ale nie wydaje mi się, by małżeństwo pomiędzy parą tak marudnych ludzi było dobrym pomysłem.

Poznałam Anitę Baker. Też brała udział w próbach, miała na sobie olśniewającą, czarno-złotą sukienkę. Ubóstwiam ją. Jest taka piękna. Trzymała czerwoną różę na długiej łodyżce. Wręczyła mi ją. Powiedziała, że podoba jej się *Mandinka*. „Twój głos jest nieprzenikniony”, dodała.

Kiedy po próbie wróciłam do pokoju hotelowego, zastałam tam przywiązany do krzesła ogromny pęk różowych balonów z mniejszymi balonikami w środku. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Przysłała go wytwórnia.

Na występ założyłam krótką koszulkę i džinsy. Przez tylne szlufki od paska przełożyłam rękawy śpioszków Jake'a, tak że zwisały mi na pupie. Później, kiedy pojechałam do domu, do Irlandii, złożyłam je na grobie mojej matki. Wciąż tam są, choć już o wiele bardziej sfatygowane. Wrosły w błoto i kamienie. Kiedyś były niebiesko-białe. Dziś są żółte, jakby ktoś je namoczył w naparze z rumianku.

Mój starszy brat gniewał się, że je tam położyłam. Dla niego ten obraz był niepokojący. Uważał, że to popaprany gest. Ale to miała być dla matki pamiątka z rozdania Grammy. Ponieważ przez cały czas, kiedy tam byłam, myślałam, jak bardzo chciałaby również tam być. A miała też nigdy nie poznać swojego wnuka. Chciałam jej dać coś od niego.



Wizyta w Hollywood
FOT. BP FALLON

PAPER ROSES

KOLEJNE NOMINACJE DO GRAMMY otrzymałam w 1991 roku. Tym razem było zupełnie inaczej, bo nie pojechałam na rozdanie. I nie przyjął nagrody, którą wygrałam w kategorii Najlepszy Występ – Muzyka Alternatywna. Ku ogromnej konsternacji wielu osób odrzuciłam *wszystkie* nagrody, które mi oferowano za mój drugi album. Po tym, jak mnie traktowano przez poprzedni rok w branży i mediach, wiedziałam już, że nie otrzymuję nagród za wyznawane wartości. Otrzymuję je za „zrobione wyniki”, czyli sprzedaż ogromnej liczby płyt. Sukces komercyjny był ważniejszy od artystycznego. Zarobiłam furę pieniędzy dla wielu mężczyzn, których kompletnie nie obchodziło, o czym są moje piosenki. A wręcz woleliby, żeby nikomu tego nie wyjaśniała.

Odrzucając nagrody, tłumaczyłam, że robię to, by zwrócić uwagę na problem przemocy wobec dzieci. I na to, że jestem punkówką, a nie gwiazdą popu. I że dawanie nagród powoduje, że jedni ludzie czują się lepsi od reszty, a inni od nich gorsi. I że w muzyce nie powinno być miejsca na taką rywalizację.

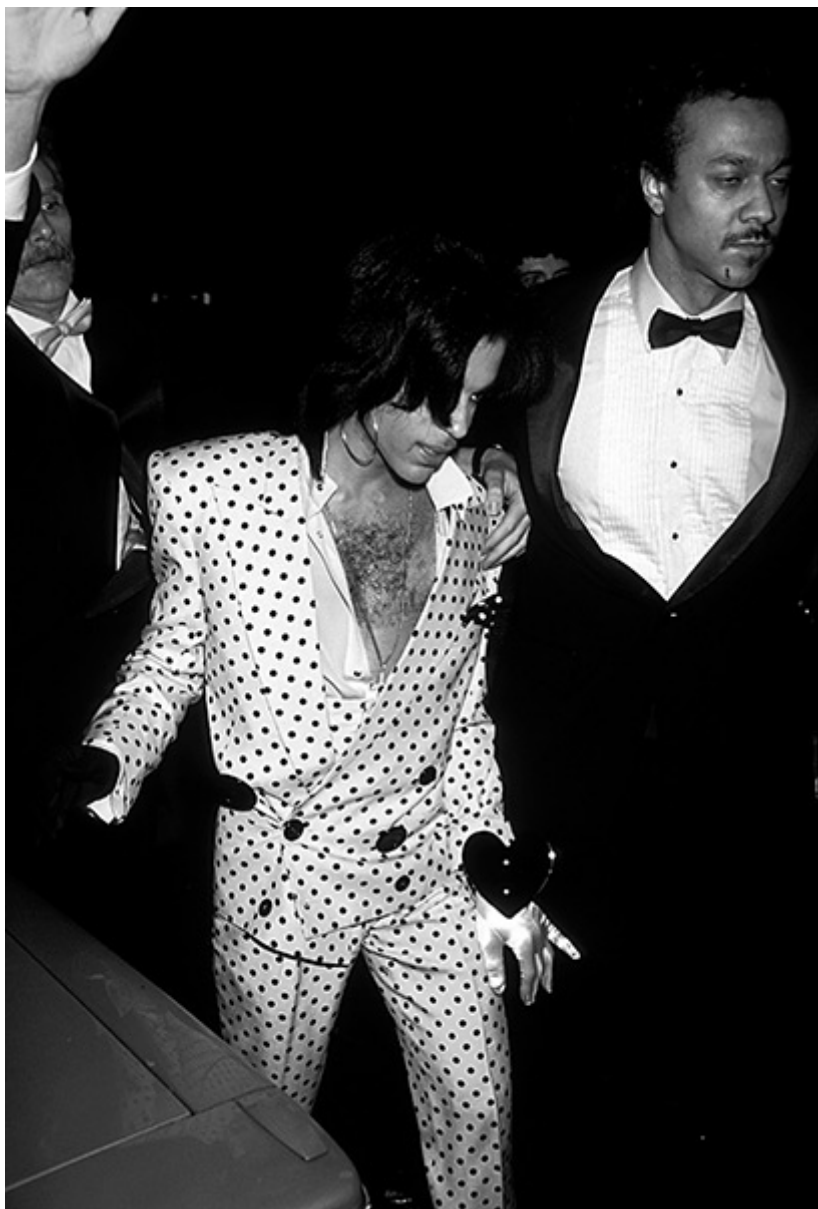
Cała branża jest na mnie wściekła. W Anglii wręczenie Brit Awards prowadzi Jonathan King, niesamowicie popularny telewizyjny didżej. Z jakiegoś powodu poświęca całe dziesięć minut na to, by jadowicie mnie atakować za moją postawę. To dość zaskakujące. Oczywiście wychodzą mu z orbit i toczy pianę z ust, taki jest wkurzony. Jak ta mała irlandzka karierowiczka może łączyć muzykę z przemocą wobec dzieci?

(Nie minęło wiele lat, kiedy skazano go na karę więzienia za liczne akty pedofilii, jego wściekłość była zatem uzasadniona).

W Ameryce tej nocy, kiedy nie poszłam na wręczenie Grammy, okropnie mi dokuczają jacyś facci. Dosypują mi czegoś do drinka.

Wręczenie oglądamy na specjalnej imprezie u Eddiego Murphy'ego. Jestem kompletnie przerażona.

Trzy dni później opuszczam LA i wracam do Anglii. Mój amerykański dom przekazuję Czerwonemu Krzyżowi. Nie chcę mieć już nic wspólnego z atrybutami tak zwanego sukcesu.



Prince i jego przyrodni brat Duane
FOT. RON GALELLA/GETTY IMAGES

SHEVITI ADONAI L'NEGDI TAMID

PRÓBOWAŁAM ZAPISAC SIĘ NA LEKCJE ŻYDOWSKIEJ interpretacji Pisma Świętego, ale nikt nie chciał mnie na nie przyjąć, bo nie jestem Żydówką. Nie znalazłam też sobie (choć dużo o tym fantazjowałam) przystojnego rabina, który by chciał się ze mną ożenić, a ja z prawdziwej miłości musiałabym wtedy zostać Żydówką. Moim największym osiągnięciem są zajęcia z kabały z bardzo miłym nauczycielem, Z'evem Benem Shimonem Halevim, w niewielkiej szkole w przepięknym Regent's Park.

Jakoś tak wyszło, że zajęcia – o których zarówno ja, jak i nauczyciel wiedzieliśmy, że będą moimi ostatnimi – odbyły się parę dni po tym, jak się dowiedziałam, że *Nothing Compares 2 U* i *I Do Not Want What I Haven't Got* dotarły do pierwszego miejsca list przebojów w Ameryce. W chwili, w której ta informacja do mnie dotarła, całkiem stosownie do sytuacji siedziałam na sedesie (nie pamiętam czyim), jak zawsze przy otwartych drzwiach (żeby łatwiej się gadało). Ktoś, kto mi o tym powiedział, zezłościł się na mnie, bo nie ucieszyłam się z tej nowiny. Zamiast tego rozplakałam się jak dziecko u wrót piekielnych.

Tej nocy śniło mi się, że jestem złotym trójkątem z orkiestry – z rękami, nogami i twarzą – który maszeruje sobie starymi, zakurzonymi ścieżkami Regent's Park. Ludzie zaczęli do mnie podbiegać i porywać fragmenty mojego ciała. Musiałam wracać biegiem do domu po stary płaszcz przeciwdeszczowy, żeby, dokądkolwiek pójde, móc się nim osłaniać. Gdyby ludzie się dowiedzieli, że jestem ze złota, pewnego dnia nic by ze mnie nie zostało.

Gdy tylko dotarłam na ostatnią lekcję kabały, mój nauczyciel wyprowadził mnie za łokieć na korytarz, i wyszeptał mi głośno do ucha: „Wiesz, że sława jest klątwą, a diabeł dżentelmenem?”

Pokiwałam głową na „tak”, a on wciągnął mnie z powrotem do sali, mówiąc: „Nie zapomnij wyjść z imprezy, zanim wszyscy się popiją i zaczną awanturować”.

Dziewięć miesięcy później skończyła się moja trasa, a ja wynajęłam dom w Los Angeles, ponieważ mój menedżer zabronił mi jechać do domu do czasu rozdania nagród MTV. Dom był w stylu hiszpańskim, stał w połowie zbocza wzgórza. Na zewnątrz piękne białe stiuki. Był nawet mały krzyż przy drzwiach wejściowych, dokładnie jak w Irlandii. Gdy stojąc na patio, spoglądałam daleko, daleko w lewo, widziałam napis „Hollywood”. Czasem pomiędzy drzewami po prawej stronie błąkały się jelenie.

Cała ściana salonu mieszczącego się na parterze była przeszklona, z widokiem na Los Angeles. Nocą przypominała czarną ramę wokół świateł piekła tętniącego życiem. Za każdym razem, gdy zapadał zmrok, nachodził mnie niepokój.

Moją sypialnię kazałam pomalować na purpurowo. Pomyślałam sobie, *do diabła, w Ameryce można mieć purpurową sypialnię, i przecież o to tutaj chodzi*. W Irlandii nie wolno, o ile się nie jest dziwką. Ale skoro w Irlandii seks jest grzechem, nie można zostać dziwką, bo nie miałyby się żadnych klientów. Więc nikt nigdy nie miał purpurowej sypialni, poza arcybiskupem Johnem Charlesem McQuaidem.

Kiedy pewnego poranka, w środku tygodnia, zastanawiałam się, w co się ubrać, w moim pokoju zadzwonił telefon. Zniewieściały i podirytowany męski głos zapytał: „Czy to Shine-head O’Kahn-er?”

Odpowiadam: „Nie, to Sinéad O’Connor”, żeby zrobić mu na złość. Po czym chcę wiedzieć, kim jest.

Przedstawia się jako Prince.

Mówi, że chce później tego samego dnia podesłać po mnie samochód, żebyśmy się spotkali.

Poznałam go kiedyś w klubie, zaraz po tym, jak ukazał się *Lion and the Cobra*, ale nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy. Komentowaliśmy tylko kawałki puszczane przez DJ-a, Sly’a Stone’a i takie tam.

Od tego czasu nie zamieniliśmy ani słowa. Nie miał nic wspólnego z moim nagraniem *Nothing Compares 2 U*. Kiedy zadzwonił do mojej purpurowej sypialni, rozmawialiśmy po raz pierwszy od 1998 roku.

Mam dwadzieścia trzy lata. Kiedy mówię znajomym o tym telefonie, podchodzą do tego romantycznie. Wszyscy myśleliśmy, że może Prince i ja zakochamy się w sobie.

A przynajmniej nam się zdawało, że będziemy się dobrze dogadywać, ponieważ przedstawił nas sobie uroczy Steve Fagnoli, który był kiedyś menedżerem Prince'a, a później został moim.

Myśleliśmy: *On na pewno chce uczyć to, jak dobrze sobie radzi piosenka! Będzie tort! Księżęta zawsze mają tort!*

Byłam po trzykroć w błędzie, a osłupienie moich biednych przyjaciółek prędko przeszło w błąd strach, kiedy opowiadałam im później, co się stało.

O dziewiątej wieczorem z mroku okna mojej sypialni widzę długą, czarną limuzynę, która w ciszy zatrzymuje się pod bramą. Wyobrażam sobie, że jestem w filmie szpiegowskim, w którym zaraz zawiozą mnie do tajnego punktu, gdzie przekażą mi szczegóły na temat mojej kolejnej misji.

Za kółkiem siedzi typowy kierowca w garniturze i czapce. Jestem gadułą, więc po drodze wypyuję go o Prince'a, o to, jak wygląda jego dom i tak dalej. Nie odpowiada ani słowem, tylko od czasu do czasu zerka na mnie w lusterku, przerażony, jakbym poprosiła go o wskazówki, jak dotrzeć do zamku Drakuli. Bardzo dziwne. Kierowcy zazwyczaj lubią gadać, podobnie jak dziewczyny.

Jedziemy już dosyć długo, nim zaczynamy kierować się w górę wzniesienia spowitego ciemnością, na szczycie którego wyłania się ogromny dom, bardzo słabo oświetlony. Zatrzymujemy się na podjeździe. Drzwi frontowe są po mojej prawej stronie. Wygląda to, że jesteśmy na dziedzińcu. Za nim, w odległości około sześćdziesięciu metrów na wprost mnie, dostrzegam jakieś zabudowania gospodarcze.

Wysiadam z samochodu, a kierowca pokazuje skinieniem głowy, że mogę sama podejść i zadzwonić do drzwi. Tak też robię. Odczekuję kilka chwil, lecz nic się nie dzieje. Dzwonię ponownie i znowu nic.

Odwracam się, żeby zapytać kierowcę, co według niego mam teraz zrobić, ale wyparował wraz z limuzyną.

W pewnym momencie dociera do mnie, że nie mam pojęcia, gdzie się znajduję ani jak wrócić do domu, na wypadek, gdybym nikogo tu nie zastała. Droga jest tak ciemna, że nie widzę nic poza końcówkami własnych rzęs. Wtedy drzwi otwierają się powoli, ze skrzypnięciem.

Myślę sobie, że osoba za drzwiami zapyta jak na filmach: „Dzwoniłaś do drzwi?” i przedstawi się jako Igor. Okazuje się jednak, że ma na imię inaczej. Ale tego dowiem się później.

Wygląda na to, że nikt tutaj nic nie mówi – wszyscy porozumiewają się skinieniami głowy. Mężczyzna wskazuje, że mam wejść do środka i ruszyć za nim. Tak robię, obserwując w jego postawie ewidentny rys posłuszeństwa. Tyle dobrego, że nie powłóczy nogą. Ma pochyloną głowę, ręce opuszczone prosto po bokach, a jego ramiona próbują ochronić serce.

Wędrujemy przez dwa wielkie salony, oświetlone wyłącznie resztkami światła z korytarzy. W każdym z nich jest okno, wysokie na jakieś sześć metrów, szerokie na trzy, całe zaklejone kilkoma, precyzyjnie nałożonymi, warstwami folii aluminiowej.

„O co chodzi?”, pytam Igora ruchem głowy, kiedy odwraca się, by sprawdzić, czy nie przewracam się w ciemnościach. Wydusza z siebie cztery słowa, jedyne, które usłyszę z jego ust podczas naszych dwóch spotkań tej nocy: „On nie lubi światła”

Przy drugim naszym spotkaniu jego ciało i istota będą sparaliżowane strachem.

Na razie jednak zostaję zaprowadzona do, co zaskakujące, dobrze oświetlonej, niewielkiej kuchni, z kwadratowym barkiem pośrodku, wokół którego można by było siedzieć, gdyby tylko były tam stołki. Biedny Igor się ulatnia.

Mija tak wiele minut, podczas których nikt nie przychodzi, że czuję się już wystarczająco bezpiecznie, by zerknąć do szafki pod zlewem i sprawdzić, jakich środków czystości używa Prince. W końcu która kobieta nie chciałaby, by jej kuchnia lśniła niczym pałac?

Zastaję tam jednak pewien nieporządek, więc zabieram się do sprzątania. Chwilę po tym zza moich pleców słyszę szmer i czuję słodki zapach. Odwracam się. W drzwiach stoi Prince. A niech mnie

jasna ciasna. Wygalowany jak szczur na otwarcie kanału. Wygląda na to, że ma na sobie cały makijaż nałożony kiedykolwiek w historii na twarz Boya George'a. Jak ja, kiedy szłam z Jerome'em Kearnssem na bal na zakończenie szkoły.

– Musisz być Shine-aid – mówi.

– A ty Prance – odpowiadam.

Pomiędzy nami stoi barek. Nie okrąża go. Po jego prawej, a mojej lewej, stoi lodówka.

– Napijesz się czegoś? – uśmiecha się.

– Chętnie, poproszę cokolwiek bezalkoholowego. – Nie lubię alkoholu, bo po nim rzygam, a rzyganie nie przystoi Kopciuszkowi. Oraz babcia mnie uczyła, żeby zawsze mówić „proszę” i „dziękuję”.

Sięga po szklankę z szafki, po czym w mgnieniu oka odwraca się i stawia ją przede mną z takim hukiem, że nie wiem, jak to się stało, że nie pokaleczyła mu ręki, a następnie mówi:

– Sama sobie weź.

Znam to. Dorastałam w takiej atmosferze. Znam ją jak własną kieszeń. Zaczynam w myślach sprawdzać drogi ucieczki, nie spuszcając z niego oka. Dociera do mnie, że nie mam pojęcia, gdzie w ogóle jestem. Nie poprosiłam o adres. Nie wiem, jak trafić do drzwi wyjściowych. Jest ciemno. Nie wiem, jak znaleźć taksówkę. Jestem gdzieś na wzgórzach, z dala od autostrady.

A nie wygląda na to, że on zaprosił mnie na tort.

Krzyżuje ramiona na piersi i zaczyna się przechadzać tam i z powrotem po swojej stronie barku, pocierając brodę kciukiem i palcem wskazującym, i mierząc mnie wzrokiem, (a) jakbym była psim głównem na krawędzi buta i (b) jakby się zastanawiał, w którą część ciała mi przywalić, żeby najbardziej bolało.

Nie podoba mi się to. Nie lubię takich sytuacji. I nie lubię być brana za łatwą zdobycz. Jestem Irlandką. My jesteśmy inni. Gównu nas obchodzi, kim jesteś. Skolonizowali nas zupełnie najgorsi duchowo z najgorszych i przetrwaliśmy to w stanie nienaruszonym.

Dlatego, kiedy wrzeszczy na mnie: „Nie podoba mi się język, jakiego używasz podczas wywiadów prasowych”, odpowiadam: „Masz na myśli angielski? Ach tak, przepraszam, ale irlandzkiego oduczyli nas przemocą”.

– Nie. – Mówi. – Nie podoba mi się, że przeklinasz.

– Nie pracuję dla ciebie – odparowuję. – Jeśli ci się to nie podoba, możesz spierdalać.

To napraaaaaawdę go wkurza. Ale powstrzymuje się i kipi złością w milczeniu.

Wychodzi z kuchni i słyszę, jak kilka razy woła kogoś o imieniu Duane. Jego głos jest coraz dalej z każdym nawoływaniem, więc wiem, że mam chwilę na poszukanie tylnego wyjścia. Bez powodzenia. Zaraz potem słyszę jego kroki, powraca też Igor.

Nim dochodzą do drzwi, słyszę, że mnie przyzywa. Chce, żebym weszła z nim kilka stopni w górę, do niewielkiej jadalni. Robię to, a po drodze mijam Igora i dostrzegam, że jest bardzo wystraszony, ma wzrok wbity w ziemię, a ciało zastygłe w służalczej postawie.

Siadam przy stole, twarzą do dziedzińca. On, we własnej osobie, siedzi po mojej lewej stronie. Wściekle wykrzykuje rozkaz w dół, do Igora. Domaga się zupy. Pyta, czy chcę. Nie, zupełnie nie chcę przykładać ręki do nikczemnego traktowania służącego, więc mówię, że nie jestem głodna.

Tu, gdzie się znajdujemy, jest bardzo, bardzo mało światła. Nic nie mówimy. Jest złowrogo. On znów wrzeszczy i po chwili biedny Igor szoruje w górę schodów, dźwigając srebrną tacę udrapowaną kremowym lnem, na której spoczywają dwie miski zupy i dwie łyżki. Mową ciała przypomina bite dziecko, które zaraz dostanie kolejne lanie. Ręce mu się trzęsą i jest przerażony niczym w obliczu demona. Jakże często moja matka wzbudzała ten sam ekstremalny strach w moim braciszku. Igor wygląda, jakby miał się zaraz zsikać w majtki. Wydaje się też zamroczony, jakby był pod wpływem narkotyków.

Stoi przy stole naprzeciwko swojego pana. Nie opuszcza tacy. Mija może dwadzieścia sekund. Jego głowa jest wciąż pochylona. Wygląda jak Oliver Twist, który prosi o więcej.

– Teraz możesz ją postawić. – Mówi On. Igor stawia tacę, a następnie odsuwa się i zakłada ręce z tyłu, jakby trzymał w nich czapkę. Z jakiegoś powodu wiem, co się zaraz wydarzy.

– Nalej pani O'Connor zupy – warczy do Igora.

– Dziękuję, nie jestem głodna – odpowiadam grzecznie, klepiąc się po brzuchu i zerkając na Igora, jakbym chciała powiedzieć: *na pewno*

jest pyszna, ale już się najadłam (dokładnie tak, jak nauczyła mnie babcia). Głowa Igora ani drgnie, ale jego oczy błyskają najpierw na mnie, potem na niego, a następnie z powrotem na podłogę.

Niczym pani Doyle w serialu komediowym BBC *Father Ted* On zaczyna wtedy raz po raz naciskać na Igora, że ma koniecznie nalać mi zupy. Jednak w odróżnieniu od pani Doyle mówi w tak poniżający i upokarzający sposób, że biedny Igor trzęsie się i błaga mnie wzrokiem, bym dała mu nalać sobie tej dużej zupy. Ale za każdym razem, gdy wykonuje ruch w moją stronę, podnoszę ręce i mówię: „Nie, dziękuję”.

Igor wie, o co mi chodzi. Nie zamierzam się przykładać do upokarzania go. Nie przełknęłabym tej zupy, choćby zależało od tego moje życie. Wreszcie odstawia miskę z powrotem na tacę i stoi tak, bezradnie ją trzymając. Wygląda, jakby miał się rozplakać.

Na kilka chwil zapada cisza. Igor czeka na swoje lanie, które wreszcie nadchodzi, gdy On zwraca ku mnie swoją jadowitą twarzą i mówi tonem, jakiego normalni ludzie używaliby, mówiąc o odchodach: „Tak w ogóle, to to jest mój brat, Duane”.

Jestem szokowana. I oburzona, że potrafi tak źle traktować swojego własnego brata. Mówię to, a biedny Duane wymyka się z pokoju. Robi się gorąco.

W pewnej chwili On postanawia, że musimy ochłonać, i idzie na górę. Myślę sobie, że pewnie chce przypudrować nos i upewnić się, że portret Doriany Graya ma się dobrze na strychu.

Schodzi z dwiema poduszkami i rzuca: „Hej, a może zrobimy sobie wojnę na poduszki?”. Cały miły i uśmiechnięty. Myślę sobie: *no dobra, niecodziennie miewa się wojnę na poduszki z Prince'em, więc co mi szkodzi, postarajmy się, żeby to był fajny wieczór, który po prostu beznadziejnie się zaczął*.

Tylko że kiedy otrzymuję pierwszy cios, już wiem, że w jego poduszce coś jest, coś upchniętego głęboko, co ma zadawać ból. On wcale nie traktuje tego jak zabawy.

Strasnie się wkurzam. I zarazem boję. Po wymianie kilku ciosów On znów idzie na górę. Jakoś tak się stało, że znaleźliśmy się teraz niedaleko drzwi frontowych. Otwieram je i wybiegam. Zastaję zaparkowaną limuzynę z kierowcą pogrążonym w głębokim śnie. Nie chcę go budzić. Jest tam też ogromna brama, zamknięta na trzy spusty.

Zaczynam cicho nawoływać Duane'a. Biegnę w mrok, w stronę zabudowań gospodarczych, myśląc, że może tam mieszka.

Nagle słyszę szmer i czuję słodki zapach, a za mną stoi On. Rozkazuje mi wrócić do domu. Jestem posłuszna. Nie muszę chyba mówić, że to wszystko jest mi aż nadto znajome, to posłuszeństwo bez słowa sprzeciwu. Chcę uciec, lecz coś mi na to nie pozwala.

Po jakimś czasie On informuje mnie, że mogę otworzyć drzwi frontowe i powiedzieć kierowcy, żeby zabrał mnie do domu. Otwieram je, żeby wpadło jakieś sensowne światło, i mówię, że nie chcę go budzić i wolę zadzwonić po taksówkę. Dostaje kolejnego ataku hysterii. Jak w ogóle można nie robić tego, co on każe? Znowu udaje się na górę, tupiąc.

Tuż przy drzwiach wejściowych stoi krzeselko. Kiedy już schodzi na dół, siada na nim z hukiem i tak siedzi, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, nie mówiąc ani słowa przez jakieś dwie minuty. Stoję przed nim, bardzo blisko, i próbuję mu wytłumaczyć, że naprawdę nie czuję się teraz bezpiecznie i wołałabym mieć wpływ na to, w jaki sposób wrócę do domu.

Podnosi twarz ku mojej, przysuwa ją na odległość około piętnastu centymetrów, i na jakieś dziesięć sekund wbija wzrok w moje oczy. W świetle wpadającym przez drzwi wyraźnie widzę, jak jego tęczówki rozptywiają się przede mną, a oczy stają się czystą bielą. Nie podjeżdżają w górę ani nie opadają. Nie przesuwają się w lewo. Nie przesuwają się w prawo. Rozptywiają się. Widzę to klarownie jak w dzień. Czuję w brzuchu zimny strach. Znowu wybiegam przez drzwi i potrząsam kierowcą przez otwarte okno, żeby się obudził, jednocześnie głośno wołając Duane'a.

Słyszę, jak Duane szura stopami, nadciągając z okolicy budynków gospodarczych, ale nim zdąży do mnie podejść i nim kierowca zdąży otworzyć oboje oczu, On już trzyma mnie za łokieć.

Nakazuje Duane'owi się wycofać, a kierowcę wysyła do łóżka. Obaj wykonują rozkaz.

On dosłownie wlecze mnie do drzwi wejściowych i każe mi stać na schodku, podczas gdy szuka kluczyków do swojego auta. Nie ma mowy, żebyśmy wsiadła do zamkniętego pojazdu z tym skurwielem,

więc ruszam biegiem wzdłuż lewej ściany budynku i pokonuję w mroku jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

Wydaje mi się, że przekroczyłam już granice posiadłości. Widzę jakieś palmy. Chowam się za jedną z nich i wystawiam głowę, żeby zobaczyć, gdzie on jest. Nic nie widząc, ściagam bluzę, która jest jasna. Pod spodem jestem ubrana na czarno. Nie zobaczy mnie. Będzie szukał wzrokiem tego, co miałam na sobie.

Słyszę, jak miota się przed domem, tupiąc. Wrzeszczy, ale nadal nie wie, jak wymawiać moje imię. A wystarczyłoby wołać: „Gdzie ty, kurwa, jesteś?”. Słyszę, jak na ziemi coś trzaska, coraz bliżej mnie. Ale On postanawia zawrócić i wsiąść do samochodu.

Zjeżdża krętą uliczką po zboczu. Widzę go wyraźnie dzięki światłom samochodu. Oświetlają też moją ścieżkę na tyle, że przebiegam od drzewa do drzewa za każdym razem, gdy znika za zakrętem. Po jakieś półgodzinie widzę światła autostrady.

Nim jestem na dole, słońce już wspina się po niebie. Czuję ulgę. Wszystko lśni na srebrno. Wędruję dalej ze zwieszoną głową, próbując złapać podwózkę z powrotem do Los Feliz. Całe to doświadczenie, włącznie ze spacerem, jest dla mnie koszmarnie swojskie. Równie dobrze mogłabym być w Glenageary. Przez cały ten czas rozglądałam się, upewniając się, że to nie on się zatrzyma, by mnie wziąć na stopa.

Aż nagle go widzę. Jedzie obok mnie, opuszcza szybę okna pasażera i rozkazuje, żebym wsiadła, wystawiając lewy łokieć przez okno. Odpowiadam, żeby się odpiardolił. Czy coś takiego.

Hamuje z piskiem opon na prawym pasie i wysiada. Zaczyna ganiać mnie dookoła samochodu, strasząc, że mnie skopie (jakbym się tego nie domyśliła o dziesiątej wieczorem).

Ganiamy się przez kilka chwil. Jest wściekły, że nie może mnie schwytać, a ja pluję na niego jak kotka, która właśnie urodziła małe.

Zawędrowałam już na tyle daleko, że widać domy po obu stronach szosy, z podjazdami o długości zaledwie dwóch metrów. Przypominam sobie, że ojciec mi kiedyś mówił, że jeśli znajdę się w podobnej sytuacji z mężczyzną, powinnam (po tym, jak zapewnię typa, że mój ojciec jest policjantem) zadzwonić do którychkolwiek drzwi, a ktoś mi pomoże. Postanawiam to zrobić.

Najpierw ganiam się z tym głupim draniem wystarczająco długo, żeby wyczuć jego rytm. Wiem już, że będę miała okienko czasowe, kiedy nim wybiegnie na ulicę, spojrzę przez sekundę w prawo. Gdy tylko to robi, zrywam się w stronę podjazdu i usilnie dobijam się do pierwszych drzwi, które widzę.

On wskakuje z powrotem do samochodu (mój ojciec miał rację). Siedzi tak i obserwuje mnie przez minutę, jakby – na wypadek, gdyby nikt mi nie otworzył – rozważał jeszcze kilka okrążeń. Postanawia jednak nie ryzykować. Nie lubi światła. Ktoś mógł go widzieć. Zawraca i odjeżdża w te pędy. Nawet nie spogląda na mnie w lewo, kiedy mnie wymija.

Wędruję dalej i dalej, bo w żadnym z domów mi nie otwierają. Wiem za to, że już odjechał.

Kiedy docieram do pierwszej budki telefonicznej, dzwonię do mojej przyjaciółki Ciary, która dzieli ze mną mieszkanie. Przyjeżdża po mnie. Jestem jakieś czterdzieści minut od domu.

Kiedy mówię o tym Steve'owi Fargnoliemu, wpada w szał. Chce z miejsca pojechać i zastrzelić pana Falbaniaste Mankiety. Podobnie włosko-amerykańscy przyjaciele Steve'a. Mówią, że stałam się ofiarą ataku, który tak naprawdę miał przerazić jego, nie mnie.

Okazuje się, że pomiędzy nim a Prince'em są jakieś prawne zatargi. Nic więcej o tym nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi.

Już nigdy więcej nie chciałam widzieć tego diabła. Ale dość często, z sympatią, myślę o Duanie.



Sinéad ze swoim menedžerem Steve'em Fargnolim
FOT. JOHN REYNOLDS

CZEKOLADA I WANILIA

POZA TYM, ŻE BYŁ ŚWIETNYM MENEDŻEREM muzycznym, Steve Fagnoli prowadził coś, co mogę jedynie nazwać legalnymi burdelami. W Anglii zgodnie z prawem można było zatrudniać jedną „kobietę pracującą” i jedną „sekretarkę”. Steve miał pokój do „normalnego” seksu i do „zbij mnie” seksu. Był alfonsem. Nie czerpał korzyści z usług tych kobiet. To one czerpały korzyści ze znajomości z nim. Utrzymywał je głównie dlatego, że miał słabość do, jak to nazywał, „podbrzusza miasta”, i do pięknych kobiet o łzawych historiach. Tak w ogóle to seksbiznes nie różni się tak bardzo od branży muzycznej. Są wręcz identyczne. Któregoś czwartku Steve zadzwonił do mnie, żeby odwołać nasze spotkanie umówione na następny dzień. „Nie dam rady”, powiedział. „Jutro montujemy salę tortur, przywożą krzyż”. Na to właśnie przeznaczał swoje dwadzieścia procent. Było to urocze i zabawne.

Jedną z pań, która była w jego biurze w piątkowy wieczór, niedługo przed Bożym Narodzeniem, nazywam „nieprzyjemną blondynką”. Domina o brutalnej duszy, która wściekle nienawidziła mężczyzn. Włącznie ze Steve’em. Nawet kilka razy zleciła swoim innym alfonansom włamanie do jego biura, chociaż się nią opiekował. Rzeczywiście był naiwniakiem. Miał niewinne serce. Oślepiały go cycki i dziecinny szczebiot. Naprawdę istnieją tacy faceci. (A przynajmniej kiedyś istnieli).

Kiedy zaczynam podpytywać tę panią, czym się zajmuje i jak to wszystko działa, ona wyciąga list od jednego ze swoich regularnych klientów. Odpowiada mi, że faceci chcą dziwnych rzeczy nie ze względu na potrzeby seksualne – to nie ma nic wspólnego z seksem. Oni po prostu chcą, by nimi pomiatać. A ona uwielbia nimi pomiatać.

Również nie z powodu własnych potrzeb seksualnych. Zwyczajnie dlatego, że jest totalną suką.

Facet pisze w liście, że będzie za nią tęsknił przez święta i że będzie ćwiczył swoje „techniki szczekania”, kiedy jej nie będzie. Może i jestem staroświecka, ale musiałam ją spytać, o co mu do diabła chodzi. Powiedziała, że co wieczór o dziewiętnastej gość dzwoni do niej z biura i ona każe mu szczekać do telefonu (myślę sobie: *A co na to firma sprzątająca?*). Kobieta mówi, że on często przychodzi i chce, żeby traktować go jak psa. A ona uwielbia go kopać. Mówi, że każe mu rozkoszować się jej moczem z miski – tylko po to, żeby posunął się dalej, niż zamierzał. Wtedy ona się cieszy, że zdołała go upokorzyć. Każe mu chodzić na czworakach jak psu. Jest straszna. Naprawdę straszna. A kiedy pojawiają się faceci od „normalnego seksu”, umie udawać „uroczą kobietę”. Prawda jest taka, że zaciukałaby własną babcię. Biedni kolesie nie mają pojęcia, z kim lub z czym się zadają.

Steve był moim menedżerem przez około piętnaście lat. Poznałam go w Camden Palace po koncercie Prince’a, na który otrzymałam zaproszenie. Było to niedługo po ukazaniu się mojej pierwszej płyty i sporo przed tym, jak piosenka *Nothing Compares 2 U* w ogóle pojawiła się na mojej orbicie.

Steve urodził się w Newport na Rhode Island. Jego ojciec miał sklep spożywczy. I z jakiegoś powodu wszystko, co posiadał, przekazał Sly’owi Stone’owi, żeby ten mógł pojechać w trasę. Ale Sly nie pojechał w trasę, więc ojciec Steve’a splajtował. Nastoletni Steve wyruszył do Los Angeles, namierzył mieszkanie Sly’a i wbił się do niego wraz z drzwiami. Zmusił go do wyruszenia w trasę, dzięki czemu jego ojciec odzyskał pieniądze. I tak oto Steve trafił do branży muzycznej. Wcześniej pracował przy Newport Jazz Festival. Jego zadanie polegało na pukaniu do drzwi Elli Fitzgerald i mówieniu: „Pięć minut, panno Fitzgerald”. Powiedział mi, że kiedyś śpiewał w zespole, ale zrezygnował, kiedy usłyszał Roberta Planta na żywo. Uznał, że nie ma sensu ciągnąć tego dalej.

Po koncercie Prince’a w Camden Palace kolejny raz zobaczyłam Steve’a na pikniku w Hampstead Heath z jakimiś jego znajomymi. Zawitał tam zupełnie prywatnie. Było słonecznie i miło. Dobrze się z nim bawiłam, jak z kimś, kto sprawia, że nie chce ci się wracać

do domu. Kiedy posypało mi się z Fachtną, poprosiłam Steve'a, żeby wziął mnie pod skrzydła, a on podszedł do tego z pasją.

Wygląda jak miś. Ma siwe włosy i pucułowate policzki, jest pulchny jak Włoch-który-uwielbia-jedzenie. Nosi okulary z grubymi szklami i bez nich nie widzi dosłownie nic. Drobną mamusią Steve'a ma na imię Rose i czasem zaprasza nas i dziewczyny z jego stajni do domu w Malibu, gdzie gotuje pierdyliony potraw. Steve dba o nią jak o najcenniejszy skarb. Bo ona jest skarbem, a on ją ubóstwia.

Jego ojciec od dawna nie żyje. To Steve jest dla wszystkich ojcem. Dla wszystkich poza swoją rodzoną córką.

Czasem spieramy się o to, że Steve nie ma zbyt wiele wspólnego ze swoim własnym dzieckiem.

Tak czy inaczej Steve kocha kluby z tańcem erotycznym i ogólnie kobiety. Więc pewnej nocy w Atlancie wszyscy maszerowaliśmy za nim i jego kumplami (w jednym z nich byłam szaleńczo zakochana) po klubach i zachwycaliśmy się silikonowymi cyckami. Mówię wam, naprawdę *uprawia się* seks w VIP roomach.

Janet Street-Porter, dziennikarka i prezenterka, jest zakochana w Stevie. Są najlepszymi przyjaciółmi. Wszyscy trochę się w nim kochamy. Ale jego nie obchodzi seks i takie tam, z nikim i nigdzie. Jest zakochany w luksusowej Niemce, która pracuje dla MTV. Z tym że ona ciągle łamie mu serce. Technikę „odezwij się i wycofaj” stosuje lepiej niż którykolwiek mężczyzna. Do niedawna groziła, że wyjdzie za pakistańską potęgę, Imrana Khana. Nawet chodziła w hidżabie. Ale facet się rozmyślił i ożenił z Jemimą Goldsmith. Więc jest jeden wielki dramat i Steve mówi, że Niemka teraz chce, żeby on się nią opiekował. Kiedy nas nie ma, a ona przychodzi, Steve pije absynt i chodzi napruty. Zachowuje się jak mały chłopiec w sklepie z cukierkami.

Kobiety polują na Steve'a, bo jest koszmarnie bogaty. Nie zapominajmy, że był menedżerem Prince'a. Ma też inne biznesy, wszystkie uczciwe i legalne.

Jest człowiekiem, który dobrze sobie radzi. A wszystkie luksusowe kobiety chcą bogatego kochasia. Tylko ze Steve'em jest taki problem, że razem z nim w pakiecie dostaje się też nas – i trzeba sobie oczywiście jeszcze poradzić z Janet Street-Porter. Co jest niełatwym zadaniem. Tak zupełnie szczerze, to byłaby dla niego dobrą partią, bo też jest

koszmarnie bogata i go kocha. Nie chce go z tych samych powodów co te luksusowe laski. Steve i Janet potrafią się nawzajem rozśmieszać. On też ją kocha. Ale on kocha wszystkie kobiety. Tak już ma. Nie jest materiałem na chłopaka czy męża.

We wszystkich innych aspektach szanuję Steve'a na całego. Jest aniołem zesłanym z niebios. I naprawdę wolałabym, żeby niebo się o niego nie upomniało. Zachorował na raka i lekarze zmuszali go do jeżdżenia po mieście na wszelkiego rodzaju okropne i bezsensowne operacje. Tyle przeszedł przez te dwa lata i wszystko na marne.

To typowe dla ludzi z show-biznesu, że tylko w hotelach czują się naprawdę jak w domu. Steve nie ma domu. Kocha pięciogwiazdkowe hotele i w nich mieszka. Można powiedzieć, że pomiędzy nimi krąży. Wypróbowuje je wszystkie na sobie.

W 2001 roku leży umierający w W Hotel w LA. Za recepcją na parterze kolejna piękna kobieta wyciąga się w akwarium wielkości człowieka (bez wody, dzięki Bogu). Ubrana w bikini, zalotnie skubie puchaty, turkusowy dywanik. Daje z siebie wszystko, by uwieść wzrokiem mężczyzn, którzy meldują się w recepcji. Ta cała scena jest „bardzo w stylu Fagnoliego”, jak powiedzielibyśmy my, którzy go uwielbiamy.

Naprawdę nie wiem, co teraz z nami będzie.

W tej samej sekundzie, w której najlepszy przyjaciel Steve'a Arnon, pożegnawszy się z nim, wszedł do windy – nastąpiło niewielkie trzęsienie ziemi. Trwało około siedmiu sekund. Wiem, że wywołała je żałoba Arnona. Nie obchodzi mnie, co mówią. Biedakowi pękło serce. Na pustyni. A Bóg mu towarzyszył.



Występ Boba Dylana podczas jego koncertu jubileuszowego
FOT. ARCHIWUM COLUMBIA RECORDS

WAR, CZĘŚĆ PIERWSZA – *SATURDAY NIGHT LIVE, 1992*

W OKOLICY ST. MARK'S PLACE I AVENUE A jest maleńki irlandzki bar prowadzony przez ogromnego Irlandczyka o włosach w kolorze soli z pieprzem opadających na ramiona. Chodzi przygarbiony, bo nie jest zbyt pewny siebie. To w porządku facet. Życzliwy. Owszem, ubiera się wyłącznie na czarno, a w jego rysach widać fatum, więc jego twarz przypomina Irlandię. Jednak tak bardzo kocha swoją dziewczynę, że rozświetla się jak Anglia, gdy tylko ją widzi.

Za to ja nienawidzę irlandzkich barów. Sami pijani ludzie uwieszający ci się na ramieniu, gadający bzdury i zalewający się łzami. Nie przepadam też za irlandzką muzyką, ale lubię sobie zapalić. Siedzę więc z kawą na zewnątrz, na chodniku, i mam nadzieję, że nie pojawi się ten sukinsyn gliniarz z wąsem na księcia Alberta, który wytrącił mi kiedyś kopniakiem skręta z ręki. Podobno po służbie siedzi u dziwek w ich lokalach nad sklepami i wciąga koks. Lepiej by mu zrobiło, jakby sobie zapalił, zamiast kopać kobiety.

Pewnej nocy, około pierwszej, widzę, że dokładnie naprzeciwko irlandzkiego baru otworzyli knajpkę z sokami. Na tablicy wystawionej na chodnik napisali, że są otwarci do późna. Widzę piękne, kolorowe obrazy na ścianach i radośnie wyglądające pomarańcze i jabłka leżące w stosach przy kasie, wizualna antyteza Irlandii.

Ludzie w środku wydają się pękać ze śmiechu. Biorę więc swój ekwipunek i wędruję w ich stronę. Wielkie nieba! Zastaję tam kilku Antylczyków w długich dreadach, owijających zioło świeżymi liśćmi tytoniu przy muzyce rasta. Chrzanić irlandzki bar – teraz knajpka z sokami jest moim drugim domem.

Od teraz odwiedzam irlandzki bar tylko po szybkie dolewki kawy. Antylczycy nie przeszliby trzech i pół metra przez ulicę, by tam zawitać.

Nie ufają białym Amerykanom. Ani kawie.

Początkowo brali mnie za chłopaka. Cały lokal miał niezły ubaw, kiedy prawda wyszła na jaw. Nastąpiło to pewnego wieczoru, gdy ogłosiłam, że kocham się w Robercie Downeyu Juniorze. Przerażone, zastygłe twarze. Wypluwane przez nie cytaty z Biblii o tym, jak niemoralny jest homoseksualizm, zamieniły się w fontanny śmiechu, gdy ja, równie zaszokowana tym, że uznali mnie za mężczyznę, rozchyliłam płaszcz i podciągnęłam sweter, by ukazać złachany sportowy stanik z Dunnes i rozstępy po ciąży.

Jestem wyraźnie niedouczona w kwestii rastafarianizmu. Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił mi uwagę facet prowadzący barek z sokami, było to, że „nie każdy, kto ma dredy, jest rasta”. Znowu śmiechy. Z czasem pokazał mi to na własnym przykładzie. Ma na imię Terry. Jest z St. Lucia. Podobnie jak ja jest niski. Nosi długie dredy. Jego skóra ma jasny odcień masła orzechowego. Mówi, że ktoś w jego rodzinie dawno temu „bzyknął Chińczyka”. Mówię mu, że w takim razie mamy coś wspólnego, bo jestem ciemnobłada, jako że ktoś w mojej rodzinie dawno temu bzyknął Hiszpana.

Niespodziewanie uciekłam do Nowego Jorku zimą i zapomniałam spakować płaszcz. Strasznie marzłam. Terry pojechał kawał drogi do domu i przywiózł mi swój. Ogromną czarną skórzaną parkę. O wiecele na mnie za dużą. Tonęłam w niej. Wszyscy faceci się ze mnie śmiali. Ale kocham ją bardziej niż jakikolwiek strój od Chanel. Bo jest jego.

Został moim nauczycielem. Nie prosiłam go o to. Przyjął tę rolę, bo bez przerwy zadrezczałam go pytaniami o Rastafari. Czasem po sposobie, w jaki odchyła głowę do tyłu i patrzy na mnie, zafrapowany, wiem, że w głębi serca myśli, *co też Bóg chce mi przekazać za pomocą tych wszystkich pytań?* Nie wiem, czemu musi się nad tym zastanawiać. Niepokoję się. Ale on się dziwnie uspokaja. Wciąż składa T-shirty i zachowuje się, jakby ten lokal naprawdę był tylko barkiem z sokami.

Wczesnym porankiem obwozi mnie po obrzeżach Nowego Jorku, żeby w towarzystwie starszych Jamajczyków – właścicieli sklepów spożywczych, rybnych, mięsnych, i innych takich – jeść ackee z solonym dorszem. Za „kulisami” ich sklepów czy betonowych

warsztatów zawsze jest koszmarnie powycierana sofa lub dwie i prowizoryczna kuchnia.

Nie wszyscy z tych mężczyzn są rasta, ale większość tak. Są w wieku, powiedziałabym, od czterdziestki do siedemdziesiątki. Nigdy nie jest ich mniej niż trzech. Przeczekują ze sobą noce. Nie zasypiają. Bóg nie musi ich budzić i pytać, *czy nie mogłeś dotrzymać Mi towarzystwa w Moim szaleństwie?*

Jamajczycy nie gawędzą o byle czym. Początkowo to trochę niekomfortowe, bo Irlandczycy zawsze zapełniają ciszę. A teraz jeżdżę w milczeniu furgonetkami pełnymi ryb, rozwożąc dostawy, tak samo jak kiedyś z dziadkiem.

Myślałam, że nic nie mówią, bo mnie nie lubią. Ale chodziło o to, że są po prostu obserwatorami. Nieustannie stoją na straży dla Boga. Są jego grupą ochroniarzy. Tak siebie postrzegają i tacy dokładnie są. Są niczym Święty Michał wiodący anioły Boga na wojnę przeciwko Szatanowi. Jak pierdyliony świętych Michałów zwiniętych w jeden wielki płomień prorocstwa. Szukają również diabła. To wróg Boga. Diabeł jest ich Lee Harveyem Oswaldem. Odzywają się tylko wtedy, gdy mówią na temat Pisma Świętego.

Pomiędzy opowieściami nazywają mnie „siostrą” albo „córka” i wręczają mi miski z jedzeniem. „Za mało”, mówią. Martwią się, że nie jem. A ja po prostu nigdy nie jadłam dużo. W mojej krwi jest zbyt dużo niepokoju. Starszyzna nie je mięsa, ale jedzą smażoną rybę, słodkie ziemniaki, ryż i groszek. Ryżem z groszkiem nazywają ryż z czerwoną fasolą, ugotowany na mleku kokosowym. Najpyszniejsza rzecz na świecie. Cieszę się, że to jednak nie groszek, bo mam do niego szczególną awersję, o ile nie chodzi o tę zabawę, w której wkłada się ziarnko mrożonego groszku do jednej dziurki w nosie, zatyka drugą, i wygrywa ten, komu uda się wydmuchać ziarnko jak najdalej.

Starszyzna nie potrafi wymówić słowa *Irlandia*. Nazywają ją *Irelandią*. Czytają z Nevi'im biblijnych proroków, a ja odwracam twarz i się opycham. W skrytości uwielbiam to jedzenie, ale własny głód za bardzo przypomina mi o bolesnych upokorzeniach z dzieciństwa. Zbyt kojarzy mi się z matką, nie jestem w stanie go zaakceptować. Jedzenie zamienia się w moich ustach w żwir, kiedy oglądam się

za siebie jak żona Lota. Stawiam temu opór, próbując udowodnić, że jestem całkowicie w rękach Boga.

Ale starszyzna ma rację. Kładą nacisk na dobre jedzenie, nie po prostu paszę. Dają mi dokładki drewnianą łyżką, śmiejąc się z radości łagodnie, gardłowo, kiedy widzą, że opróżniłam miskę. Traktują mnie trochę jak bezdomnego kociaka. Mówią, że mam równie siwe wąsiki co oni.

Kiedy już im ufam, postanawiają mnie uczyć. Nawet nie wiem, kiedy to się dzieje. To nie jest tak, że sadzają mnie i mówią to, tamto czy jeszcze coś innego. To się dzieje za sprawą tematów, które poruszają między sobą w mojej obecności.

Czytają z Księgi Objawienia i głośno dyskutują o tym, czy opowiada o końcu religii. A to wszystko, skacząc dookoła i śmiejąc się z radości. Wykrzykują: „Jah!” i „Rastafari!” i „Dread !”. Wyrzucają ramiona do góry, jakby przepowiednia już się spełniła.

Jedyną kwestią, którą kierują bezpośrednio do mnie, jest dyskusja o Irlandii. „Anglia jest naturalnym wrogiem Irlandii. Nie widzisz tego?” Odpowiadam, że chyba musiałabym być ślepa. Mówią: „A papież jest diabłem. Więc tak naprawdę to on jest wrogiem”. Mówią: „Siedziba Jah powinna być na Ziemi, pośród rodzaju ludzkiego”. W barku z sokami u Terry’ego wisi obraz rasta. Przedstawia ołtarz na końcu długiej, czarno-białej katedralnej posadzki. Szczupły czarnoskóry król z najżyźniejszą twarzą, jaką można sobie wyobrazić, zasiada na masywnym złotym tronie pełnym amharskich inskrypcji. Po obu jego stronach siedzi ciemnoskóra starszyzna, zajmuje całą długość ścian. Panuje mgła. Nie widać, kim są. Lwami czy pradawnymi duszami. Drobną kobietą w białej szacie stoi u stóp tronu, twarzą do imperatora. Wyciąga do niego prawą dłoń. Prosi, żeby zstąpił do miasta. Tron jest na podeście, wysoko nad nią, kobieta sięga jedynie do jego kolan. Władca siedzi swobodnie na tronie, wsparty na łokciu, pochyla głowę do przodu. Uśmiecha się dobrotliwie. Skóra kobiety jest biała, jej głowa ogolona.

Pewnego wczesnego wieczoru, kiedy jestem w Nowym Jorku, bo mam próby do *Saturday Night Live*, wpatruję się w ten obraz. Wtedy Terry nagle pokazuje wszystkim, żeby wyszli z lokalu. Wszystkim poza mną. Zamyka drzwi, prędko zaciąga żaluzje, i prosi,

żebym usiadła obok niego na podłodze. Wygląda na zmartwionego, gdy ujmuję moje dłonie. Chce mi coś powiedzieć. Prosi, żebym spróbowała mu wybaczyć.

Mówi mi, że niedługo go zabiją. Już kiedyś próbowali zastrzelić go z przejeżdżającego samochodu. Siedział w swoim aucie z kolegami. Tamci podjechali i strzelili do niego siedem razy. Mówi, że wcześniej czy później go dopadną.

Pytam dlaczego, a odpowiedź, którą otrzymuję, jest dla mnie nie do zniesienia. Terry handluje bronią. I narkotykami. Wykorzystuje dzieci jako kurierów. Zamiast książek noszą dla niego w tornistrach spluwy i dragi. Wszedł na cudzy teren i teraz to tylko kwestia czasu.

Jestem przerażona. Tym, co robi, i tym, że go zabiją. W ostatnim tygodniu w barze z sokami był wielki ruch. Tego piątkowego wieczoru Terry wręcza mi złoty pierścień z czerwonym owalnym kamieniem, na którym precyzyjnie wygrawerowano profil rzymskiego żołnierza.

Pieprzony zdrajca. Sama bym go chętnie zabiła. Żaden prawdziwy rasta nie tknąłby trzech ton zioła, gdyby widniał na nich rzymski żołnierz, nie wspominając już o noszeniu takich ozdób. Pierścień przekazuję Rufusowi, innemu rasta, który biorąc go z mojej otwartej dłoni, pyta „Dlaczego?”. Wydaje mu się, że może kierując się pobudkami romantycznymi. Mówię, że ten żołnierz mi go przypomina. Kretyn bierze to za komplement! W tej milisekundzie dociera do mnie, co miał na myśli rabin w Londynie, mówiąc: „Nie zapomnij wyjść z imprezy, zanim wszyscy się popiją i zaczną awantuować”. Schodzę po trzech stopniach na St. Mark's Place, skręcam w lewo w Avenue A i macham na taksówkę.

Kierowca, cmokając cicho językiem o zęby, jakby przywoływał szczeniaka, przekonuje mnie, żebym się zastanowiła, czy jednak nie chcę uprawiać z nim seksu. Nie wiem, gdzie w jego mniemaniu mielibyśmy to zrobić. Z pewnością nie na przednim siedzeniu. Powiedzieć, że zjadł w życiu za dużo hamburgerów, to nie powiedzieć nic. Mówimy o „amerykańskim XXXL”. Odmawiam, informując go, że miałam bardzo nieseksowny wieczór. Słodko śpiewa mi *Underneath the Mango Tree*, żebym się rozchmurzyła, kiedy przeciskamy się przez

światła Manhattanu do mojego drugiego świata, w którym do szóstej rano chodzę nerwowo po puszystej podłodze hotelowego apartamentu.

WAR, CZĘŚĆ DRUGA – GOTTA SERVE SOMEBODY

W DNIU, W KTÓRYM ZMARŁA MOJA MATKA, weszłam wraz z rodzeństwem do jej domu – po raz pierwszy od wielu lat. Szukaliśmy naszych własnych sekretów. Nie jej. W łazience wciąż stały połamane plastikowe łabędzie. Niezachwiane. Długoszysje. Zastygłe. Jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Ze ściany jej sypialni wzięłam jedyne zdjęcie, które tam kiedykolwiek wisiało, to jest portret Jana Pawła II. Fotografiię wykonano podczas wizyty papieża w Irlandii w 1979 roku. „Młodzi Irlandii – powiedział po swojej popisowej scenie z całowaniem ziemi na dublińskim lotnisku, jak gdyby jego lot był tak przerażający – kocham Was”. Co za dyrdymały. Nikt nas nie kocha. Nawet Bóg. To pewne, nawet nasze matki i ojcowie nie byli w stanie nas znieść.

W 1978 roku Bob Geldof przedał zdjęcie Olivii Newton-John i Johna Travolty w programie *Top of the Pops*, kiedy po siedmiu tygodniach singiel *Rat Trap* zespołu Geldofa – Boomtown Rats, wreszcie zepchnął z pierwszego miejsca listy ich główniany kawałek *Summer Nights*.

Zawsze miałam zamiar zniszczyć zdjęcie papieża, które należało do mojej matki. Reprezentowało kłamstwa, kłamstwa i przemoc. Ludzie, którzy posiadali takie rzeczy, byli diabłami, jak moja matka. Nie wiedziałam, kiedy ani gdzie je zniszczę, ale byłam pewna, że to zrobię, gdy przyjdzie odpowiedni moment. I, mając tego świadomość, od tamtego dnia pilnowałam, by zabierać je wszędzie, gdzie tylko mieszkalam. Bo ludzi gównem obchodzą irlandzkie dzieci.



Położyłam się o szóstej rano, a teraz się budzę. Jest trzynasta. Zaledwie za kilka godzin mam próby kamerowe do *SNL*. Mam wykonać dwie piosenki, z czego drugą jest *War* Boba Marleya, a capella. Jej słowa to tekst mowy wygłoszonej przez cesarza Hajle Syllasje na forum ONZ w Nowym Jorku w 1963 roku, traktującej o tym, że przyczyną wszystkich wojen jest rasizm. Zamierzam jednak zmienić kilka wersów i wypowiedzieć wojnę przemocy wobec dzieci. To dlatego, że jestem wściekła na Terry'ego za to, co mi powiedział poprzedniej nocy. I jestem wściekła, że wykorzystuje dzieci do handlu narkotykami.

I jestem wściekła, że do poniedziałku już będzie po nim.

Moje napięcie od kilku tygodni dodatkowo narasta, bo podczytuję *Świętego Graala, świętą krew* (kontrowersyjną, bluźnierczą historię początków Kościoła), a jednocześnie natrafiam na krótkie artykuły pochowane na ostatnich stronach irlandzkich gazet dotyczące dzieci, które krzywdzili księża, a których rodzice zgłaszali się na policję i do biskupów, lecz nikt im nie uwierzył. W moich myślach coraz częściej powraca więc wizja zniszczenia zdjęcia JP2. Podejmuję decyzję, że nastąpi to tego wieczoru.

Zabieram zdjęcie ze sobą do studia NBC i ukrywam je w garderobie. Na próbie, kiedy kończę śpiewać piosenkę, podnoszę fotografię brazylijskiego dziecka ulicy zamordowanego przez policję. Proszę kamerzystę, żeby podczas występu wykonał zbliżenie na zdjęcie. Nie mówię mu, co zamierzam. Wszyscy są zadowoleni. Martwe dziecko gdzieś daleko nie jest niczym problemem.

Wiem, że jeśli to zrobię, wybuchnie wojna. Ale nie przejmuję się tym. Znam swoje Pismo Święte. Nic nie może mnie dotknąć. Odrzucam świat. Nikt nie może mi zrobić nic, czego bym już wcześniej nie doświadczyła. Mogę znów śpiewać na ulicach, jak kiedyś. Przecież nikt nie rzuci mi się do gardła.

Kamera. Mam na sobie białą koronkową sukienkę, która kiedyś należała do Sade. Kupiłam ją na rock'n'rollowej aukcji w Londynie, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Dałam za nią osiemset funtów. Jest piękna. Z tyłu ma rozcięcie, po którego bokach wszyto ołowiane ciężarki wielkości monety, żeby układała się prosto i opadała jak u damy. Bardzo sprytne. Sukienka stworzona po to, by kobiety były w niej

niegrzeczne. Może pewnego dnia będę mieć córkę, która pójdzie w niej do ślubu.

Trwa więc program. Pierwsza piosenka, *Success Has Made a Failure of Our Home* idzie jak marzenie. Po niej w kulisach kłębią się ludzie – producenci, menedżerowie, makijażystki i inni goście. Jestem hitem miesiąca. Każdy chce ze mną porozmawiać. Powiedzieć mi, jak dobrze sobie radzę. A ja wiem, że jestem oszustką.

Scenografia do drugiej piosenki jest piękna. Ze świecą u boku i modlitewną chustą rasta przywiązaną do mikrofonu śpiewam a capella *War*. Nikt nic nie podejrzewa. Ale na sam koniec nie unoszę zdjęcia dziecka. Unoszę zdjęcie JP2, po czym drę je na kawałki. Wrzeszczę: „Walcz z prawdziwym wrogiem!” (Mówię do tych, którzy zamierzają zabić Terry’ego). I zdmuchuję świecę.

Pośród publiczności zapada pełna osłupienia cisza. Kiedy idę za kulisy, nie ma tam żywej duszy. Wszystkie drzwi są pozamykane. Nikogusieńko. Nawet mój własny menedżer zamyka się w swoim pokoju na klucz na trzy dni i wyłącza telefon.

Bo widzicie, wszyscy pragną gwiazdy popu. A ja śpiewam protest songi. Chciałam coś z siebie wyrzucić. Nie pragnęłam sławy. Właśnie dlatego wybrałam tę pierwszą piosenkę („Sukces ściągnął porażkę na nasz dom” – przyp. tłum.). Sukces zamieniał moje życie w porażkę. Już wcześniej nazywano mnie wariatką, bo nie zachowywałam się jak gwiazda popu. Bo nie oddawałam czci sławie. I rozumiem, że podarłam marzenia osób z mojego otoczenia. Ale ich marzenia nie były moimi. Nikt mnie nigdy nie zapytał, o czym marzę. Wszyscy tylko wściekali się na mnie, że nie jestem tym, czego ode mnie oczekują. A moim własnym marzeniem było jedynie dotrzymanie umowy, którą zawarłam z Bogiem na długo przed tym, jak podpisałam kontrakt z branżą muzyczną. Lepiej o to walczyć, niż zacząć zabijać. Muszę się przedostać na drugą stronę życia.

Jestem w garderobie z moją asystentką, Ciarą. Pakujemy się i wychodzimy z budynku. Przed 30 Rock czeka na mnie dwóch mężczyzn, obrzucają nas mnóstwem jaj. Nie wiedzą jednak tego, że potrafimy z Ciarą przebiec sto metrów w jedenaście i trzy dziesiąte sekundy. Zwiwiają, a my pędzimy za nimi. Doganiamy ich w jakiejś bocznej uliczce. Próbując złapać oddech, opierają się o czarny płot,

na który nie zdołali się wspiąć. Mówimy tylko, śmiejąc się z nich: „Nie obrzucajcie kobiet jajkami!” Są tak zaszokowani, że ich dogoniłyśmy, że też parszczą śmiechem i cała sprawa kończy się w przyjaznej atmosferze. Prostują się i pomagają nam znaleźć taksówkę do hotelu. Podarcie zdjęcia jest omawiane w serwisach informacyjnych. Dowiadujemy się, że mam dożywotni zakaz wstępu do NBC. Cierpię z tego powodu o wiele mniej niż irlandzkie dzieci podczas gwałtów. I o wiele mniej niż Terry, umierając. Co i tak ma miejsce w najbliższy poniedziałek.

IT AIN'T NECESSARILY SO

MNÓSTWO LUDZI MÓWI, ŻE PODARCIE zdjęcia papieża przetrąciło moją karierę. Ja to odbieram inaczej. Mam poczucie, że przetrąciło ją nagranie piosenki, która znalazła się na pierwszym miejscu list przebojów, a podarcie zdjęcia naprowadziło mnie z powrotem na właściwy kurs. Musiałam na nowo tchnąć życie w moje granie na żywo. Do tego jestem stworzona. Nie urodziłam się po to, by być gwiazdą popu. Do tego trzeba być grzeczną dziewczynką. Nie sprawiać zbyt wielu kłopotów.

Nie czułam się komfortowo z tym, co inni nazywali sukcesem, bo to oznaczało, że muszę być taka, jak oni chcą. A po *SNL* mogłam być po prostu sobą. Robić to, co kocham. Być niedoskonała. Nawet wścikła. Jakakolwiek. Moją definicją sukcesu nie jest dobre nazwisko ani majątek. Dla mnie sukces oznacza to, że dotrzymam umowy, którą zawarłam z Duchem Świętym, zanim zawarłam tę z branżą muzyczną. Nigdy nie podpisałam niczego, co mogłoby wymagać ode mnie bycia grzeczną dziewczynką.

Przez trzydzieści pięć lat utrzymywałam czworo dzieci. Utrzymywałam nas, dając koncerty i z czasem stałam się, jeśli mogę tak powiedzieć, bardzo dobrą artystką występującą na żywo. Epizod z papieżem był więc daleki od zniszczenia mojej kariery. On sprowadził mnie na drogę, która bardziej do mnie pasuje. Nie jestem gwiazdą popu. Jestem zbuntowaną duszą, która od czasu do czasu musi sobie pokrzyknąć do mikrofonu. Nie potrzebuję być lubiana. Nie potrzebuję być mile widziana na wręczeniu nagród AMA.

Potrzebuję tylko opłacać co roku swoje stałe koszty, wyrzucać, co mi leży na sercu, i nie iść na kompromis lub nie prostytuować się duchowo.

Więc nie. Moja kariera nie została przetrącona. Została nawrócona.
A ja czuję, że osiągnęłam ogromny sukces jako samotna matka
utrzymująca czworo dzieci.

THE CONDITION MY CONDITION IS IN – 1992, KILKA DNI PÓŹNIEJ

DZIŚ RANO ZAMELDOWAŁAM SIĘ w Chelsea Hotel. Okazuje się, że mieszka tu nikt inny, jak sam Dee Dee Ramone, który puka do moich drzwi nie z ciastem czy tortem w rękę, lecz z kilkoma tabletkami kwasu i pytaniem, czy mam na nie ochotę.

Nie mówię mu, że nigdy tego nie próbowałam, i łykam jedną tabletkę, podczas gdy on łyka drugą. Zauważam, że jest bardzo wychudzony. Wygląda na to, że dba o odżywianie podobnie jak ja, czyli wcale. Włóczymy się po ulicach miasta, kierując się Bóg wie gdzie i tańcząc do muzyki dochodzącej z mijanych taksówek – wsadzamy nawet głowy do otwartego okna jednej z nich, bo stoi w korku, hucząc Ellą Fitzgerald. Kierowca pokazuje nam okładkę płyty CD. Ella jest cała na różowo i się uśmiecha. Trzymam okładkę i czytam całą jej treść, z obu stron, jak uczyła mnie ciotka Frances.

Jest oczywiste, że to nie pierwsze rodeo Dee Dee, jeśli chodzi o dragi, i że ma on już narąbane w głowie. Po godzinie czy dwóch sadowi się na jakimś schodku i zaczyna się zachowywać jak Sybil z filmu o osobowości mnogiej, pod tym samym tytułem: „Ludzie, ludzie, ludzie”. Wydaje mu się, że wszyscy się na niego gapią. Wcale tak nie jest. A jeśli już, to tylko dlatego, że wygląda, jakby miał stracić przytomność. Postanawia wrócić do Chelsea Hotel i zostawić mnie samą sobie. Zupełnie mi nie przeszkadza taki układ. Oznacza to, że mogę sobie pójść na St. Mark's i Avenue A. Co też robię.

W lokalu Terry'ego spotykam znajomego, Rabina. Nie znam jego prawdziwego imienia. Mówią na niego Rabin, bo ciągle gada o Bogu. Jest typem wyglądającym na zapalczywego rastafarianina, bardzo gniewnego. Nieautentycznego rasta. Nie byłabym wręcz zaskoczona, gdyby miał kilku ludzi na sumieniu. Ma jakiś paskudny rys. Czasem nie

wiem, dlaczego spędzam z nim czas. Myślę, że to tylko dlatego, że jest interesujący. Idziemy do parku. Wciąż jest dzień. Orientuję się, że uśmiecham się do obcych ludzi. Tak się dzieje po kwasie – zamienia cię na powrót w dziecko, więc otwierasz się na ludzi tak samo jak w dzieciństwie. Jasnowłosa pani odwzajemnia mój uśmiech. Siedzi z mężczyzną, może mężem. Uznaję, że muszę zostawić Rabina i wrócić do irlandzkiego baru, bo ten zaczyna macać moje ręce w sposób sugerujący, że chciałby sobie pofiglować w leaba („łóżku” po irlandzku). Nie jestem zainteresowana. Nie podoba mi się jako facet. Kto by chciał iść do łóżka z taką marudą?

Po tym wieczorze nie biorę już kwasu do momentu, gdy mam trzydzieści trzy lata. Jestem w klubie rockabilly przy Oxford Street w Londynie z moim znajomym BP Fallonem, irlandzkim gospodarzem programu radiowego. On uwielbia muzykę rockabilly. Ja jej totalnie nie znoszę. Błagam go, żebyśmy stamtąd poszli. On nalega, żebyśmy zostali. Po godzinie jestem trzeźwa jak gwizdek, więc uznaję, że ten kwas jest do niczego. Podobnie jak ta muzyka. Kradnę więc Beepowi (to jego przezwisko) całą torebkę kwasu, zamykam się w kiblu i łykam wszystko, podczas gdy on dobija się do drzwi, grożąc mi, że mnie zamorduje, kiedy tylko wyjdę. Śmieję się jak szalona, pochłaniając tabletki jedna po drugiej. Jednak po kolejnej godzinie dalej jestem trzeźwa jak świnia. Nic się nie dzieje. To nie kwas, tylko jakieś kwadraciki z tektury, orznęli Beepa jak nic. Ten nadal nie chce wyjść z klubu i spędzamy tam w sumie trzy godziny. Wreszcie około północy mówi, że możemy iść.

Gdy tylko wystawiam prawą stopę na Oxford Street – ziuuuuu! Odlatuję. To ta muzyka blokowała mój haj, to przez to, że jej nienawidzę. Do tamtej nocy nie wiedziałam, jak głęboka jest moja relacja z muzyką. Śmieję się do łez (moje ulubione uczucie na świecie) i jestem zafascynowana gwiazdami. Idziemy do mnie i palimy w kominku. Kiedy jest się na kwasie, ogień wygląda, jakby składał się z poczwerek. To coś strasznie dziwnego – sprawia, że zastanawiam się, czy tak naprawdę wszystko nie jest w ukryty sposób stworzone z robaków. Obsesyjnie chcę wpuścić do domu ogród i otwieram wszystkie okna na oścież, a nuż postanowi przyjąć moje zaproszenie. Oczywiście nic się nie dzieje. Po prostu siedzimy całą noc i gadamy.

W pewnym momencie z mojego pianina znika na moich oczach kilka kwiatków i widzę tylko napis *potwór*. Ale gdy tylko przypominam sobie, że to tylko jakieś bzdury z mojego umysłu, rośliny wracają i zaczynają tańczyć. Wychodzi na to, że umiem o wiele lepiej panować nad swoim umysłem na kwasie niż na trzeźwo.

Kilka razy wzięłam też ecstasy. Strasznie mi się nie podobało. Następnego dnia płakałam za wszystkimi mamami świata. Zwinięta w pozycji embrionalnej.

Podobnie z koksem. Zrobiłam dwa podejścia. Koszmar. Dzień po płakałam jak na kreskówkach, moje łzy nie spływały po policzkach, ale tryskały na wprost, w poziomie. Nie było w tym nic miłego. Byłam zdołowana i biedniejsza o dwadzieścia dolarów. Zupełnie nie było warto. Odebrał mi maniery.

Raz zapaliłam heroinę. Coś obrzydliwego. Nigdy tego nie powtórzyłam.

Następnym narkotykiem, jaki zażyłam, był speed. A było to, wiercie lub nie, w dublińskim wariatkowie (przysługuje mi prawo, by nazywać to miejsce wariatkowem, bo sama jestem wariatką. Innym nie wolno). Na oddziale zamkniętym – gdzie cię umieszczają, jeśli masz myśli samobójcze – jest więcej twardych dragów niż w garderobie Shane'a MacGowana. Nigdy nie sprawdzają toreb, które wnoszą odwiedzający. Inaczej niż w Ameryce, gdzie obmacaliby pod ścianą i wywalili nawet twoją babcię, gdyby przyniosła ci choćby flakonik perfum. Więc tak, jadę tam na speedzie przez tydzień, być może najszczęśliwszy tydzień mojego życia. Podobnie dwa lata później. Tydzień na speedzie na oddziale zamkniętym w wariatkowie. To sprawiło, że zapragnęłam pisać. Przydałoby mi się teraz trochę speedu. Ale poprzysięgam sobie, że już nigdy go nie tknę, bo za bardzo mi się podobało.

Nigdy nie zaprzyjaźniłam się z alkoholem. Jestem na niego uczulona. Po prostu wymiotuję. Muszę być jedyną na świecie osobą irlandzkiego pochodzenia, która nie pije. Ostatni raz upiłam się, jak miałam około dwudziestu trzech lat, znów w Nowym Jorku. Było to w dzień św. Patryka w Fitzpatrick Hotel, gdzie zabito podłogę sklejką, żeby ochronić dywan przed wymiocinami. Piłam pośród niesfornych Irlandczyków, którzy przyjechali z Irlandii tylko po to, żeby nawalić się

jak szpadle. Zaszkoziła mi kawa po irlandzku z obrzydliwymi koniczynkami wymalowanymi na wierzchu za pomocą crème de menthe. Cóż, spędziłam całą noc, tuląc się do sedesu, w wirującej dookoła mnie łazience, i rzygając. Byłam koszmarnie zmęczona, ale nie mogłam spać przez tę całą kawę. Następnego dnia jeszcze rzygałam. Od tego czasu nie tknęłam alkoholu.

Te wszystkie narkotyki łatwo mi było porzucić i mam z tego powodu ogromne szczęście.

Za to co innego zioło, w tej kwestii nie byłam trzeźwa. Zawsze pracowałam pod jego wpływem. I uwielbiałam to. Bo mogłam przebywać w swoim własnym świecie, kiedy ten na zewnątrz zupełnie nie miał sensu. Większość muzyków kocha zioło, bo podkreca głośność wewnętrznej muzyki i pomaga radzić sobie z ciągłym beczynnym czekaniem, sprawiając, że staje się interesujące. Hotele, garderoby, autokary, lotniska, praca przez dwie i pół godziny, a reszta dnia spędzona na jałowym siedzeniu.

Tak, zioło lubiłam nawet za bardzo.

BEZDOMNY MĘŻCZYŻNA W WIELKANOC

NAJBARDZIEJ NIEZWYKŁĄ ISTOTĄ, jaką w życiu poznałam, był bezdomny mężczyzna, którego imienia nie dosłyszałam. Przepraszam za rym. To było na długo przed moim występem w *SNL*, w Wielki Piątek, w nowojorskiej knajpce pełnej białych ludzi.

W drzwiach pojawił się Afroamerykanin w długim, jakby wojskowym trenczu, a na szyi miał kabel jack, taki co łączy gitarę ze wzmacniaczem.

Ja siedziałam w części barowej, a wszyscy pozostali biali goście zajmowali boksy. Ten mężczyzna nie pasował do takiego towarzystwa, więc kierownik knajpy zawrócił go i wyprowadził. Byłam dość zszokowana, bo takie rzeczy nie wydarzają się w moim kraju.

Minutę później – a raczej pięć – facet powrócił. I zrobił coś, co wydało mi się najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką może zrobić człowiek. Wszedł do restauracji na głębokość może pięciu metrów, rozłożył ramiona i powiedział: „Czy może mnie ktoś przytulić? Czy może mnie ktoś po prostu przytulić?”

Geniusz, pomyślałam. Ruszyłam ku niemu i wskoczyłam na niego jak małpka. Byłam jedyną osobą, która to zrobiła. Rzuciłam mu się w ramiona jak dziecko, oplatając go nogami w talii. Długo tak na nim wisiłam.

Później wyszliśmy na zewnątrz i chwilę rozmawialiśmy. Nie pamiętam o czym, ale ofiarował mi ten kabel, który nosił na szyi.

Ten podarek zaginął podczas którejś z moich przeprowadzek. Ale przez długi, długi czas był dla mnie jak skarb. Wisił na ścianie w sypialni. Często myślę o tym mężczyźnie. Co za geniusz. „Czy może mnie ktoś przytulić?”

WAR, CZĘŚĆ TRZECIA – PAŹDZIERNIK

1992

JESTEM OGROMNIE PODEKSCYTOWANA. Mam śpiewać na Madison Square Garden podczas koncertu na cześć płytowych dokonań Boba Dylana. Wydaje mi się, że zaproszono mnie tam, bo w każdym wywiadzie, którego kiedykolwiek udzieliłam, mówiłam, że Dylan wywarł na mnie ogromny wpływ pod względem duchowym.

Jego piosenka *Gotta Serve Somebody* jest dla mnie drogowskazem, w którym kierunku pragnę iść jako artystka – chcę nie tylko służyć rozrywce, lecz także być aktywistką.

Właściwie nie podarłabym zdjęcia papieża dwa tygodnie wcześniej, gdyby nie ta piosenka i jej przekaz dotyczący misji, którą mają muzycy.

Dzień przed koncertem, podczas próby, przysiada się do mnie Willie Nelson i pyta, czy następnego dnia po koncercie nie nagrałabym z nim *Don't Give Up* Petera Gabriela. Jestem niezwykle podekscytowana. Gdyby nie to, że moja matka już nie żyła, umarłaby ze szczęścia! Tak bardzo kochała Williego Nelsona.

Piosenką Boba, którą mam wykonać na Madison Square, jest *I Believe in You* z płyty *Slow Train Coming*. Kiedy ten album się ukazał, przez jakiś czas nie widywałam ojca, bo moja matka to uniemożliwiała, a w Irlandii sądy są wobec ojców podłe. Nie miałam więc dorosłego mężczyzny za przewodnika, byłam pozbawiona figury ojca. Ten album mi go zastąpił.

Kiedy po raz pierwszy próbuję zaśpiewać *I Believe in You*, zalewam się łzami, tyle to dla mnie znaczy. Zawsze wiem, że dobrze zaśpiewam, jeśli przy pierwszym podejściu się rozbeczę. Tak samo było ze *Streets of London*. Musiałam trzy razy wybiegać z sali. Albo z *Don't Cry for Me Argentina* czy *Scarlet Ribbons*. Niektóre piosenki doprowadzają do łez, gdy się tylko o nich pomyśli. Jak *America the Beautiful*.

Ponieważ jestem taka rozemocjonowana, wraz z Bookerem T. i jego zespołem – którzy mają nam wszystkim akompaniować – wymyślamy bardzo łagodną i szeptaną wokalnie wersję. Na widowni nie będzie suchego oka.

A ja tylko pragnę, żeby Bob był dumny z tego wykonania.

Rano, w dniu występu, kupuję strój w Bergdorfie Goodmanie. Tylko dlatego, że podoba mi się kolor – turkusowy. Ta barwa w świetle spirytystycznym reprezentuje komunikację.

Nie przymierzam go w sklepie. Kiedy już wracam do hotelu, nie przymierzam go przez wiele godzin. A kiedy wreszcie to robię i patrzę w lustro, widzę, że pasowałby raczej do serialu *Dynastia*. Żeby dobrze wyglądać z takimi poduszkami na ramionach, trzeba mieć natapirowane włosy, a ja jestem łysa jak kolano. Z kolei spódnica odsłania moje szkaradne nogi baletnicy. Wyglądam komicznie. I na silnie niedożywioną. Bo rzadko coś jem. Lecz wybiła siedemnasta i jest za późno, żeby czegoś szukać. Wmawiam sobie, że najważniejsza jest spirytystyczna barwa. I wiem, że to prawda.

Kiedy jednak wychodzę tego wieczoru na scenę, połowa widowni zaczyna buczeć. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że to przez ten strój, bo przez ekscytację koncertem kompletnie zapomniałam o incydencie ze zdjęciem papieża w *SNL*.

Wtedy druga połowa publiczności rozpoczyna owację, by uciszyć buczących. Rozlega się jazgot, jakiego w życiu nie słyszałam, i nie jestem go w stanie opisać inaczej niż jako niekończące się grzmoty. Najgłośniejszy hałas, jakiego doświadczyłam. Zamieszki akustyczne rozdzierające niebo. Robi mi się okropnie niedobrze i prawie pękają mi bębenki. Przez minutę czy dwie nie jestem pewna, czy publiczność nie wznieci rozruchów. Tak strasznie się ścierają swoimi głosami. Skąd mam wiedzieć, co jeszcze może się wydarzyć?

Przez chwilę kręcę się nerwowo po scenie. Dociera do mnie, że jeśli zacznę śpiewać, to mam przerąbane, ponieważ piosenka jest śpiewana tak cicho, że krzyki publiczności mnie kompletnie zagłuszą. A ja nie mogę sobie pozwolić na to, żebym nie została usłyszana – buczący uznają to za swoje zwycięstwo.

Patrzę w piękną twarz Bookera T. Mówi bezgłośnie: *Śpiewaj swoją piosenkę*, ale nie robię tego.

Pytam Boga, co powinnam zrobić. Dalej chodzę, co wprowadza nerwową atmosferę za kulisami, bo koncert nie idzie zgodnie z planem. Ktoś wysyła więc Krisa Kristoffersona (o czym Kris mi później powie), żeby „ściągnąć ją ze sceny”. Podczas gdy idzie w moją stronę, otrzymuję odpowiedź od Boga: mam zrobić to, co zrobiłby Jezus. Więc dosłownie wrzeszczę w największym gniewie, na jaki mnie stać, piosenkę *War* Boba Marleya, przy której podarłam zdjęcie papieża. Następnie prawie wymiotuję.

Widząc, jak Kristofferson idzie do mnie, myślę, *Nie potrzebuję, żeby ratował mnie mężczyzna, dziękuję bardzo*. To takie żenujące. „Don't let the bastards get you down”, „Nie daj się nikczemnikom”, mówi do mojego mikrofonu. Schodzimy ze sceny i prawie go obrzyguję, kiedy mnie przytula.

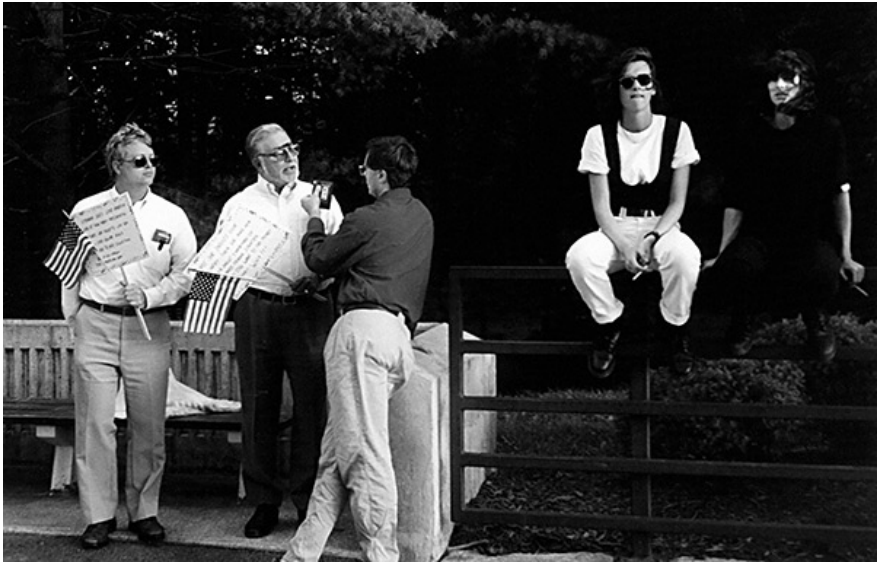
Później mam poczucie, że to Bob Dylan powinien być wyjść i powiedzieć swojej publiczności, żeby dała mi zaśpiewać. I jestem wkurzona, że tego nie zrobił. Więc za kulisami wbijam w niego wściekłe spojrzenie, jak na starszego brata, co podkablował rodzicom, że byłam na wagarach. Odwzajemnia je, skonsternowany. Wygląda bardzo przystojnie w białej koszuli i spodniach. To najdziwniejsze trzydzieści sekund mojego życia.

Dzień po Madison Square Garden idę odwiedzić menedżera Boba Dylana w jego biurze. Opowiadam mu o tym, co się dzieje w Kościele w Irlandii, o gwałtach na dzieciach i ich tuszowaniu. Pytam, czy razem z Dylanem pomogą mi to ujawniać. Uważa mnie za oszołomkę. Nie oferuje pomocy. Ani on, ani Dylan nie zabiorą głosu w mojej sprawie. Jestem sama. (Ciekawe, czy teraz wciąż mnie mają za wariatkę).

Mój ojciec, który był tamtej nocy na widowni, radzi mi później, że może pora wrócić do myśli o college'u, ponieważ właśnie zniszczyłam swoją karierę. Ma rację. Ale nie obchodzi mnie to. Warto się poświęcić w imię niektórych spraw. A i tak nie chcę już być gwiazdą popu, bo nikt mnie nie zna takiej, jaka jestem naprawdę, przez co czuję się strasznie samotna.



Sinéad w przebraniu, protestująca przeciwko sobie samej
FOT. SUSIE DAVIS



FOT. SUSIE DAVIS

MÓJ GWIAZDZISTY SZTANDAR

PROTESTY PO *SNL* BYŁY BARDZIEJ nasilone niż dwa lata wcześniej po innej kontrowersji.

Jest rok 1990. Przez ostatnich kilka dni w pokojach hotelowych natrafiam na materiał emitowany w telewizyjnych serwisach informacyjnych, który doprowadza mnie do łez ze śmiechu. Jestem w trasie po Ameryce i w niektórych miastach i miasteczkach ludzie na ulicach miażdżą moje płyty walcami.

Hasło głosi: „Przynieś nam swój album Sinéad O'Connor, a my zmiażdżymy go dla ciebie”. W przód i w tył, w przód i w tył, po stertach płyt CD. Na walcach zasiadają silnie rozjuszeni starzy ludzie (wszyscy mają spiczaste nosy). Nie wydaje mi się, żebym w życiu widziała coś równie śmiesznego. Ani nic, co by przepełniło moją wewnętrzną irlandzką artystkę taką dumą. Odczuwałam ją dziś w sposób szczególny, kiedy w ciemnych okularach i peruce miałam wielką przyjemność przyłączyć się wraz z moją najlepszą przyjaciółką Ciarą do protestu przeciwko sobie samej. Pomiędzy sprawdzaniem dźwięku a koncertem wyskoczyłyśmy przed salę koncertową Saratoga Performing Arts Center w Nowym Jorku.

Postępując się udawanymi amerykańskimi akcentami, gawędziłyśmy z jakimiś pięcioma weteranami z Wietnamu, którzy pojawili się na proteście promowanym przez lokalnego didżeja.

Byli, nazwijmy to, „duzi”, wyłącznie płci męskiej, i trzech z nich miało wielkie okrągłe okulary w czarnych oprawkach o tak grubych soczewkach, że ich oczy wyglądały na ogromniaste. Skrupulatnie wykonali i dumnie dzierżyli transparenty niepozostawiające wątpliwości, że czuli, że powinnam niezwłocznie opuścić Amerykę, i że SINEAD O'CONNOR W AMERYCE KOCHA TYLKO DOLARY.

Nie muszę (mam nadzieję) mówić, że byli w błędzie. Trzeba być idiotą, żeby nie kochać Ameryki. Poza tym trzeba być idiotą, żeby opuszczać Amerykę z innego powodu niż deportacja. Można mnie słusznie, bądź nie, oskarżać o różne rzeczy, ale jestem na pierdylion procent przekonana co do swojego statusu nie-idiotki. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, bo gdybym była idiotką, nikt by nie musiał jeździć walcem po moich płytach.

To więc bardzo dobry znak.

Razem z Ciarą gorliwie przytakiwałyśmy protestującym, że Shine-Aid O'Caanerrr i jej podobne powinny „Wracać do Irlandii”, i że jest „złą kobietą, która próbuje sprowadzić nasze dzieci na złą drogę swoim brakiem szacunku”. A także, że „nie ma mowy, by była chrześcijanką!”. Nawet robili sobie z nami zdjęcia do swoich albumów pamiątkowych. Tacy byli dumni, że dwie miłe, młode damy ich wsparły. Biedne stworzenia.

Po jakichś dwudziestu minutach wdrapałyśmy się na drewniany płot i siedziałyśmy sobie, obserwując, jak ci dalej robią swoje, czyli chodzą w kółko z transparentami. Przyjechała ekipa telewizyjna, bo od kilku dni niektóre media próbowały skrzyknąć wielki protest. Ale okazało się, że nic z tego, i mężczyźni byli jedynymi pikietującymi, których mogli sfilmować.

Aż tu nagle podchodzi do nas reporterka z lokalnej stacji (brunetka, warstw makijażu starczyłoby jej na sześć lat) wraz ze swoim kamerzystą i dźwiękowcem, który dźwiga nad jej głową komicznie falliczny, puchaty mikrofon. „Przepraszam, czy pani stąd?”, pyta.

Postanawiam odpowiedzieć bardzo przeciągłym „yyyyyyyy”. Po czym dodaję „Jestem z Saratogi!”. Staramy się z Ciarą nie posmarkać ze śmiechu i nie patrzeć na siebie nawzajem. „Jak się pani nazywa?”, draży reporterka. „Yyyyy. Wolałabym nie mówić tego nieznanym”, odpowiadam. Ledwo udaje mi się nie spaść z płotu.

Szczęśliwie szybko sobie poszli. Byłyśmy zbyt dziwaczne. Ale pokazali nas później w wiadomościach z podpisem *Czy to ona?*. Puszczali w kółko nagranie mojego „wywiadu”. Hahahahaha!

Te wszystkie głupoty miały miejsce, ponieważ dwa miesiące wcześniej, kiedy już zamierałam wychodzić na scenę w jakiejś sali koncertowej w New Jersey, do mojej garderoby przyszły dwie osoby

rasy kaukaskiej (jak to mówią w Ameryce), męska i żeńska. Zapytali mnie, jaki jest mój stosunek do tego, że z głośników przed moim występem ma popłynąć „Gwiaździsty sztandar”, amerykański hymn narodowy.

Cóż, *mea culpa*, ale ponieważ pochodzę z kraju, w którym mówi się po angielsku, wywnioskowałam z treści ich pytania, a także z tego, że w ogóle je zadawali, że moja negatywna odpowiedź również będzie do przyjęcia. „Nie” dla amerykańskiego hymnu? Nie ma problemu.

Tak między nami, to hymny koszmarnie prostacko się kojarzą, o ile nie wykonuje ich Jimi Hendrix. Oraz ludzie najczęściej chodzą na koncerty po to, by zapomnieć o świecie zewnętrznym, a nie żeby im o nim przypomniano. Pozostało mi jednak tylko dziesięć minut do wyjścia na scenę, musiałam przeciągnąć sobie kable pod koszulką na plecach i kilka razy się udać na nerwowe siku, więc powiedziałam, że jeśli miałabym wybierać, to wolałabym, żeby go nie puszczali. Nie udzieliłam im żadnego wyjaśnienia. Uśmiechnęli się uroczo i powiedzieli, że „to wystarczy” i życzyli mi „wspaniałego koncertu”.

Ale ta cała historia była niezwykle zasadzką. Podczas gdy byłam na scenie, tych dwoje cwaniaków zadzwoniło do telewizji, do lokalnego programu informacyjnego, i doprowadziło do awantury jak kraj długi i szeroki, bo nakłamali, że sama się do nich zgłosiłam z żądaniem, by przed koncertem nie odtwarzać hymnu. Twierdzili też, że powiedziałam im, iż nie dam koncertu, jeśli go puszczą. Co jest kompletną nieprawdą. Ubezpieczenie trasy koncertowej nigdy by nie pokryło kosztów takiej decyzji (mówiłam wam, nie jestem idiotką).

A media szaleją. Sinéad, Wróg Ameryki. W samym środku mojej trasy.

MC Hammer, wykorzystując to całe zamieszanie dla własnej korzyści, publicznie wysyła mi czek na powrót pierwszą klasą do Irlandii. Czek, podobnie jak on sam, śmierdzi zdradą. Nawet ja widzę, że to z jego strony obrzydliwe, biznesowe posunięcie.

Wiele lat później ten czek będzie wart o wiele więcej niż te półtora tysiąca dolarów, czy na ile tam go wypisał.

W sumie, jak tak o tym myślę, istnieje jeden powód, by wyjechać z Ameryki: klipy MC Hammera. Chryste Przenajświętszy.

Do dyskusji włącza się Frank Sinatra z opinią, że trzeba mi skopać tyłek, co jest o tyle niepokojące, że zatrzymałam się w tym samym hotelu co on. Możemy wpaść na siebie w windzie i myślę sobie, że mój ojciec w dalekim Dublinie nie będzie zbyt zadowolony, jeśli mu powiem, że musiałam stłuc Błękitnookiego w samoobronie.

Zaczynam sprawdzać łóżko pod kątem końskich łbów.

Czuję się mile połączona, że establishment uważa mnie za wystarczające zagrożenie, by próbować mnie zdyskredytować wraz z wieloma innymi artystami i zespołami, atakowanymi podczas fali muzycznej cenzury, która wzbiera w Ameryce od czasu *Straight Outta Compton*. To oczywiste, że podpadliśmy. To oczywiste, że cały czas podpadaliśmy. Wiem też czym. Jesteśmy jak lustro w „Królowie Śnieżce”

CZĘŚĆ TRZECIA

TROCHĘ UWAG MUZYCZNYCH

JESTEM PRZEKONANA, ŻE POWODEM, dla którego zostałam piosenkarką, jest to, że nie mogłam zostać księdzem, ponieważ mam waginę i parę piersi (choć nieistotnego rozmiaru). Od zawsze interesowała mnie praca z umierającymi, ponieważ od dziecka głęboko wierzyłam w życie pozagrobowe. Uważam też, że nie ma sensu bać się śmierci, co wywnioskowałam z wbijanych mi do głowy Ewangelii. Uznałam, że właśnie z tego powodu Jezus przyszedł na Ziemię. Nasiąkłam tym do tego stopnia, że dopiero teraz, pisząc o moich piosenkach, zdałam sobie sprawę, że ogromna ich część opowiada o śmierci albo rozmowach ze zmarłymi, albo ich narrator już nie żyje.

I rzeczywiście, pierwsza piosenka, którą w życiu napisałam, *Take My Hand*, była głosem anioła, który śpiewał umierającemu starcowi: „Chodź ze mną. Wszystko będzie jak we śnie”. Niecodzienny temat dla czternastolatki.

W tej książce pisałam bardzo dużo o moim wychowaniu i młodości, jak to się stało, że zostałam artystką. Ale jeszcze nie napisałam zbyt wiele o konkretnych piosenkach czy płytach. Pomyślałam sobie więc, że może to się komuś przydać, jeśli zbiorę wszystkie możliwe informacje na ich temat. Zawsze powtarzam, że jeśli dałoby się dyskutować o muzyce, nie byłaby już potrzebna, ponieważ jest narzędziem do rozmawiania o rzeczach, o których rozmawiać się nie da.

Bądźcie, proszę, świadomi, że każda z płyt stanowi pamiętnik, a każda piosenka jest jego rozdziałem. Kolekcja moich wszystkich albumów reprezentuje moją podróż ku uleczeniu. Kiedy byłam młodsza, pisałam z miejsca pełnego cierpienia, bo musiałam wyrzucić z siebie różne rzeczy. Gdy dotarłam do albumu *Theology*, który cały pochodzi z Pisma Świętego, pracowałam już nad swoim uzdrowieniem. A pierwszą płytą, którą w całości napisałam już z tego miejsca, jest *I'm*

Not Bossy, I'm the Boss. I z tego miejsca piszę nadal. W końcu nie ma sensu wyruszać w podróż do uleczenia, jeśli ma się do niego nie dotrzeć.

Jest też tak, że jeśli ktoś chce mnie naprawdę poznać, najlepiej niech posłucha moich piosenek. Nie istnieje nic takiego, co mogłabym napisać w tej książce lub opowiedzieć, co by pomogło wam poznać mnie lepiej. Wszystko jest w piosenkach.

I DO NOT WANT WHAT I HAVEN'T GOT

JACKIE TO PIOSENKA, KTÓRĄ, JAK PAMIĘTAM, napisałam po *Take My Hand*. Miałam jakieś piętnaście lat. W końcu wylądowała na *Lion and the Cobra*. Obejrzałam pewnego razu w telewizji sztukę teatralną o bardzo starej kobiecie mieszkającej w Szkocji, która czekała na swoją własną śmierć. Spędzała dni, patrząc przez rozchylone kotary w oknie i czekając na powrót męża z wyprawy na ryby, na którą wyruszył czterdzieści lat wcześniej, i podczas której utonął. Nie mieli dzieci i nigdy nie poznała nikogo innego.

Ta historia zainspirowała mnie w jakiś sposób do napisania *Jackie*, której główna bohaterka błąka się po plaży, czekając na powrót kogoś, kto nie żyje. W mojej piosence narratorka jest duchem.

Wszyscy zakładają, że moje piosenki są autobiograficzne, ale jest to prawda tylko w połowie przypadków. Ludzie często się mylą, szczególnie kiedy im się wydaje, że piosenka opowiada o chorobie psychicznej. Ta kwestia niekoniecznie odnosi się do *Jackie*. To ciekawe, że ta piosenka podchodzi pod kategorię tekstów śpiewanych z punktu widzenia osób, które nie żyją. Wydaje się, że już wtedy interesowałam się życiem pozagrobowym i nie wierzyłam w ostateczność śmierci. Interesowało mnie to zarówno pod kątem muzycznym, jak i duchowym.

A to wszystko, jak już mówiłam, dlatego że nie mogłam być księdzem. Pewnie powinnam była zostać misjonarką, ale następną w kolejce najlepszą opcją była muzyka.

Jak opowiadałam, utwór *Drink Before the War* (nie mam pojęcia, skąd mi się wziął ten tytuł!) narodził się z mojej wściekłości na dyrektora w Waterford, który nienawidził mnie za moje pragnienie, by zostać muzyczką. Gównem się tym przejęłam, szczególnie że dyrektor

był snobem i małym tchórzliwym gnojkiem. Ta piosenka miała dla mnie ogromne znaczenie, kiedy ją pisałam, ale już jej nie wykonuję, bo się wstydzę – śpiewanie jej jest jak czytanie na głos pamiętnika z okresu dorastania.

Nadal za to wykonuję *Never Get Old*, również napisaną, kiedy miałam piętnaście lat, i również z mojej pierwszej płyty. Opowiada o najprzystojniejszym chłopcu w szkole, Benie Johnsonie. Wszystkie dziewczyny chciały z nim chodzić, ponieważ nie tylko był najpiękniejszy, ale także najbardziej tajemniczy. Tresował jastrzębie, był naprawdę uroczy i rzadko się odzywał. Jak już wcześniej pisałam, pewnego dnia udało mi się wreszcie z nim umówić. Zabrał mnie, by mi pokazać swojego jastrzębia i spędziliśmy razem niesamowite popołudnie. Wydaje mi się, że w końcu raz czy dwa się pocałowaliśmy. Ale później mnie rzucił, choć w bardzo uprzejmy sposób. Możliwe, że beznadziejnie całowałam. Ale i tak było mi dość przykro. Stąd wzięła się piosenka *Never Get Old*.

Mandinkę zainspirował serial telewizyjny *Roots* oparty na motywach powieści Alexa Haleya o niewolnictwie. Oglądałam go, gdy byłam młodą dziewczyną – poruszył mnie do głębi, wywołał instynktowną reakcję. Emocjonalnie zidentyfikowałam się z ruchem walki o prawa człowieka i tematem niewolnictwa, szczególnie ze względu na teokrację, w której żyłam, i opresję panującą w moim własnym domu.

Nagrywanie tego utworu stanowiło dla mnie przełom również pod względem muzycznym. Podczas nagrań po raz pierwszy odważyłam się wreszcie porządnie zagrać na gitarze, do czego zachęcali mnie: producent Chris Birkett oraz Chris Hill z Ensign. Kiedy pierwszy raz grałam ten utwór Hillowi, byłam pewna, że uzna go za totalne bądziejwie. Ale często mi się zdarzało, że przedstawiałam ludziom piosenki, co do których martwiłam się, że są totalnym gównem (jak na przykład *Reason With Me* o osobie, która prosi, żeby jej pomóc żyć), a oni byli zachwyceni. Byłam też dumna z siebie, że udało mi się zagrać na gitarze, ponieważ, cóż, nie jestem świetną gitarzystką.

Kiedy przypominam sobie, jakie utwory znalazły się na *I Do Not Want What I Haven't Got*, dostrzegam, że ta płyta również jest przeszycona tematyką śmierci, umierania i komunikowania się

z zaświatami. W pierwszym utworze, *Feel So Different*, tak naprawdę zwracam się do mojej matki. A *I Am Stretched on Your Grave* to dawny irlandzki wiersz, który opowiada o śmierci. W tym utworze wykorzystałam słynny podkład perkusyjny Jamesa Browna, który zaczął się przewijać w wielu kawałkach rapowych – za użycie go wydawnictwo kazało mi zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które, mogę się założyć, nie trafiły do perkusisty. Uwielbiam ją śpiewać i zawsze wtedy myślę o mojej matce. Często, kiedy dowiaduję się, będąc w trasie, że właśnie zmarł ktoś powszechnie znany, dedykuję mu właśnie *I Am Stretched on Your Grave*.

Trzecia piosenka o śmierci to *Three Babies*, która opowiada o trzech poronieniach, których doświadczyłam. Jest również o czwórce moich urodzonych dzieci, chociaż stanowi też przepowiednię, że nie będę idealnym rodzicem. Marzymy o tym, by być idealnymi matkami, ale nie zawsze się to udaje (choć z wiekiem coraz lepiej nam to wychodzi).

Black Boys on Mopeds jest oparta na autentycznej historii dwóch czarnoskórych nastolatków, która wydarzyła się w Londynie, niedaleko mojego ówczesnego miejsca zamieszkania. Chłopcy wzięli bez pytania skuter swojego kuzyna, wezwano policję, która wszczęła pościg, a oni się wystraszyli, rozbili i zmarli. Utwór ten powstał w czasie, kiedy w Londynie wybuchł potworny skandal związany z zaginięciami czarnoskórych mężczyzn na komisariatach policji. W ówczesnych mediach zatrzymywanych włamywaczy opisywano jako „czarnych” (lub, alternatywnie, jako „irlandzkich”). Panowało ogromne napięcie pomiędzy londyńczykami a Jamajczykami z jednej strony i Irlandczykami z drugiej.

Przebojowy singiel z tego albumu, cover *Nothing Compares 2 U* Prince’a, to piosenka, którą zawsze śpiewałam – i śpiewam nadal – mojej matce. Zawsze, kiedy ją wykonuję, mam poczucie, że to jedyny czas, który mogę z nią spędzić, i że znów z nią rozmawiam. Wierzę wówczas, że jest przy mnie, słyszy mnie i czuję jej bliskość. Dlatego płakałam przy wersach: „All the flowers that you planted, Mama, in the backyard, all died when you went away.” Kocham tę piosenkę i nigdy nie mam dość wykonywania jej.

Piosenka tytułowa, *I Do Not Want What I Haven't Got*, również narodziła się w niezwykle mroczny i ciekawy sposób. Udałam się kiedyś do medium i wywołano tam ducha mojej matki. Poprosiłam siostrę, żeby wybaczyła matce to, co nam wszystkim zrobiła. Ale siostra nie chciała tego zrobić. I chociaż rozumiałam ją, zrobiło mi się bardzo, bardzo żal duszy mojej matki. Byłam taka młoda, nie umiałam inaczej.

Tej nocy matka przyśniła mi się po raz pierwszy od swojej śmierci półtora roku wcześniej. We śnie opowiedziałam jej, że jest mi przykro, że Éimear nie umiała jej wybaczyć. A ta odparła: „I do not want what I haven't got” – „Nie pragnę tego, czego nie mam”.

Miała na myśli to, że nie zasługuje na wybaczenie mojej siostry i ma tego świadomość, więc nie powinno mi być jej żal.

Na moich pierwszych dwóch płytach często pojawia się tematyka śmierci i umierania. Ale widzę też, hmm, że jest na nich cała masa utworów na temat wiary w świat duchowy, a nie tylko „ratunku, biada, same rozpaczliwe numery o śmierci”. To nie tak. Faktycznie, znajdują się na nich piosenki oparte na idei, że przekaz zawarty w Ewangelii i Piśmie jest prawdą. I że nie istnieje coś takiego jak śmierć, co zresztą przekazują nam wszyscy posłannicy Boga, niezależnie od religii.

AM I NOT YOUR GIRL?

NIE BYŁAM GOTOWA NA SUKCES, jaki osiągnęłam przy *I Do Not Want What I Haven't Got*. Nie do tego dążyłam. Nie wiedziałam, jak sobie z nim radzić. Frustrowało mnie to. Nie rozumiałam, czemu ludziom podobają się moje piosenki. Śpiewałam je przed każdą kamerą na świecie, we wszystkich możliwych programach telewizyjnych, nie zdając sobie sprawy, gdzie w ogóle jestem – nie byłam przy moim dziecku. Nie leżała mi rola gwiazdy pop wraz z tą całą otoczką, która była dla mnie szkodliwa.

Myślałam sobie, że pod kątem muzycznym nie chcę być pod typową presją następnej płyty. Musiałam zmylić słuchaczom trop. Postanowiłam kupić sobie trochę czasu, żeby móc przygotować następny album tak, jak naprawdę chcę, a nie tak, jak wymaga ode mnie wydawca. Kolejna płyta musiała być na tyle oderwana od oczekiwań świata popu, aby nie dało się jej przyrównać do poprzedniej. Coś takiego zrobiłam właśnie z *Am I Not Your Girl?*.

To album pełen piosenek musicalowych i standardów jazzowych. Jedynym utworem, który zawiera jakiś mój osobisty wkład, jest hit Loretty Lynn *Success Has Made a Failure of Our Home*. W niej mówię prawdziwa ja, o tym, co sukces zrobił z moim życiem. Pod koniec utworu dodałam trochę własnych, autobiograficznych słów. Kiedy skończył mi się tekst, zaczęłam krzyczeć „Am I not your girl?”, „Czy nie jestem twoją dziewczyną?”. Tylko ta część albumu nawiązywała w moim odczuciu do *I Do Not Want What I Haven't Got*.

Nagrałam też cover *Don't Cry for Me Argentina*, bo moja matka uwielbiała tę piosenkę. I to, że mogłam ją wykonać, było dla mnie niezwykle ważne. Ogromne znaczenie miał też dla mnie list od Tima Rice'a, który stworzył do niej słowa. Rice napisał, że moja wersja jest

bez wątpienia najlepsza, jaką kiedykolwiek słyshał. A gdyby moja matka jeszcze żyła, umarłaby ze szczęścia i dumy.

Na płycie znalazła się też piosenka *Scarlet Ribbons*. Mój ojciec śpiewał mi ją, jak byłem mała. Dlatego płaczę, kiedy ją wykonuję. Jest głęboka i ma dla mnie ogromne znaczenie. Ojciec, śpiewając mi ją, w rzeczywistości opowiadał mi o potędze modlitwy i o tym, że cuda się zdarzają. Historia przedstawiona w tej piosence ścinała mnie z nóg. Tata miał chyba bardzo smutny głos, gdy ją nucił – zasmucał mnie tak samo, jak ja zasmucałam moją córkę, kiedy śpiewałam jej tę melodię w dzieciństwie. Gdy słyshała ją w radiu, mówiła: „Za smutne, wyłącz to, wyłącz”.



Ceniony trener wokalny Frank Merriman
FOT. IRMANTAS BAUZA/THE BEL CANTO SCHOOL OF SINGING

UNIVERSAL MOTHER

CZĘSTO POSTRZEGAM *UNIVERSAL MOTHER* jako najbardziej wyjątkową płytę, jaką w życiu nagrałam. Dzieje się tak z wielu, wielu powodów, a jeden z nich ma związek z moim ojcem. Przez wiele lat chodził on na lekcje śpiewu do pana Franka Merrimana, który uczył śpiewać w stylu bel canto. Nazwa ta dosłownie oznacza „piękny śpiew” i pochodzi z Włoch, z początków dziewiętnastego wieku. Nie ma nic wspólnego z gamami czy oddechem ani niczym podobnym. Założenie jest takie, że emocje same naprowadzają nas na właściwe dźwięki. Kiedy mieszkałam w Londynie i nagrałam swoje dwie pierwsze płyty, śpiewałam z amerykańskim akcentem. Jak wszyscy moi idole, ale nie jak ja. W latach 80. XX wieku śpiewanie z irlandzkim akcentem było obciachem. Tak w ogóle to jako pierwszy robił to Bob Geldof.

Ja nie zaczęłam tego robić, dopóki nie poszłam na lekcje do Franka Merrimana, a wybrałam się na nie, ponieważ kiedy akurat byłam w Dublinie, bardzo często jadałam kolacje z nim i moim ojcem, i byłam pod ogromnym wrażeniem tego, co miał do powiedzenia na temat śpiewu. Nazywał siebie wyzwolicielem głosu, a nie nauczycielem, i opisywał śpiewanie jako naukę duchową, która w jego obecności faktycznie się taką stawała. Lekcje u niego sprawiły, że pierwszy raz zaśpiewałam moim własnym głosem, i byłam w stanie wyrażać to, co myślałam, nie musząc tego szyfrować tak bardzo, jak to robiłam na wcześniejszych płytach. Frank uwolnił nie tylko mój głos – uwolnił mój umysł. W bel canto te kwestie są nierozzerwalne.

Frank kazał uczniom śpiewać na przykład arie operowe, jak *O mio babbino caro*, w tonacji, która była dla nich o wiele za wysoka. Gdy taki delikwent, z poczuciem, że czeka go kompletna kompromitacja, docierał już do najwyższej nuty, Frank rzucał mu jabłko lub piłeczkę tenisową, i uczeń tak bardzo starał się przed nią osłonić lub ją złapać,

że odpowiedni dźwięk sam wydobywał się z jego ciała. Frank chciał w ten sposób pokazać, że człowiek sam sobie przeszkadza – to było zastosowanie metody Stanisławskiego w śpiewie. Jeśli zejdziesz sobie z drogi, by opowiedzieć historię, poczuć emocje, to odpowiednie dźwięki same wypłyną. Frank mawiał: „Gdyby właśnie teraz, w tym pokoju, wybuchł pożar, byłbyś w stanie krzyknąć «ogień» najwyższym dźwiękiem, na jaki stać twoje struny głosowe. Ale gdybyś próbował zaśpiewać tę nutę tak po prostu, nie dałbyś rady jej osiągnąć”

W bel canto chodzi więc o umiejętność dostrzeżenia obrazu, opowiedzenia historii, o autentyczną wiarę w nią i w to, że nuty zaprowadzą cię do emocji. Nie ma to nic wspólnego z uczeniem się oddechu, z przeponą ani czymkolwiek tego rodzaju. Jediną techniczną kwestią jest to, że musisz wokalizować ze swoim rodzimym akcentem. Ponieważ mięśnie człowieka formują się przed czternastym rokiem życia, a to one kształtują brzmienie twojego akcentu, będziesz mieć problemy wokalne, jeśli zaczniesz ograniczać jego swobodę. Dlatego Bono, Adele czy inni wokaliści, którzy sztucznie narzucali sobie akcent, mają problemy z głosem – bo zmuszali swoje struny głosowe do pracy w sposób niezgodny z ich ukształtowaniem.

W 1993 roku przeprowadziłam się z powrotem do Dublina, aby uczestniczyć w grupowych zajęciach wokalnych w soboty oraz uczęszczać na prywatne lekcje do Franka. W grupie było jakieś dwadzieścia osób. Niektórzy chcieli po prostu śpiewać na przyjęciach. Inni chcieli śpiewać zawodowo. A jeszcze inni czerpali radość z samego uczęszczania na zajęcia wokalne (jak mój ojciec). Można się było tam nauczyć, że dusza każdej osoby jest indywidualna i piękna, ale brzmienie jej głosu nie ujawni się, o ile nie zaśpiewa ona ze swoim własnym, autentycznym akcentem. I to jest naprawdę piękne.

To na lekcjach Franka opracowałam trik, z którego czasem korzystam na scenie. Śpiewając, tupię nogą i skupiam się na stopie. Nie na dźwiękach, które mam zaśpiewać – jeśli to zrobię, mam przerąbane. Myślę o wszystkim innym, tylko nie o nutach, które muszę wyciągnąć.

Podczas tych zajęć dowiedziałam się jeszcze, do jak wielkich poświęceń może doprowadzić miłość do śpiewu. Frank, kiedy był młody, pojechał do Włoch i przez rok sypiał na ławce w parku, bo nie mógł sobie pozwolić na dach nad głową. Pieniądzy starczało mu tylko

na lekcje. Później wrócił, dzięki Bogu, do Dublina, żeby zostać nauczycielem.

Jak więc opowiadałam, to Frank zaczął mnie uczyć śpiewania moim własnym głosem i szukania mojego własnego ducha. Dzięki temu zaczęłam opowiadać o rzeczach, o których naprawdę chciałam mówić. Więc chociaż *Am I Not Your Girl?* oficjalnie jest moją trzecią płytą – tak naprawdę to zmyłka. Na *The Lion and the Cobra* oraz *I Do Not Want What I Haven't Got* śpiewałam o swoim dzieciństwie, ale nie opowiedziałam zbyt wiele. To się miało teraz zmienić.

Co znów sprowadza mnie do *Universal Mother* z 1994 roku. Większość płyty wyprodukował Phil Coulter, który jest uroczym mężczyzną, a każde z jego dziewięciorga dzieci urodziło się dziewięć miesięcy po jego powrocie z trasy. Phil jest mężem Geraldine Brannigan, piosenkarki, którą ogromnie podziwiałam w okresie dorastania. Phil jest doskonałym pianistą. Napisał też piosenkę, która znalazła się na tej płycie – *Scorn Not His Simplicity*.

Jednym z powodów, dla których jestem taka dumna z *Universal Mother*, jest to, że Edge z U2 powiedział, że był w stanie ją przesłuchać tylko raz, taka jest osobista. Nigel Grainge, jak już pisałam, mówił coś podobnego o albumie, na którym jest *Nothing Compares 2 U*, czyli *I Do Not Want What I Haven't Got*. Nigel twierdził, że to jak czytanie czyjegoś pamiętnika i pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje. Wydaje mi się, że biedny Edge miał na myśli coś innego. Raczej poczuł całe cierpienie zawarte w *Universal Mother*. Ta płyta otrzymała również najlepszą recenzję – ze wszystkich recenzji zebranych przez wszystkie moje albumy – napisaną przez nieżyjącego już Billa Grahama, który pracował dla irlandzkiego magazynu o nazwie „Hot Press”. Graham napisał, że to pierwszy raz, kiedy ktokolwiek śpiewa o swojej rodzinie, i że ten temat był zawsze tabu, ale ja jako artystka próbowałam się z nim przebić od początku. Tak faktycznie było, ale teraz śpiewałam z innym akcentem, zachowywałam się jak inna osoba. Wcześniej wszystko było silnie zaszyfrowane. I stało się oczywiste, że jestem wrażliwą dziewczyną, a niekoniecznie twardą Bambi w martensach, jak wszystkim się wydawało.

Muszę teraz przyznać, że nigdy w życiu nie byłam tak upalona, jak w Amsterdamie z Timem Simenonem, który produkował kawałki: *Fire*

on Babylon, Famine i *Thank You for Hearing Me*. Jezu, wypaliliśmy razem tonę zioła. Nie wiem, jak byłam w stanie się utrzymać na nogach, nie mówiąc już o śpiewaniu.

Fire on Babylon jest piosenką o mojej matce. Nie będę tutaj wchodzić w szczegóły, ma to związek z czymś, co zrobiła jednemu z moich braci, a co ogromnie mnie rozgniewało, kiedy się o tym dowiedziałam. Prawdę mówiąc, niezwykle ciężko jest mi się złościć na moją matkę. Taki miałam sposób na przetrwanie. Przekonałam samą siebie, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Możliwe, że tak było, ale ja swój gniew przeniosłam, choć dojrzalej byłoby go zaakceptować. To, jak bardzo byłam na nią wściekła, widać nawet w teledysku, w scenie, w której ofiarowuję matce tort urodzinowy, który wybuchają jej prosto w twarz.

Uwielbiam *John, I Love You*. Uwielbiam wszystko w tej piosence. Ludziom często się wydaje, że napisałam ją o moim bracie, Johnie, ale to nieprawda, chociaż czasem mi się z nim kojarzy. A oto i wyjaśnienie: w szkole Franka Merrimana miałam nauczyciela pianina, Johna Stokesa, w którym byłam beznadziejnie zakochana. Rzecz jasna zupełnie nie był mną zainteresowany, ponieważ miał głowę na karku i wiedział, że kompletnie mi brak piątej klepki i jestem ostatnią kobietą, którą chciałby na siebie ściągnąć którykolwiek mężczyzna. Byliśmy jednak przyjaciółmi i on naprawdę mi się podobał. Bardzo, bardzo go kochałam. Nie umiałam grać na pianinie i nadal tego nie potrafię – naprawdę, mam dwie lewe ręce do gitary i pianina (choć w przypadku pianina jest gorzej). Tak czy inaczej, ta piosenka tak naprawdę opowiada o Johnie Stokesie.

My Darling Child jest o moim synu, Jake'u. To po prostu kołysanka i wyznanie miłości. Oczywiście Jake ma na tej płycie swoją własną piosenkę (na którą ma kontrakt wydawniczy), zatytułowaną *Am I Human?*. Miał zaledwie jakieś trzy lata, gdy podszedł do mikrofonu w domu swojego ojca i nagle wypłynęła z niego cała ta niezwykła filozofia.

Red Football odnosi się do faktu, że ta płyta powstawała w czasie, kiedy wreszcie stałam się sobą, i zaczynałam się przyglądać temu, jak pozwalałam sobie pomiatać przez pierwsze dwadzieścia dwa lata mojego życia. Zaczynało to do mnie wreszcie docierać.

A Perfect Indian opowiada o Danielu Day-Lewisie. Ludziom wydaje się, że mieliśmy romans, jednak wcale tak nie było. Zbliżyliśmy się do siebie, ale ja zniszczyłam naszą przyjaźń – co mi się czasem zdarza – bo pewnego wieczoru straciłam do niego cierpliwość i wybuchłam. Jest to, niestety, jedna z konsekwencji mojego dzieciństwa. Ta piosenka jest więc zarówno o moim wychowaniu, jak i o Danielu. Kręcił wówczas *Ostatniego Mohikanina*, dlatego utwór nosi tytuł *A Perfect Indian*. To nie tak, że byłam w nim zakochana. (Tak nie było). Ale bardzo go lubiłam jako przyjaciela. Nadal za sobą przepadamy, chociaż podczas ostatnich dwudziestu pięciu lat widziałam go chyba raz.

Kawałek *All Babies* to zapis jedynej w życiu sesji rebirthingu, na jaką się wybrałam, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Przypominała haj na kwasie – chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak on wygląda – i była dla mnie wyjątkowo magicznym doświadczeniem. Za sprawą tej piosenki stworzyłam też rysunek, który znalazł się na jedynej zaprojektowanej przeze mnie okładce mojej płyty. A tak w ogóle, to gdzie teraz jest ta oryginalna praca? Pewnie zaginęła gdzieś w odmętach Chrysalisu czy EMI albo ją sprzedano, czy coś, ale chętnie bym ją odzyskała.

Thank You for Hearing Me, finałową piosenkę z *Universal Mother*, napisałam na temat zerwania z Peterem Gabrielem. Miałam z nim nieregularny romans, który sprowadzał się do tego, że byłam jego panienką na weekendy – tak mogłabym to najłagodniej określić. I kiedy przejadło mi się bycie panienką na weekendy, napisałam tę nietypową piosenkę o rozstaniu. W ciągu lat stała się ona moją ulubioną piosenką do wykonywania na żywo, ponieważ, podobnie jak mantra, może porwać do stratosfery niemalże hipnotycznej.

Wydaje mi się, że to Tim Simenon dał mi do niej podkład. Cały zespół, basista, perkusista, publiczność, wszyscy byliśmy w transie za sprawą jej powtarzalności. Wyjątkowo trudno mi opisać, skąd wzięta się ta piosenka. Wykonywanie jej stanowi wręcz kościelne doświadczenie, że tak to ujmę z braku lepszego określenia. I jestem z niej bardzo, bardzo dumna, jako z piosenki o rozstaniu, biorąc pod uwagę fakt, że człowiekowi przysługuje prawo do rzucania talerzami, gdy się zorientuje, że jest traktowany jak weekendowa rozrywka.

Co do *Famine*, to pamiętam, jak pewnego razu w Londynie występowałam w pewnym programie telewizyjnym i próbowałam wykonać ten utwór w samym środku napięć pomiędzy Irlandią a Anglią. Powiedziano mi, żebym jej nie śpiewała, ponieważ jest zbyt polityczna. Moi ludzie przemówili wtedy producentowi do rozsądku: „Ale zaraz, zaraz. Gdyby stał tutaj Bob Dylan, nie oznajmilibyście mu, że nie może śpiewać *The Times They Are a-Changin'*”. Nie mógł nic zrobić, tylko się zgodzić. Koniec końców przynajmniej raz udało się nam wykonać ją na żywo w brytyjskiej telewizji. *Famine* to oczywiście piosenka o Irlandii i o tym, jak wszystkim się wydaje, że w XIX wieku panował w niej głód, ale tak naprawdę w kraju była cała masa jedzenia, lecz wywożono je z niego statkami. Po prostu strzelano do Irlandczyków, którzy zbliżyli się do czegokolwiek innego niż ziemniak.

Prawda jest taka, że kłamstwem jest nazywanie tego okresu głodem. To kontrowersyjna piosenka, a gdybym jej nie napisała, nie poznałabym ojca mojej córki, który bardzo pozytywnie zrecenzował ten utwór. Jego nazwisko brzmi John Waters, a spotkaliśmy się na wywiad właśnie o *Famine*. Gdyby tak się nie stało, nie przyszyłoby na świat nasze dziecko, Roisin.

GOSPEL OAK

GOSPEL OAK WZIAŁ SWÓJ TYTUŁ od dzielnicy w Londynie, gdzie sześć razy w tygodniu odwiedzałam terapeutę. Nazywał się Morton Schatzman i był bardzo starym Żydem, psychiatrą, którego pies miał w zwyczaju siadać mu u stóp i lizać się po jajkach. Było to strasznie krępujące, jako że chodziłam tam, żeby dojść, co jest ze mną nie tak. Lubiłam powiedzenie doktora Schatzmana, że na terapię chodzimy po to, by się dowiedzieć, że wszystko jest z nami w porządku. Ale ze mną zdecydowanie nie było, kiedy jego pies lizał się po jajkach. Jestem Irlandką, więc byłam co najmniej zakłopotana.

Ale też bardzo, bardzo lubiłam tego człowieka, być może nawet się w nim szaleńczo, na wiele sposobów, kochałam, jak to się zdarza pacjentom. A on był jedyną osobą, która była wtedy dla mnie miła. Byłam strasznie samotna, dlatego właśnie chodziłam do niego sześć razy w tygodniu. A byłam samotna pewnie z tego powodu, że miałam trudny charakter. Ale wówczas tego nie wiedziałam, byłam młoda. Niewątpliwie miało to też związek z moją pracą.

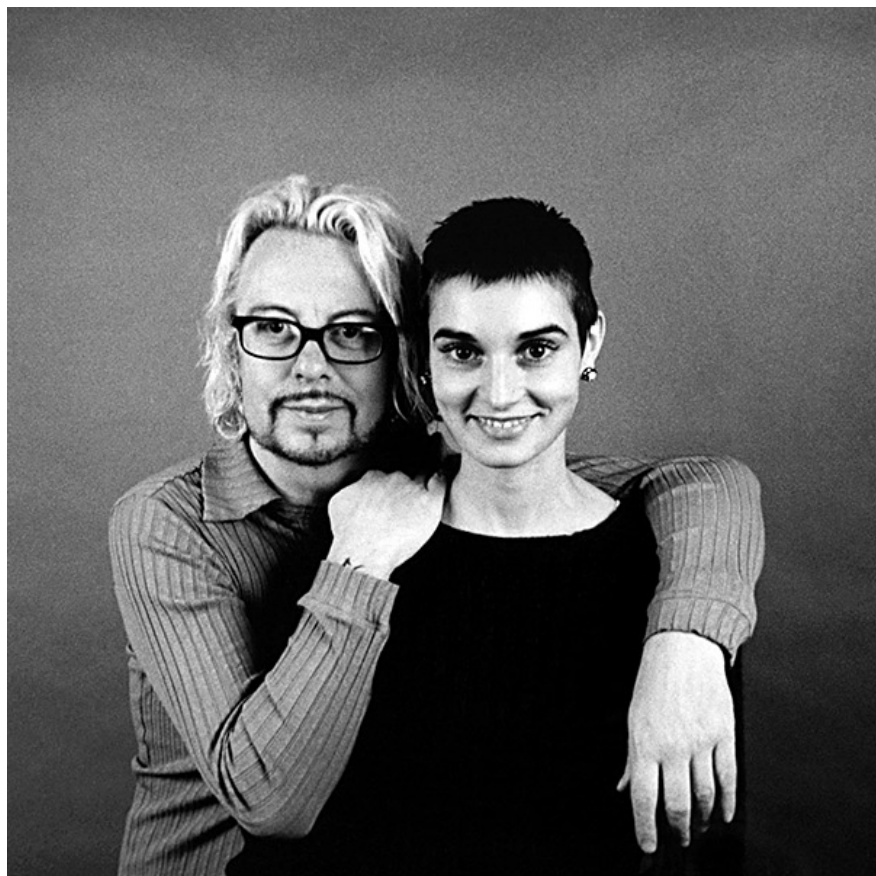
Tak czy inaczej *This Is to Mother You* jest jedyną piosenką poza *All Babies*, która napisała się sama. Czasem artyści mówią, że czują się jak pośrednicy boskich przekazów. Ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Jeśli cokolwiek przekazują, to treści pochodzące z ich własnej nieświadomości, która czasem się do nas odzywa. Trzeba bardzo uważać na to, co się pisze, bo – jak potwierdzi każdy autor – piosenki zawsze się spełniają. Tę usłyszałam po prostu w sobie, dopasowałam chwytły gitarowe i zaśpiewałam.

Podobnie nieświadomy proces zaszedł przy powstawaniu wszystkich kawałków z *Gospel Oak*. *I Am Enough for Myself* to medytacja na tematy, które przepracowywałam w terapii. Medytacja i zestaw afirmacji dotyczących tego, jak chcę, żeby było.

Petit Poulet to moja reakcja na ludobójstwo w Rwandzie – byłam zaszokowana tym, co zobaczyłam w telewizji, i taka była moja instynktowna odpowiedź. *4 My Love* jest zaś po prostu tym, czym jest, czyli piosenką miłosną. *This Is a Rebel Song* napisałam w odpowiedzi na *Sunday Bloody Sunday* U2, którzy zawsze zapowiadali ją na koncertach jako „nie *rebel song*”. Może obawiali się, że będzie odczytywana jako piosenka o wojnie w Irlandii Północnej. A ja pragnęłam, żeby słuchacze wiedzieli, że to nie tylko piosenka o miłości, ale też o wojnie. Ale jak opowiedzieć historię o wojnie? Dobrze, jeśli można sprawić, by wydawała się historią związku mężczyzny i kobiety.

Na płycie znalazła się też *He Moved Through the Fair* (lub *She Moved Through the Fair*, jak jest zazwyczaj nazywana). To piękna, stara irlandzka piosenka, piosenka-duch, i nikt nawet nie wie, kto ją napisał. Nagrałam ją ponownie w o wiele wyższej tonacji, do filmu *Michael Collins*, i tę wersję również bardzo lubię.

Gospel Oak i *Universal Mother* zawsze będą dla mnie mocno ze sobą powiązane, ponieważ zrobiliśmy im wspólną trasę. Najlepiej się wtedy bawiliśmy.



Sinéad z Dave'em Stewartem

FOT. BP FALLON

FAITH AND COURAGE

FAITH AND COURAGE, który ukazał się w 2000 roku, był moim piątym autorskim albumem i pierwszym oryginalnym od wielu lat. Praca nad tym wspaniałym przedsięwzięciem artystycznym wniosła świeży powiew do mojego życia. To był trudny czas. Wychowywałam Jake'a i Roisin oraz wplątałam się w koszmarną i niezwykle przygnębiającą walkę o córkę, a do tego, w swoje trzydzieste trzecie urodziny, podjęłam próbę samobójczą.

Miałam doskonałe relacje z wieloma producentami, którzy pracowali przy *Faith and Courage*, szczególnie z Adrianem Sherwoodem i Dave'em Stewartem. Z Adrianem Sherwoodem byliśmy przez długi czas nierozłączni. Pracowałam z nim nad czymkolwiek, zaśpiewałabym książkę telefoniczną, gdyby tylko ją nagrywał. Jest najbardziej niezwykłym producentem na świecie, podobnie jak konstruktorem skrętów – związał je dla mnie i pisał na nich urocze liściki miłosne.

The Healing Room jest piosenką z tej samej kategorii co *Thank You For Hearing Me*. To mantra, która, mam nadzieję, porywa słuchaczy do innego świata. Kiedy wychodzę na scenę, zawsze się modlę, żebym mogła być na niej księdzem i żeby, kiedy z niej zejść, ludzie czuli się jak po wizycie w kościele. *The Healing Room* daje mi to poczucie.

No Man's Woman jest standardową piosenką popową, a *Jealous* po prostu uwielbiam. To jedno z moich ulubionych nagrań. Zrobiłam je z Dave'em Stewartem.

Również z Dave'em powstało *Daddy, I'm Fine*. Dave powiedział mi, żebym napisała piosenkę o tym, jak to było, kiedy przyjechałam do Londynu. Uwielbiam wykonywać ją na koncertach, bo można krzyczeć i wrzeszczeć. *Hold Back the Night* to z kolei jeden z moich najlepszych wokali w życiu. Napisał ją Bobby Bluebell z The Bluebells,

a odszukał Dave, i nie wydaje mi się, by mógł znaleźć dla mnie coś lepszego.

Dancing Lessons nagrałam z Wyclefem Jeanem. To było bardzo, bardzo zabawne. Trochę ze mną flirtował, aż musiałam mu powiedzieć, żeby nie marnował czasu.

Zostałam przez wydawcę zmuszona do umieszczenia na *Faith and Courage* piosenki *The State I'm In*. Nie napisałam jej. To nie jest typ piosenki, który pasuje do mojej osobowości. Frank Merriman zawsze uczył mnie, żebym nigdy nie śpiewała utworów, które nie pasują do mojej osobowości, a tu proszę, kurczę, zrobiłam to. I wściekam się, bo uważam, że to zniszczyło album.

The Lamb's Book of Life wyprodukował She'kspere Briggs, kiedy przyjechałam do Ameryki, żeby nagrać tu część płyty. Nie zorientował się, jak mocno byłam przygnębiona w Atlancie. Pewnie uznał, że jestem najnudniejszym babskiem na świecie (jakim pewnie wtedy byłam), ponieważ dobijały mnie wszystkie moje problemy z Londynu i Irlandii.

The Lamb's Book of Life jest jednak szczerym zapisem tego koszmarnego czasu.

If U Ever to piosenka o śmierci mojej matki, wyobrażona rozmowa pomiędzy nią a mną. *Emma's Song* opowiada o mojej relacji z ojcem Roisin, Johnem Watersem, o którym wcześniej opowiadałam, a *Kyrié Eléison*, cóż, to taki psikus – element mszy katolickiej w wersji rasta.

Doskonale się bawiłam, pracując nad *Faith and Courage*, ponieważ pomagało mi w tym wielu wspaniałych muzyków i niektórzy z najwspanialszych producentów na świecie. Jak mówiłam, nie pamiętam wielu szczegółów, bo byłam non stop upalona. Takie jest ryzyko pracy z różnymi twórczymi umysłami, więc fakt, że to się wszystko udało, jest dla mnie czymś po prostu niesamowitym. Pomijając potworną *The State I'm In*, jestem bardzo, bardzo dumna z tej płyty.

SEAN-NÓS NUA

FAITH AND COURAGE ZAWIERA niektóre z najlepszych wokali, jakie w życiu nagrałam. Ale następna płyta, *Sean-Nós Nua* – „nowy-stary styl” po gaelicku – zawiera *właśnie te* najlepsze.

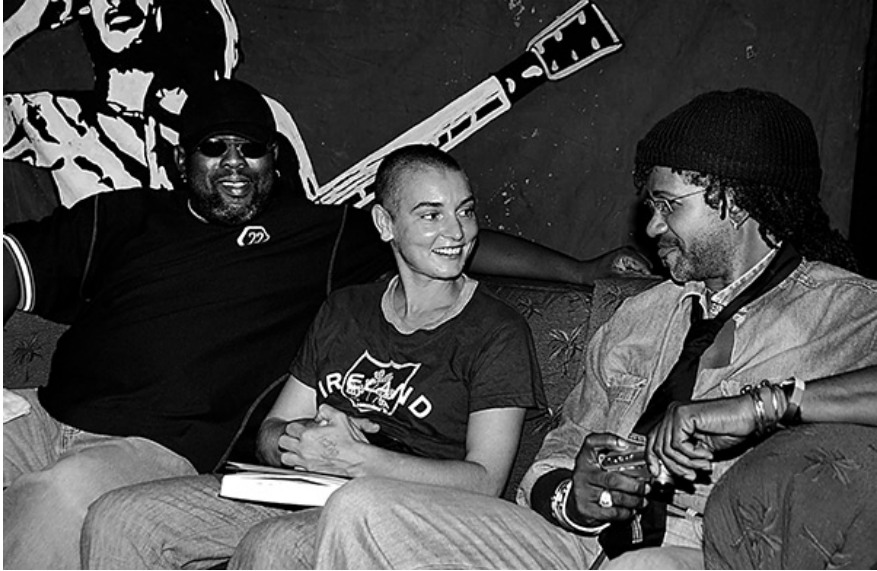
To album-duch, bo składa się z wielu tradycyjnych irlandzkich piosenek, których autorstwa nikt nie pamięta, mam więc poczucie, że są jak widma – by tchnąć życie w te utwory, musisz przyjąć ich osobowość. W czasie powstawania *Sean-Nós Nua* działały się nad wyraz dziwne rzeczy, a nagrywaliśmy go w najbardziej nawiedzonym miejscu, w jakim się dało. Był to niesamowicie dziwny dom na wsi, przy którym rośło drzewo, uważane w Irlandii za nawiedzone, a czasem wręcz za drzewo zła. Niedługo po tym, jak skończyliśmy nagrania, umarło niemowlę, które tam mieszkało. To było strasznie smutne. Na albumie oczywiście są same smutne piosenki, bo w cholernej Irlandii nie pisze się innych.

Utwory na tej płycie są jednak niezwykle piękne. Została ona wyprodukowana przez Dónala Lunny’ego, podobnie jak moje trzecie dziecko, Shane. Gdybyśmy nie nagrali tej płyty, nie poczęlibyśmy naszego pięknego syna. Ponownie zaprosiłam też do współpracy Adriana Sherwooda, ponieważ nikt wcześniej nie przerobił żadnej ze starych irlandzkich piosenek na reggae.

Peggy Gordon to najwspanialsza z nich, celowo zmieniliśmy tonację na wyjątkowo wysoką, żeby brzmiała jeszcze bardziej błagalnie. I nikt nie zaśpiewał lepszej wersji *The Moorlough Shore*, *Molly Malone* czy *The Singing Bird*. Wiem, że koszmarne grzeszę i że pewnie będę się smażyć w piekle za te przechwałki, ale to bardzo, bardzo dobra płyta.

Wciąż jestem dobrą wokalistką, ale nigdy nie będę tak dobrze śpiewać jak wtedy, kiedy nagrywałam *Faith and Courage* i *Sean-Nós Nua*. Byłam w wieku, w którym mój głos był idealny.

Również mój związek z Dónalem Lunnym był – pod względem muzycznym – idealny. Miał doskonały instynkt jako producent. Mieliśmy wspaniałe relacje w pracy, wspaniały zespół i wspaniałego wydawcę. To wszystko naprawdę dobrze razem zagrało. Wydaje mi się, że to płyta dla niszowego odbiorcy. Chociaż przez długi czas była na pierwszym miejscu w Irlandii.



*Podczas nagrań na Jamajce z Robbiem Shakespeare'em (po lewej)
i Sly'em Dunbarem (po prawej)*
FOT. COLLIN REID/AP PHOTO

THROW DOWN YOUR ARMS

W 2005 ROKU MIAŁAM SZCZĘŚCIE pojechać do Kensington na Jamajce i nagrać *Throw Down Your Arms* ze Sly'em and Robbiem (Sly'em Dunbarem i Robbiem Shakespearem), najbardziej niesamowitym zespołem na Ziemi. Nadarzyła się okazja, by wykonać niektóre z moich ulubionych i najmocniej inspirujących piosenek. Same bardzo męskie, rastafariańskie kawałki. W Kensington przez trzy tygodnie wspaniale się bawiłam z moim przyjacielem, który jest totalnym gejem – w tamtym czasie na Jamajce dostawało się dziesięć lat ciężkich robót za homoseksualizm. Musiałam więc dźgać go palcem w brodę, żeby zamykał usta za każdym razem, kiedy się gapił na pięknych mężczyzn. Jego romans z jednym z hotelowych kelnerów kwitł w naszym wspólnym pokoju. Biedny kelner myślał, że jestem żoną mojego przyjaciela.

Nagrywaliśmy w Tuff Gong i, jak zwykle, robiliśmy świetną muzykę i paliliśmy strasznie dużo zioła. Trochę się w sobie zadurzyliśmy z Robbiem Shakespearem i nawiązaliśmy stary, dobry romans. Później, kiedy byliśmy w trasie koncertowej promującej płytę, mieliśmy z Robbiem wielkie łóżko w głębi autokaru. Uwielbialiśmy grać koncerty, ale byliśmy też w sobie szaleńczo zakochani. Ubóstwiałam zresztą wszystkich w zespole, nazywali mnie Mamusią, bo się o wszystkich bardzo troszczyłam.

Moją ulubioną piosenką na *Throw Down Your Arms* jest *Prophet Has Arise*, którą napisało wspaniałe jamajskie trio reggae, Israel Vibration. Ten utwór stawia mnie na nogi, jakkolwiek bym była nieszczęśliwa. Miałam później okazję zaśpiewać z Israel Vibration, pewnego wieczoru w Brixton Academy, kiedy występował tam mój znajomy Benjamin Zephaniah, i było to niezwykle poruszające doświadczenie. Mogłam wziąć głównego wokalistę za rękę

i wykonywać wszystkie moje ukochane piosenki tego zespołu. Na *Throw Down Your Arms* nagrałam też sporo kawałków jamajskiego muzyka roots reggae, Burninga Speara, ponieważ uwielbiam tego faceta. Nauczyłam się też czegoś ważnego: nigdy nie zostawiaj swojego zioła w garderobie, kiedy dzielisz ją z zespołem rasta. Nim wrócisz, nic z tego nie zostanie.

Jeśli mam być szczerą, robiąc *Throw Down Your Arms* byłam trochę umęczona. Niedobrze się działo w moim życiu. Między innymi to zaprowadziło mnie ku duchowości. Tak bardzo wierzyłam w sens nagrania albumu *Throw Down Your Arms*, że zapłaciłam czterysta tysięcy dolarów z mojej własnej kieszeni za jego produkcję. Zmierzałam ku nagraniu *Theology*, płyty, którą, wiercie bądź nie, chciałam nagrać, odkąd miałam siedem lat. *Throw Down Your Arms* jest więc zapowiedzią *Theology*, za którą również sama zapłaciłam (nie pamiętam jednak dokładnie ile).

THEOLOGY

OKOŁO 2000 ROKU PODJĘŁAM NA KRÓTKO studia teologiczne w college'u. Moją pasją były księgi proroków. Mieliśmy przewspaniałego nauczyciela, księdza, który był w stanie ożywić Pismo Święte, kiedy opowiadał o profetach. W szczególności o Jeremiaszu. Mówił: „biedny ludu, biedny ludu”, a z jego oczu płynęły strumienie łez.

Chciałam zrobić to samo w muzyce co on w nauczaniu: ożywić Boga. Pozwolić każdemu dostrzec jego człowieczeństwo, wrażliwość, chimeryczność, emocjonalność.

Pewnego dnia czytałam sobie po cichu Pieśń nad Pieśniami, czekając na rozpoczęcie zajęć, kiedy do sali wszedł nauczyciel. Stuknął w księgę palcem i powiedział: „Powinnaś o tym pisać piosenki?” I tak właśnie zainspirował moją płytę *Theology*. Faktycznie, od dawna o niej myślałam, ale nie wiedziałam, jak się do niej zabrać. W przypadku piosenek religijnych istnieje bardzo cienka granica pomiędzy tym co fajne a tym co kiczowate. Dorastałam w latach 70. XX wieku przy akompaniamencie płynących z radia koszmarnych piosenek w duchu chrześcijaństwa charyzmatycznego. Nie chciałam ryzykować popełnienia takiego błędu.

Theology to mój jedyny album, który zabieram ze sobą do grobu. Kocham go. Praktycznie wszystkie teksty zaczerpnęłam z Pisma Świętego. Jedną stronę zrobiłam w wersji wyłącznie akustycznej, a drugą z pełnym zespołem, bo nie mogłam się zdecydować, która mi się bardziej podoba. Te same piosenki, inne wykonania. Praca polegała na tym, że rozłożyłam na podłodze wielkie arkusze papieru i zapisałam na nich wszystkie ukochane wersety Pisma Świętego, po czym postanowiłam je posklejać, nie ingerując w treść, lecz wprowadzając

rymy, gdzie tylko to było możliwe. I tak oto powstały piękne piosenki, już napisane wcześniej przez Boga.

Pierwszy utwór to *Something Beautiful*. To pewnego rodzaju wyznanie, dlaczego chciałam nagrać tę płytę. Opisuje autentyczną historię, kiedy to ukradłam Biblię (która moim zdaniem powinna być darmowa). Ten utwór jest wyjątkiem, bo jego tekst nie pochodzi z Pisma. „Out of the Depths” to zaś fragmenty jednego z psalmów.

Dark I Am Yet Lovely pochodzi z Pieśni nad Pieśniami. *If You Had a Vineyard* z Księgi Izajasza. *Watcher of Men* z kolei z Księgi Hioba, którą szalenie ciężko zrymować i zmieścić w trzech minutach.

Psalm 33 to inna interpretacja *The Rivers of Babylon* niż ta, do której wszyscy przywykli. Uwielbiam moją wersję, nie dlatego, że jest moja, ale dlatego, że jest piękna: jej słowa mówią o uczuciach ludzi, którzy niszczą swoje gitary, bo ich ciemniący domagają się pieśni. *Psalm 33* nie jest najbardziej przyjaznym z psalmów. Jest w nim strasznie dużo tłuczenia dzieci i takich tam.

Whomsoever Dwells to Psalm 91. Uczyłam się psalmów w doktrynie judaistycznej, w której poznaje się ich magiczne funkcje i zastosowanie w połączeniu z odpowiednimi imionami Boga. Psalm 91 zatrzymuje kule. Wydawnictwo zmusiło mnie też do umieszczenia na albumie *I Don't Know How to Love Him*. Kocham tę piosenkę, ale nie pasuje tutaj. Dokonałam również złego wyboru z *We People Who Are Darker Than Blue*.

Theology była produkowana przez mojego przyjaciela Grahama Bolgera, a także przez Steve'a Cooneya. Niewiele wcześniej Graham miał koszmarny wypadek (do tego wszystkiego w moje urodziny), podczas którego spadł z motoru, przez co został sparaliżowany od pasa w dół. Do mojego domu przynależał domek dla gości, więc zaprosiłam go, żeby się w nim zatrzymał, a on z zaproszenia skorzystał. Dobrze mu zrobiła nasza wspólna praca nad tą płytą, przechodził tak strasznie przygnębiający czas. Mogłam codziennie spotykać się z nim i Steve'em i tworzyć muzykę. Pozwalaliśmy Grahamowi zobaczyć, że życie się nie skończyło. Graham wciąż jest moim bardzo dobrym kolegą i bardzo go kocham. Praca nad *Theology* była naprawdę pięknym doświadczeniem dla nas wszystkich, co jest kolejnym powodem, dla którego ten album jest dla mnie tak wyjątkowy.

Uwielbiam wykonywać te piosenki na żywo. I, jak mówiłam, kiedy złożą mnie w trumnie, to jest to jedyna płyta, którą zabiorę ze sobą do nieba, z nadzieją, że moja muzyka zadoścuczyni za to, jakim jestem koszmarem przez cały pozostały czas.

HOW ABOUT I BE ME

JAKO ŻE OPIEKOWAŁAM SIĘ SWOIMI DZIEĆMI, praca nad następną płytą, *How About I Be Me*, zajęła mi parę lat. Zaczęłam pisać piosenki z innego punktu widzenia – wcześniej pisałam o żałobie, nieszczęściu i o tym, jak byłam wychowywana. A teraz zaczęłam pisać po prostu *piosenki*, z których część została zainspirowana scenariuszami filmowymi. Na przykład *Very Far Away From Home*. Przysłano mi scenariusz, a ja stworzyłam do niego piosenkę. W końcu jednak nie przekazałam jej twórcom filmu. Po prostu zachowałam ją dla siebie.

Back Where You Belong nagrałam do bajki dla dzieci z Emily Watson, *Koń Wodny: Legenda głębin*, która opowiada o potworze z Loch Ness. Tym razem przekazałam ją twórcom i została wykorzystana w filmie, ale zamieściłam ją również na własnej płycie. Nagraliśmy ten utwór w moim dublińskim domu, w dzielnicy Monkstown, a wyprodukował go Daniel Lanois. Daniel ma niezwykle wrażliwą osobowość. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, bardzo się o niego zmartwiłam – grał na gitarze bez kostki podczas koncertu i, kiedy zszedł ze sceny, jego palce były koszmarnie pokaleczone. Miał naprawdę głębokie rany, z których płynęła krew. Zapytałam go, co się stało, powiedział mi, że niedawno zmarł jego brat. Biedak, miał kompletnie zszargane nerwy.

Daniel jest bardzo szczerzy. Pewnego razu próbowaliśmy nagrać własną wersję *Mind Games* Johna Lennona i kompletnie nie radziłam sobie z tą piosenką. Są takie utwory, których po prostu nie potrafię zaśpiewać. Daniel był wobec mnie naprawdę otwarty w tej kwestii. Jest dość bezpośredni, co w nim lubię. Nie podlizuje się, a to dobra cecha u producenta. Jest przy tym niesamowicie łagodny. Zdarzało mi się pracować z potwornie kontrolującymi producentami, którzy chcieli mieć ostatnie słowo, wpływ na tekst i całą resztę. Wynikało to z tego,

że byłam artystką lub kobietą (albo jednym i drugim!). Daniel nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Zawsze był ambitny i jestem mu bardzo wdzięczna za wspólną pracę.

Take Off Your Shoes należy do piosenek, z których jestem najbardziej dumna. Opowiada o Duchu Świętym, który przemawia do papieża i Watykanu w okresie, gdy pojawiają się doniesienia o skandalach w Kościele. Jest z założenia bluźniercza. Uwielbiam ten pomysł, że wcielam się w rolę śpiewającego Ducha Świętego. To praktyczne zastosowanie metody śpiewu Franka Merrimana/Stanisławskiego.

Zaśpiewałam też *Queen of Denmark* Johna Granta. Najlepiej wykonuje się ją na żywo, to świetna zabawa, ponieważ ma najwspanialszy refren ze wszystkich piosenek na świecie: „I don't know what it is you wanna want from me”, „Nie wiem, czego chcesz ode mnie chcieć”. Publiczność eksploduje jak bomba jądrowa, kiedy go słyszy.

Reason With Me jest pięknym utworem o uzależnieniu od twardych narkotyków. Nie żebym była ćpunką, ale jestem nałogową palaczką skrętów. To piosenka o byciu uzależnionym i poczuciu pieprzonej porażki. Kiedyś udawałam, że żadna z piosenek na tym albumie nie jest autobiograficzna, bo nie chciałam o nich mówić. Ale wszystkie takie są.

Oczywiście poza pierwszym kawałkiem, *4th and Vine*. On zdecydowanie nie jest o mnie. Narodził się, kiedy John Reynolds brzdąkał do nagranych podkładów, a na mnie nagle spłynęła wizja kobiet, które podskakują na swoich własnych ślubach. Czasami więc piosenki są po prostu o niczym, a czasami piszę o sprawach, które bardzo pragnę wyrazić.

Proces pisania utworów odbywa się w moim wnętrzu. Nigdy nie jest tak, że siadam z gitarą i próbuję coś stworzyć. Piosenki same się do mnie śpiewają, kawałek po kawałku, kiedy wykonuję nudne prace domowe albo spaceruję ulicami. Nagle pojawia się jakiś urywek. Następny w kolejnym tygodniu. A kolejny jeszcze później. Więc nigdy nie zdarzyło mi się usiąść i tak po prostu spróbować napisać piosenkę. Zwyczajnie pozwalałam im narastać w swoim wnętrzu, niczym konstrukcjom architektonicznym, i siadam z gitarą dopiero wtedy, kiedy utwór jest już we mnie zakończony.

Problemem okazała się okładka do *How About I Be Me*. Byłam rozczarowana, kiedy menedżer i wydawca z Wielkiej Brytanii uznali, że piękny obraz przedstawiający małą dziewczynkę w koszuli nocnej, siedzącą na irlandzkiej fladze, nie powinien zostać wykorzystany. (Na wydaniu, które ukazało się w Unii Europejskiej, umieszczono po prostu mój portret). Nie miałam tutaj jednak zbyt wiele do powiedzenia, musiałam na to przystać. Była to tak naprawdę moja pierwsza płyta, która nie opowiadała wyłącznie o mnie, o moim nastoletnim buncie i buncie młodej kobiety. Zgodzę się, że niektóre z tych piosenek nie są być może najbardziej radosne, ale pisałam je już o innych rzeczach, innych ludziach, w innych okolicznościach i z innych powodów.

Ta płyta wyznacza punkt zwrotny, który rozpoczął się przy: *Sean-Nós Nua*, *Throw Down Your Arms* i *Theology* – stanowiły one dla mnie kolejne stopnie do miejsca, w którym nie leżą mi już na sercu te wszystkie koszmarnie sprawy, które muszę z siebie wyrzucać. To właśnie reprezentuje dla mnie ten album.

I'M NOT BOSSY

WCZEŚNIEJSZE PŁYTY BYŁY MOIMI PAMIĘTNIKAMI, działo się to z konieczności. *I'm Not Bossy, I'm the Boss* uważam niemalże za moją pierwszą płytę. Są to po prostu trzyminutowe piosenki popowe i miłosne. Co ciekawe, kawałek otwierający tę płytę jest zatytułowany *How About I Be Me*, tak samo jak mój poprzedni album – miał znaleźć się właśnie na nim, ale nie zdążyliśmy na mastering. Zamieściłam go więc na *I'm Not Bossy*, bo go uwielbiam. Oryginalnie była to piosenka reggae, ktoś podsunął mi podkład w tym stylu i napisałam do niego słowa. Koniec końców nie pasował mi jednak do niej ten klimat. *Sense Water Deeper Down* była piosenką miłosną. Prawdę mówiąc, opowiadała o Brianie Eno. *Kisses Like Mine* nie dotyczyła z kolei nikogo szczególnego. Tak naprawdę nie mam pojęcia, skąd mi się wzięła, po prostu brzdąkałam na gitarze i kombinowałam.

Podkład do *Your Green Jacket* otrzymałam od Johna Reynoldsa, który wyprodukował ten album. To świetna piosenka o czymś, co robią dziewczyny, czyli o wączaniu ubrań swojego chłopaka. Jeśli kochasz faceta, wączasz jego koszulę albo kurtkę. Jestem pewna, że mężczyźni też tak robią. Niektórym się wydaje, że nosi to znamiona prześladowania, ale nie wydaje mi się, żeby różniło się to specjalnie od *Someone Like You* Adele, w której wyraża ona nadzieję, że facet ją zobaczy i olśni go, że dla niej sprawa nie jest zakończona. Z *Vishnu Room* zrobiłam coś, czego nie zrobiłam nigdy wcześniej: napisałam długą piosenkę, która odślaniała to, jaką potrafię być kobietą. Tak naprawdę nigdy nie pisałam kawałków, w których bym się odślaniała. Słyszałam, jak inni artyści sceniczni mówią to samo. Na przykład Amy Winehouse. Powiedziała kiedyś, że być może nie powinna była filmować swojego własnego pogrzebu w klipie do piosenki *Back to Black*.

Take Me to Church to piosenka o tworzeniu piosenek, i o tym, że to, co piszesz, się spełnia, trzeba więc zachować wielką ostrożność. Narratorka tego utworu opowiada o tym, jak mocno pragnie pewnego mężczyzny. Gdy wreszcie go zdobywa, pada na nią blady strach. Słuchać to w następnym utworze, *Where Have You Been?*.

Poszukiwanie romansu, miłości, zakochiwanie się, zdobywanie tego, czego się pragnie, a później orientowanie się, że chce się uciec w swoją dal, to ciekawa podróż. Ale to nic smutnego. To płyta popowa, na której są piękne piosenki o miłości, i jestem z niej bardzo, bardzo dumna.

A NIEBAWEM...

POMYŚLAŁAM SOBIE, ŻE MOŻE TO BYĆ OKAZJA, żeby trochę opowiedzieć o moim następnym albumie, nad którym właśnie pracuję – latem roku 2020. Ale najpierw cofnijmy się trochę w czasie.

Pan X., pacjent Chicago Veterans Administration Hospital, wcale nie jest trudny, jak twierdziły pielęgniarki. On po prostu chce mieć dostęp do internetu. Jego dolne powieki mają na środku wyżłobienia, pamiątki po oplakiwaniu syna, który zabił się kilka lat wcześniej. Pan X. już prawie nie widzi. Ma za to w sali największy telewizor, jaki w życiu widziałam. Dobrych dziewięćdziesiąt pięć cali. Pacjenta podłączono do ogromnej, białej maszyny tlenowej, która stoi na podłodze obok jego fotela. Umieszczone w nozdrzach rurki są na tyle długie, że może wstawać i chodzić po sali. Ma rozedmną płuc. Całe życie palił. (Wydaje mi się, że czeka mnie taki sam los).

Mówi mi, że nie boi się śmierci, ponieważ wie, że znów zobaczy swojego syna. Przebywa w hospicjum od sześciu tygodni i wcale nie chciał do niego trafić. Jest pełen życia. Nikt by się nie domyślił, że umiera. A ja nie pytam nikogo, nawet jego samego, ile mu jeszcze zostało.

Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, pochodzi z Syrii, walczył za Amerykę w wojnie koreańskiej.

Jego żona zmarła dziesięć lat temu. Pokazuje mi ich piękne wspólne zdjęcia z czasów, kiedy byli młodzi i chodzili na potańcówki, cali wyszykowani. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Pan X. ma jeszcze jednego syna, który żyje, ale mieszka po drugiej stronie kraju, więc nie może być przy łóżku ojca.

To jest na razie moje zadanie, około godziny dziennie.

Pan X. jest objęty programem o nazwie No Veteran Dies Alone, „Żaden weteran nie umrze sam”. Inicjatywa polega na towarzyszeniu w drodze ku śmierci tym żołnierzom, którzy przeżyli swoje rodziny lub po prostu z jakiegokolwiek powodu nikt ich nie odwiedza. Próbuje załatwić internet, ale bez powodzenia. Nie mam pojęcia, dlaczego w szpitalu dla weteranów nie ma wi-fi. Zamiast tego telewizora mogłaby równie dobrze wisieć ryba, więc jedyną rozrywką, jaką ma pan X., jest moja szpetna gęba.

Inny wiekowy dżentelmen czeka na mnie codziennie w holu, ponieważ jestem dla niego zagadką. To weteran z Wietnamu. Również ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Nie wie, czy jestem chłopakiem, czy dziewczyną, ponieważ regularnie przychodzi do szpitala w pełnym stroju baseballowym Babe’a Rutha. A moja głowa jest, oczywiście, ogolona. To coś szokującego dla dżentelmena. Gdy już ustalił, że jestem płci żeńskiej, następnego poranka znów na mnie czeka.

– A więc jesteś lesbijką? – pyta.

– Nie. – Odpowiadam.

– To dlaczego zupełnie obcięłaś włosy?

Jest kompletnie skonsternowany, ale i tak codziennie mnie wypatruje, bo nigdy nie widział heteroseksualnej kobiety bez włosów. Nie rozumie, że tak naprawdę jestem asekualna. A ja nie fatyguję się, by go oświecić, bo i tak jest już wystarczająco zaszokowany.

Opiekuję się też jedną panią, znów dziewięćdziesięciodwuletnią. Podczas drugiej wojny światowej była kierowcą. Teraz spędza całe dnie na kolorowaniu księżniczek Disneja. Kupuję jej grube mazaki z narysowanymi buźkami. Personel kradnie jej je przed moim nosem, jestem tym przerażona.

Kiedy zabieram ją na spacer w wózku inwalidzkim, przełącza się z trybu małej dziewczynki kolorującej obrazki z kreskówek na tryb żołnierki. Bez słów, za pomocą skinienia głowy, pokazuje mi pozycje dla snajperów na dachach szpitala. Autentycznie. Tak na wszelki wypadek.

Nie ma internetu, ale są snajperzy. Kiedy nie ma wojny. I bądź tu mądry.

Mam szczęście, ponieważ żadna z moich dziewczyn i żaden z chłopaków nie umiera, póki nie odejdę z pracy (która jest

wolontariatem), by powrócić do Irlandii. Była to najlepsza i najbardziej inspirująca rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. W efekcie odczuwam głęboką miłość do żołnierzy.

Moja następna płyta będzie więc nosiła tytuł *No Veteran Dies Alone*, na cześć tego programu. Właśnie napisałam piosenkę tytułową. Zadedykuję ją Panu X. Jesienią 2020 roku zaczynam kurs na opiekunkę medyczną, po którym będę mogła uzyskać dyplom umożliwiający pracę przy towarzyszeniu umierającym, co zamierzam robić pomiędzy nagrywaniem płyt i koncertowaniem. Od lat o tym marzę. A teraz sprawię, by to marzenie się spełniło.

DAGGER THROUGH MY HEART

MOJĄ ULUBIONĄ PIOSENKĄ, którą nagrałam we współpracy z innym artystą, jest *Dagger Through My Heart*. Zaśpiewałam ją na płycie stworzonej w hołdzie Dolly Parton, na którą sama wybrała wokalistów. To moja ulubiona kooperacja, ponieważ później otrzymałam uroczy list z podziękowaniem od Dolly, w którym komplementowała moją interpretację jej piosenki. Oprawiłam go i dałam w prezencie mojej macosze, Violi. Obie ją uwielbiamy.

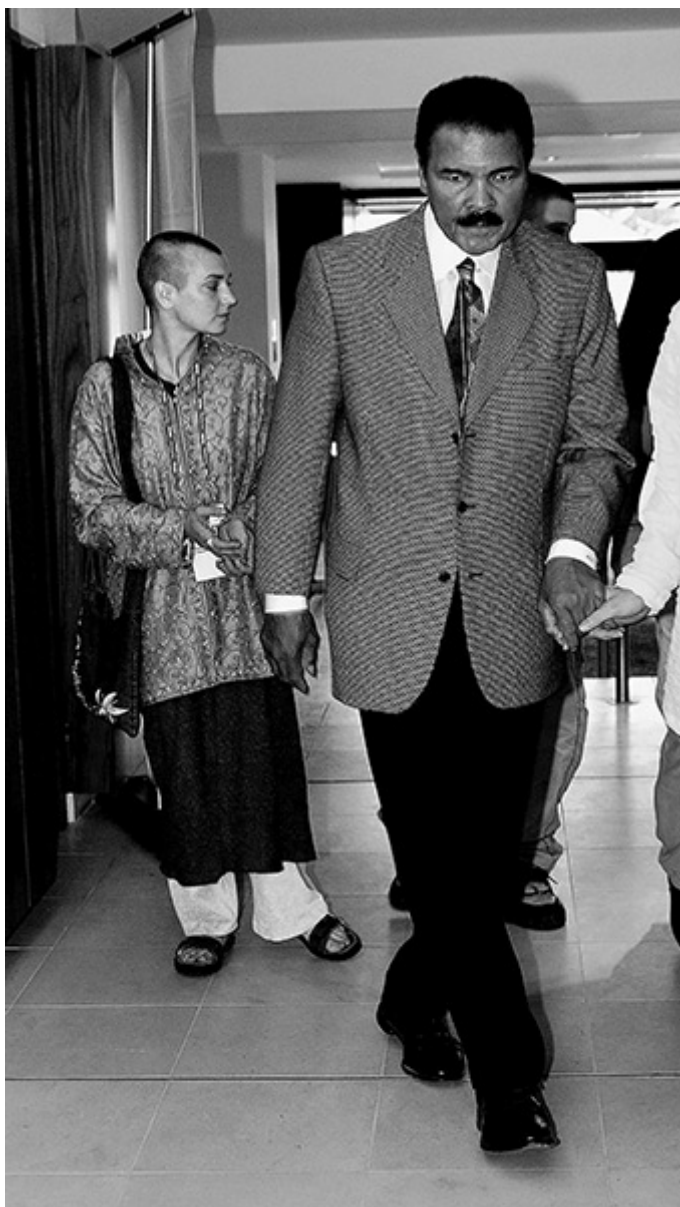
Rozmyślałam o tym w zeszłym tygodniu, kiedy siedziałam sobie na moim ganku z widokiem na morze, patrząc ku furtce, jak to mam zwyczaju robić we wczesne letnie poranki. Nagle na moim podjeździe wyrosła starsza pani o krótkich, białych, rozwianych włosach, która spacerowała z psem. Machała do mnie pustą butelką po wodzie, pytając, czy może ją dla niego napełnić. Miała czerwoną twarz i ewidentnie była zdenerwowana. Widać było, że ciężko jej się oddycha. Wyznała, że ma atak paniki. Posadziłam ją więc i zrobiłam jej kubek herbaty, a w mojej głowie cały czas wybrzmiewała piosenka Dolly.

Moja nowa znajoma cierpiała na dolegliwości sercowe, a że na bulwarze otrzymała od kogoś złe wieści, jej serce waliło jak opętane. Powiedziała, że chociaż pracuje z ludźmi doświadczającymi żałoby, to kiedy samemu ma się świadomość zbliżającej się utraty kogoś bliskiego, serce pęka i tak. Siedziałyśmy razem dobrą godzinę. Była urocza. Cały czas niepotrzebnie przepraszała. Nie wiedziała, że to ona oddaje mi przysługę.

Wczoraj wróciła. Już uczesana i będąca „w pełni sobą”. Tym lepiej zrozumiałam, jak bardzo zdenerwowana była przy naszym pierwszym spotkaniu. Tego dnia szorowałam dom od góry do dołu. Powiedziała, że właśnie idzie zrobić to samo, i ofiarowała mi piękny biały szal.

Wydaje mi się, że uwielbiam go tak samo jak list od Dolly. I mam nadzieję, że jeszcze ją zobaczę, bo jest bardzo wyjątkową kobietą. Nie mogę wam powiedzieć, jakie jest jej imię, ale oto wskazówka: znajduje się w jednej ze śpiewanych przeze mnie piosenek.

Jednak ona wie, że to o niej mowa, i chciałabym jej podziękować. Wielu dziwaków zjawia się na moim podjeździe. Rzadko się zdarza, by był to anioł.



*Podczas igrzysk Special Olympics w Dublinie w 2003 roku
z Muhammadem Alim*

FOT. STRINGER/GETTY IMAGES

THE GREATEST LOVE OF ALL

KIEDY BYŁAM BARDZO MAŁYM DZIECKIEM, moim największym bohaterem i inspiracją był bokser Muhammad Ali. Ojciec co najmniej raz obudził mnie w nocy, żebyśmy mogła zobaczyć którąś z jego najstynniejszych walk, widziałam też wiele nagranych powtórek. Oglądałam telewizję za każdym razem, kiedy był z nim wywiad w wiadomościach. Nigdy nie lubiłam patrzeć, jak się biją. Nie podobał mi się widok czarnoskórych mężczyzn, którzy się tłuką bez opamiętania, aby zapewnić rozrywkę i korzyści finansowe białym mężczyznom.

Jako dziecko byłam też ofiarą przemocy, więc po prostu nienawidziłam oglądać, jak się biją. Sama wizja przemocy w charakterze rozrywki nadal jest dla mnie czymś odrażającym, choć zdarzyło mi się zaśpiewać na walce Conora McGregora. Tuliłam twarz jego matki do własnej piersi, żeby nie musiała patrzeć, co robią jej synowi, już nieważne, co on sam wyczyniał innym. W kwestii afirmacji Ali wyprzedzał swoje czasy. Byłam w niego zapatrzona i jestem pewna, że my wszyscy, wobec których w dzieciństwie stosowano przemoc, czuliśmy tak samo, ponieważ mieliśmy podobne problemy z poczuciem własnej wartości co Afroamerykanie. Nabawiliśmy się tych problemów w inny sposób, ale tak czy inaczej, w pewnym sensie pełniliśmy funkcję niewolników przez małe *n*. Zdaję sobie sprawę, że użycie słowa *niewolnictwo* do opisania dziecięcych ofiar przemocy jest dyskusyjne i być może powinno się za nie przeproszać, ale cóż, już to napisałam.

Tak czy inaczej, wróćmy do tematu. Ali potrafił przebić się przez cały świat, by dotrzeć do salonów irlandzkich dzieci i dać nam znać, że nasi rodzice są w błędzie. Skakanie dookoła, krzycząc: „jestem najładniejsza, najwspanialsza, mogę robić wszystko, co chcę, jestem taka piękna” było w naszym kraju grzechem nie tylko dziecięcych ofiar przemocy, ale i ogólnie katolików. Bo żeby być dobrym katolikiem, musiałeś myśleć,

że jesteś do niczego. Takie było założenie. Im gorzej o sobie myślałeś, tym lepiej Bóg myślał o tobie. Tak więc Ali był w stanie dotrzeć do naszych salonów i rozsadzić od środka teokrację i – nie wiem, jak to nazwać – rodzicokrację? Pozwolił nam dostrzec, że tak naprawdę jesteście piękni. Że da się nas uratować i zbawić.

Ale nie tylko, bo dzięki niemu byliśmy też najwspanialszy i najładniejsi. Pokazał nam, że coś z nas jeszcze będzie. Że wstaniemy z podłogi i pokonamy to wszystko, co nam zrobiono. Pamiętam wywiad, którego udzieliła kilka dekad temu jego córka Laila, również bokserka. Zapytano ją: „Czy wierzysz w Boga?”. A ona odparła w te słowa – prawie mam łzy w oczach, jak o tym myślę – „Żebyśmy wierzyły w Boga, wystarczy, że spojrzę na mojego ojca”. To oddaje również moje uczucia wobec niego i jestem pewna, że podziela je cały świat.

Najbardziej niezwykłym doświadczeniem mojego życia, poza urodzeniem dzieci, było spotkanie Muhammada Alego. Nie tylko go poznałam, ale razem z moim najstarszym synem Jakiem stanowiliśmy jego eskortę na Olimpiadę Specjalną w Dublinie w 2003 roku. A oto jak do tego doszło.

W Dublinie grało Bon Jovi, a koncert był tak głośny, że narzekali na niego sąsiedzi. Słyszeć go było też tam, gdzie wówczas mieszkałam, czyli jakieś trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym się odbywał. W dniu koncertu ktoś zadzwonił do mnie z pytaniem, czy chciałabym pójść na afterparty do dublińskiego hotelu o nazwie Berkeley Court, gdzie kiedyś zatrzymywały się wszystkie snoby, a ja przyjąłam zaproszenie.

Na przyjęciu zaczynam rozmawiać z ówczesną żoną Jona Bon Jovi, bardzo piękną kobietą. I jakoś tak się składa, że mówię jej, jak ogromnie uwielbiam Muhammada Alego, a ona na to: „O mój Boże, a my jutro się z nim spotykamy, bo Ali i Nelson Mandela są gospodarzami tutejszej Olimpiady Specjalnej”. Nie myślę o tym zbyt intensywnie, a po chwili zaczynam rozmawiać z jej mężem, Jonem Bon Jovi. Nie znam go za dobrze, ale jest uroczym facetem. Gadamy przez moment i on rzuca: „Ach tak, jutro mamy spotkanie z Muhammadem Alim”. Nie śmiem powiedzieć: *Tak bardzo chciałabym go poznać*. Zamiast tego mówię: „Boże, zaraz tu umrę z zazdrości, bo to mój największy bohater”.

Zapominam o tym i idę do domu. Tak właściwie, to kiedy wychodzę od Jona Bon Jovi, udaję się kawałek dalej, żeby spotkać się z pewnym znajomym. Od słowa do słowa lądujemy w łóżku, i poczynamy moje trzecie dziecko, co nie powinno się wydarzyć, ponieważ nie byłam ani trochę blisko połowy cyklu – prawdę mówiąc, miałam menstruację. Syn urodzi się w urodziny swojego ojca, dwa tygodnie przed terminem. To ktoś, kto po prostu musiał przyjść na świat, a jednym z jego imion jest Ali – ponieważ został poczęty w tygodniu, w którym poznałam Alego.

W niedzielę rano dzwoni do mnie ktoś, kto podaje się za agenta sportowego Muhammada Alego, i pyta, czy chciałabym przyjechać z Jakiem do Berkeley Court Hotel, żeby poznać pięściarza. Cóż za pytanie! Oczywiście, że chcemy poznać Muhammada. Wyciągam syna z łóżka i pędzimy na miejsce, a gdy tylko wchodzimy do pokoju, bokser robi w moją stronę dzióbek... chce, żebym go pocałowała. To wystarczy, żeby ogarnęła mnie panika, i myślę sobie: *Boże, ten facet jest jak mój ojciec*. Oczywiście nie ma tutaj podtekstu seksualnego, to platoniczne, więc daję mu buziaka i myślę: *A niech mnie, ucałowałam usta Muhammada Alego*.

Ali, który cierpi już wtedy na chorobę Parkinsona w końcowym stadium, zaczyna żartować sobie z Jakiem, co jest bardzo urocze. Wstaje z fotela i robi magiczną sztukę. Staje przy drzwiach i podnosi jedną nogę, a drugą w jakiś tajemniczy sposób ukrywa, przez co wygląda, jakby unosił się w powietrzu. A może faktycznie lewituje? Daje mi też uroczy prezent, jakim jest kolekcja zawartych w Biblii sprzeczności, które sam zebrał. Siedzimy sobie po prostu w pokoju i rozmawiamy z jego żoną i rodziną, aż nadchodzi pora, by iść. Lecz tuż przed tym, zanim wyjdziemy, podchodzi do nas jego agent i pyta, czy chcielibyśmy towarzyszyć panu Alemu na Olimpiadzie Specjalnej. I nim zdążę się zorientować, już jesteśmy z żołnierzem w wojskowym samochodzie. Stanowimy eskortę Muhammada Alego i jego towarzystwo. Jesteśmy z nim sami, jako jedyni pomagamy mu przez cały wieczór.

Towarzyszy nam też oczywiście jego rodzina, ale to nam przydzielono opiekę nad panem Alim. Kiedy idzie korytarzem, by zająć swoje miejsce w Croke Park i zaczekać na rozpoczęcie Olimpiady, muszę

pomóc mu włożyć kurtkę. Robiąc to, jestem bliska łez. Idzie tuż przede mną i nie może sobie z nią poradzić, więc prosi mnie o ratunek. Widzę w nim ojca. Pomagam włożyć kurtkę ojcu. Nawet teraz, gdy o tym pomyślę, zbiera mi się na płacz.

Niech Bóg nam wybaczy, ale razem z Jakiem przybraliśmy postawę „chrzanić Nelsona Mandelę”. Oczywiście wszyscy chcieli go poznać, i wszyscy też chcieli poznać Alego, ale ludzie się podzielili niemalże po linii bojowej. Było się z drużyny Alego albo z drużyny Mandeli, a my całymi sobą przynależeliśmy do tej pierwszej.

Kiedy wychodziliśmy, żeby odprowadzić Muhammada do samochodu, ujrzałam drugi z kolei najpiękniejszy widok w życiu – wszyscy pracownicy cateringu, starzy i młodzi, stali i płakali, wręcz szlochali, że go widzą. Częściowo pewnie dlatego, że było im go żal, co jest moim zdaniem straszne, bo nikomu nie powinno być żal Alego. Może i jego ciało dotknęła choroba, ale z pewnością nic złego się nie działo z jego umysłem. Zresztą nieważne, nigdy nie widziałam nic równie niezwykłego, dosłownie każdy kawałek wolnej przestrzeni w oknach i drzwiach części cateringowej wypełniony był twarzami pragnącymi zobaczyć, jak święty mąż idzie przez to miejsce.

Po tamtym wieczorze przez jakiś czas utrzymywałam kontakt z agentem Alego, z którym, szczerze mówiąc, również miałam wielką ochotę iść do łóżka (w tamtym tygodniu naprawdę miałam niezłą owulację). Ale na szczęście mieszkał z nim kolega, więc do niczego nie doszło. Ofiarowałam mu rasta pierścień z lwem.

Och, zapomniałam wam o czymś opowiedzieć. W pewnym momencie, kiedy byliśmy na zapleczu, Ali narysował na obrusie piękny obrazek. Przedstawiał wielki statek płynący doliną. Po drugiej stronie obrusu odwzorował jedną ze swoich walk w miniaturowej formie. Siedzimy w garderobie i mierzymy się wzrokiem z żołnierzem: „Przegrasz”, „Nie, to ty przegrasz”, „A właśnie, że ty”. Rywalizowaliśmy o obrus. Oczywiście, że wygrałam. Ali podpisał go dla mnie i mi go wręczył, a mniej więcej rok temu przekazałam go mojemu synowi Jake’owi, który ma już trzydzieści dwa lata. Chciałam poczekać, aż będzie wystarczająco dorosły, by o niego zadbać.

Całe to wydarzenie miało magiczny wymiar i nigdy bym sobie nie wyobraziła, że mi się przytrafi. Mam masę szczęścia, że każda rzecz,

o której kiedykolwiek marzyłam, się spełniła. A nawet więcej, spełniły się marzenia, których nawet nie ośmieliłam się mieć. Więc gdyby nie tamten tydzień, i gdyby nie fakt, że ojciec mojego syna mieszkał akurat przy tej właśnie ulicy, i gdyby, dzięki Bogu, agent Muhammada Alego nie dzielił z kimś pokoju, mojego syna nie byłoby na świecie. Nazywa się Nevi'im Nesta Ali Shane. Nevi'im to hebrajskie określenie ksiąg proroków. Wiedziałam, że będzie na wpół pozbawiony ojca, chciałam więc, by prorocy pełnili funkcję jego męskich przewodników.

Nesta to prawdziwe imię Boba Marleya. Ali to, oczywiście, wybrany przeze mnie ojciec chrzestny – na spółkę z Dylanem – a Shane to imię po moim przyjacielu, muzyku Shanie MacGowan. Był to więc niezły tydzień i muszę podziękować Muhammadowi Alemu za życie mojego syna. To najbardziej niezwykłe doświadczenie w moim całym życiu (oczywiście poza urodzeniem dzieci).

LOU REED

JEDYNY RAZ – O KTÓRYM PAMIĘTAM – kiedy poraziło mnie na widok gwiazdy innej niż Ali, to było, kiedy spotkałam Lou Reeda, człowieka, którego nie wiedziałam, że tak uwielbiam, dopóki go nie poznałam. Zakochałam się w jego płycie *New York*, a szczególnie w kawałku *Busload of Faith*, i w kółko go słuchałam. Aż tu nagle jestem w Carnegie Hall i mam zaśpiewać na koncercie z okazji pięćdziesiątych urodzin Rogera Daltreya. A w tamtym czasie byłam dość niegrzeczna i pytałam wszystkich, czy mogę zaśpiewać im chórki.

Rozgłosiłam więc wszem wobec, że jeśli to możliwe, chciałabym zaśpiewać je Lou Reedowi. I nim się obejrzałam, Lou Reed stawił się w mojej garderobie. Czułam, że uważa mnie za bezczelną, że pytam o te chórki. Ale gdy mówił, że rzeczywiście mogę to zrobić, nie widziałam nic innego jak tylko jego poruszające się usta – dobiegał do mnie dźwięk *ziu, ziu, ziu*, jakbym była na kwasie. Choć widziałam ruchy jego ust i twarzy, nie rozumiałam ani słowa. Przypominało to atak paniki. Musiałam znaleźć moją przyjaciółkę Doodles, która wtedy odwiedziła mnie za kulisami. Trzymała mnie za rękę przez pół godziny po jego wyjściu. Zaśpiewałam chórki u Lou, chociaż nie pamiętam do jakich piosenek, ponieważ nie byłam wtedy na planecie Ziemia, tylko gdzieś w niebie. A niedługo po tym znów dzieliłam z tym pięknym mężczyzną inne piękne doświadczenie.

Miałam wziąć w Londynie udział w koncercie zatytułowanym *The White Room*. Pomysł był taki, by ustawić w okręgu sześć czy siedem zespołów, i każdy z nich miał zagrać dwie piosenki, a później następnymi dwiema i tak dalej. Kiedy przyjechałam na próbę generalną, wszyscy odwrócili się do mnie plecami, bo za to co robiłam w *SNL* przyjęło się traktować mnie jak wariatkę, pariasa. Więc poza moim własnym

zespołem nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Ale nadal wszyscy byli podekscytowani, że w koncercie bierze udział Lou Reed.

Kiedy Lou przyjechał na próbę, nie omieszkął zignorować absolutnie wszystkich w sali poza mną. Zadał o to, by mnie odnaleźć i trzymał się mnie. Ostentacyjnie ciepło mnie przytulił, jakbyśmy bardzo dobrze się znali. Było to bardzo miłe, bo nie musiał tego robić, a zmieniło to sposób, w jaki wszyscy na mnie reagowali. Podczas mojej próby i występu odnosili się do mnie z odrobiną szacunku. Od tego czasu mam ciepłe miejsce w sercu dla pana Lou Reeda i dość dużo o nim myślę.

LEKCJE I PRAWDZIWE HISTORIE

NAJBARDZIEJ NA ŚWIECIE UWIELBIAM – poza moimi dziećmi oczywiście – występy na żywo. Jednym z tematów, który wraca do mnie, kiedy zaczynam się szykować do wyruszenia w kolejną trasę (czyli gdy tylko skończy się pandemia), jest to, jak dziwna i czasem niebezpieczna bywa sława.

Wiele lat temu graliśmy koncert w Las Vegas, wydaje mi się, że było to w Hard Rock Café. Na widowni był Johnny Depp i po występie przyszedł za kulisy. Jego odwiedziny przypadły na moment, gdy już tak długo byliśmy w trasie, że lekko nam odjęło rozumy.

Caroline Dale, moja wiolonczelistka, miała torbę, która wyglądała jak dziecięca przytulanka w kształcie owcy. Nazywaliśmy ją barankiem Shaunem. Była z nami wszędzie podczas tego wyjazdu i stała się naszą maskotką. Tej nocy w Vegas postanowiliśmy urządzić ślub baranka z innym pluszakiem, który w jakiś sposób trafił do naszego ekwipunku. Była to wymyślna ceremonia i Johnny Depp musiał stać i oglądać, jak odprawiamy czterdziestominutowe zaślubiny.

Nie muszę chyba dodawać, że nigdy więcej go nie widziałam. Chociaż nie, to nieprawda. Całkiem niedawno spotkałam go na imprezie z okazji sześćdziesiątych urodzin Shane’a MacGowana i sam z siebie bardzo uprzejmie powiedział, że tak naprawdę tamtej nocy doskonale się bawił. Jestem pewna, że po prostu uznał nas wtedy za wariatów. Może to przypadek, ale wydarzyło się to, gdy Johnny miał w Vegas zdjęcia do filmu *Las Vegas Parano*, w którym grał Huntera S. Thompsona.

Jak już jesteśmy przy dziwnych spotkaniach, bądź dziwnych niespotkaniach, to krąży historia, że na jakiejś kolacji dla wyższych sfer poznałam Johna F. Kennedy’ego Juniora, który dał mi swój numer telefonu, a ja podarłam kartkę. Jest to wierutna bzdura. Świetna

anegdota, ale nigdy go nawet nie spotkałam. A gdyby tak było, rzuciłabym się na niego jak małpka, podobnie jak zrobiłaby każda inna kobieta. Tak, musiałabym być lesbijką, żeby nie skorzystać z tego numeru telefonu.

Pojawiły się też różne nieprawdziwe teorie dotyczące mnie i Anthony'ego Kiedisa z Red Hot Chili Peppers. W swoich wspomnieniach *Scar Tissue* opisuje nasz pocałunek. Który nigdy nie miał miejsca.

Kiedis twierdzi, że mieliśmy jakiegoś rodzaju romantyczną relację. Tylko w jego wyobraźni.

Spędzaliśmy kiedyś razem czas, on jest bardzo miłym dżentelmenem – pamiętam nawet, jak raz pomógł mi zawieźć syna do szpitala. Wkurzyłam się, kiedy spróbował posunąć się dalej. Niech Bóg ma go w swojej opiece. Rozbudził we mnie temperament O'Connor. Jednak nie dlatego, że wtedy spróbował mnie pocałować, ale dlatego, że wrócił do tematu, na własne życzenie dolewając oliwy do ognia. Nie ze mną takie numery. Niczego między nami nie było.

PAN GRUBSZA SPRAWA

NIE TYLKO PLOTKI SĄ KŁOPOTLIWE, kiedy jest się sławnym. Istnieje także ryzyko, że niektórzy ludzie będą chcieli cię zranić dla zysku.

Tak zwana przyjaciółka znalazła na moim iPadzie zdjęcie, które sobie zrobiłam, i wysłała swojemu byłemu mężowi, który ma nadzwyczajną słabość do bilardu. Na fotce nie mam na sobie nic poza kusym wdziankiem przypominającym strój francuskiej pokojówki i widać mi cały tyłek.

Całe szczęście, że posiadam prawa autorskie do tej fotografii, bo moja tak zwana przyjaciółka przekazała ją jakiemuś półgłówkowi, a ten obdzwania teraz irlandzkie gazety, próbując im je sprzedać. Znajomy reporter zadzwonił do mnie, żeby dać mi cynk.

Jestem zdeterminowana, by zapobiec publikacji, więc biorę od reportera numer telefonu do półgłówka, któremu wysyłam SMS-a, podając się za dziennikarza z angielskiego brukowca, który chce kupić tę fotkę. Łyka to. Umawiam się z nim na stacji benzynowej jakichś osiem kilometrów od domu. Podjeżdżam wcześniej, w długiej brązowej peruce. Siedzę sobie cichutko w samochodzie przez jakieś dwadzieścia minut, aż udaje mi się namierzyć, w którym siedzi aucie. Okazuje się, że zaparkował dokładnie obok mnie.

Idę do sklepiku, udając, że chcę coś kupić. Kiedy wracam, zatrzymuję się przed jego samochodem i zaczynam ostentacyjnie robić zdjęcia tablicy rejestracyjnej.

Jest zdumiony. Patrzy na mnie i zastanawia się, *Czego chce ta kobieta?* Nim wrócę do samochodu i zdążę zapiąć pasy, doznaje olśnienia. Odjeżdża z piskiem opon w kierunku autostrady. Ruszam za nim swoim siedmioosobowym matkowozem, i tak gonię go przez jakieś pięć kilometrów. Wywiązuje się autentyczny pościg, który trwa do momentu, aż on skręca w lewo swoim bardziej zrotnym pojazdem.

Zagłębia się w wiejską dróżkę, udaje mu się ukryć. Dobrze zna ten teren. Mieszka tu.

Dzwonię do niego. Robi w gacie ze strachu. Informuję go, że posiadam prawa do zdjęcia. Nie chce się przyznać, że ma je od mojej tak zwanej przyjaciółki. Ale tak jest – ona jedyna korzystała z mojego iPada.

Twierdzi, że strasznie mu przykro i że skasuje zdjęcie. Nigdy już o nim nie usłyszę. I nie zobaczę też tak zwanej przyjaciółki. To nie pierwszy raz, kiedy wykorzystwała mnie dla pieniędzy. Jest mi z tego powodu bardzo smutno. Zawsze podkładała mi rzeczy. Podobnie jak inni. Złamałoby mi to serce, gdyby nie było już złamane.

JAKE, ROISIN, SHANE i YESHUA

MAM CZWORO DZIECI, które mają czterech różnych ojców. Tylko jeden z nich był moim mężem, za to miałam trzech innych mężów, z którym nie mam żadnych dzieci.

Mogę z całą szczerością powiedzieć, że ojciec mojego pierwszego dziecka i ojciec ostatniego są moimi najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Jednak gdybym spotkała któregoś z ojców dwójki środkowych dzieci, przeszlibyśmy na drugą stronę ulicy na swój widok.

Jak pisałam wcześniej, mój pierwszy syn, Jake, był bardzo miłą niespodzianką. Został poczęty, ponieważ moja przyjaciółka powiedziała mi, że czternasty dzień cyklu jest tym najbezpieczniejszym, nie kochałam się więc z jego ojcem aż do dnia numer czternaście. Miało to miejsce w jakimś miasteczku w Anglii, przy dobiegających z telewizora dźwiękach koncertu Madonny.

Wydaje mi się, że Jake trochę ucierpiał z tego powodu, że urodziłam go w tak młodym wieku i nagle odniosłam niezwykły sukces w branży muzycznej – moja pierwsza płyta ukazała się trzy tygodnie przed jego narodzinami. Nie powiedziałabym też, że w wieku dwudziestu lat rozumiałam pojęcie bezinteresowności tak, jak się powinno je pojmować, zostając rodzicem.

Wiem, że byłam dobrą matką dla Jake'a i pozostałej trójki moich dzieci, ale trudno jest nią być, jednocześnie koncertując. Byłam czuła i kochająca, ale też często nieobecna, a kiedy już byłam w domu, działałam jak automat – zmęczona i wyczerpana. Strasznie się też bałam, że okażę się wcieleniem mojej własnej matki. Zawsze pilnowałam, żeby mieć nianię. Koniec końców mogło to przeszkadzać Jake'owi. Wydaje mi się, że niesłusznie odebrał to jako jakiś przejaw obojętności, ale ja chciałam mieć pewność, że moje dzieci nigdy nie będą musiały przechodzić przez to co ja. Jeśli nachodził mnie dziwny

nastrój, szłam na górę albo wychodziłam z domu, a moje dzieci nie musiały mnie takiej oglądać.

Urodzenie Jake'a, kiedy byłam bardzo młoda, miało swoje zalety, a szczególnie tę, że byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Z wiekiem jeszcze mocniej zbliżyliśmy się do siebie. Często zachowujemy się raczej jak kumple niż jak matka z synem, co chyba niekoniecznie bywa dobre, ale od początku mieliśmy niezwykle piękną relację.

Dla moich dzieci zawsze problematyczne było moje gotowanie. Nie jestem dobrą kucharką. To wręcz mało powiedziane: można by zburzyć dom lub wybić okno za pomocą dowolnej z moich potraw. W rezultacie Jake w bardzo młodym wieku został świetnym kucharzem, a teraz pracuje jako główny szef kuchni w restauracji w Dublinie. Kieruje się niesłychaną etyką pracy, z której jestem szalenie dumna. Jest bardzo, bardzo pracowitym młodym człowiekiem.

Jake ma już dwójkę własnych dzieci, córkę Naime i syna Louiego, więc jestem babcią dwojga pięknych wnucząt, aktualnie w wieku roku i trzech lat.

Kiedy dwa czy trzy lata temu zachorowałam, Jake'owi ciężko było przy mnie być. Ale cieszę się, mogąc znów powiedzieć, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Kocham to dziecko całą moją duszą, tak jak i wszystkie moje dzieci. Właściwie to każdemu z nich mówię w tajemnicy, że jest moimi ulubieńcem, po czym dodaję, żeby nie mówić o tym pozostałym. Za każdym razem, jak widzę któreś z nich, powtarzam: „Jesteś moim najlepszym dzieckiem. Nie mów reszcie”.

Moja córka, Roisin, nie była niespodzianką – była planowana. Jej ojcem jest mężczyzna o nazwisku John Waters, dziennikarz, który pisał do „Irish Times” w Irlandii. Poznaliśmy się przy okazji wywiadu, który ze mną przeprowadzał na temat mojej kontrowersyjnej piosenki *Famine* z albumu *Universal Mother*.

Nie mogę powiedzieć, że się w sobie zakochaliśmy, tak nie było. Krótco wcześniej poroniłam. Dobrze się dogadywaliśmy i postanowiliśmy mieć ze sobą dziecko, z góry ustalając, że nie będziemy parą. Poczęliśmy więc Roisin i umówiliśmy się, że będzie spędzała połowę czasu z ojcem, a połowę ze mną. Ja nie mam relacji

z Johnem, ale jest on fantastycznym ojcem, absolutnie wspaniałym ojcem.

Jestem bardzo dumna z Roisin, szczególnie dlatego, że tak się dobrze zachowywała w czasie dorostania. Nie opowiem wam żadnych krępujących historii z tego okresu. Mogę za to wyznać, że posiada anioła stróża. Nie tylko ja go widziałam, wielu jej przyjaciół również dostrzegło jej aniołka.

Nie wierzyłam znajomym Roisin, gdy mi mówili, że go widzieli. Nie wierzyłam też mojemu chłopakowi, kiedy zapewniał, że na własne oczy zobaczył małą rudą dziewczynkę. A przynajmniej do czasu, aż będąc w ciąży z moim trzecim dzieckiem, Shane'em, spałam z Roisin w jednym łóżku. Obudziłam się i proszę, oto był z nami aniołek, siedział na Roisin, podpierając głowę rączkami, jakby był znudzony i czekał, aż Roisin się obudzi. Tak właśnie zobaczyłam tę małą rudowłosą dziewczynkę w czerwono-białej bluzie.

Było to tak zupełnie niestraszne, że poszłam z powrotem spać. Kiedy znów się obudziłam, jakąś godzinę później, dziewczynka wciąż siedziała na Roisin. Znów zasnęłam i kiedy kolejny raz się obudziłam, małej już nie było. Tydzień później zrobiłam Roisin awanturę o stan jej pokoju (który nazywałam śmieciarnią, a nie sypialnią) i wielka, czterolitrowa butla wody sama zsunęła się ze stołu na podłogę. Najwyraźniej anioł stróż nie był zadowolony, że wściekam się na córkę.

W dniu swoich drugich urodzin Roisin podbiegła do stołu, na którym leżał nóż do krojenia mięsa. Jego szpikulec znalazł się dokładnie na poziomie jej oczu. Kiedy była w odległości milimetra od niego, ostrze uniosło się w powietrze i przesunęło w lewo od jej twarzy – oczywiście działanie jej anioła stróża. Nigdy nie widziałam ani nie słyszałam aniołów stróżów moich pozostałych dzieci, choć zakładam, że je mają. Za to aniołek Roisin ma tak silną osobowość, że jest widzialny.

Co ciekawe, podobnie jak Jake, Roisin też okazała się kucharką, ale ona akurat zajmuje się wypiekami. Miała praktyki w Paryżu, a teraz pracuje w Irlandii. Ma drobne, zwinnie dłonie. Zawsze potrafiła wykonywać swoimi delikatnymi paluszkami najdrobniejsze stworzenia Tamagotchi, a teraz przyrządza piękne ciastka i wegańskie ciasteczka.

Myślę, że to niesamowicie zabawne, że dwoje moich dzieci – na razie – zostało świetnymi kucharzami. Zauważam jednak, że nie wysyłają swojej matce paczek żywnościowych. Jako że cierpię na łagodną formę anoreksji, rozważam czasem głodzenie się, ale i tak bym chciała, żeby przyszło do mnie pudełko ciastek od Roisin. Mam więc nadzieję, że jak przeczyta tę książkę, to mi je przysśle.

Roisin lepiej nie podpadać. A można to wyłącznie zrobić, przejawiając brak tolerancji. Jeśli Roisin się o tym dowie, wstanie i odejdzie. Dzięki Bogu nie ma temperamentu po mamusi, więc w milczeniu odwróci się do ciebie plecami i nie będzie sobie sprawiać kłopotu, by kiedykolwiek jeszcze z tobą porozmawiać. Podziwiam jej umiejętność odchodzenia od kłótni. Ja mam skłonność do tego, by biec ku niej. Pod tym względem aspiruję do bycia bardziej jak moja córka.

Roisin jest w szczęśliwym związku małżeńskim z uroczym mężczyzną, którego nazywa Poldy. Jest dokładnie taki jak brat Roisin, Jake, co jest bardzo słodkie. Roisin ma absolutnie piękną relację z Jakiem i miała ją od początku – dosłownie siadają sobie na kolanach, ściskają się i przytulają. Nie wydaje mi się, żeby się kiedykolwiek pokłócili. Jeśli podpadniesz Roisin, będziesz musiał poradzić sobie z Jakiem, i uwierz mi, tego wolisz nie próbować.

Shane to moje trzecie dziecko, urodzone w 2004 roku. Był niespodzianką. Jego ojciec był wówczas żonaty, więc moja ciąża wiązała się z wielkimi kontrowersjami.

Wciąż mam spory sentyment do Dónala Lunny’ego, ojca Shane’a, chociaż nie jesteśmy ze sobą blisko. Było nam z Shane’em niezwykle ciężko.

Shane jest wybitnie wyjątkową osobowością, ma silne zdolności spirytystyczne i jest bardzo, bardzo uduchowiony. Kiedy miał trzy lata, pewnego dnia spytał mnie: „Czy kiedy mieszkałem w twoim brzuszku, było trzęsienie ziemi?”. Z początku powiedziałam, że nie, ponieważ zapomniałam, że jednak tak. Kiedy byłam w dwutygodniowej ciąży – nawet nie byłam jej jeszcze świadoma – spędzałam wakacje na Malcie i doświadczyłam trzęsienia ziemi. Prędko wyleciało mi to z głowy, nigdy o tym nie wspominałam. Shane’owi też o tym nie mówiłam, nie

wydaje mi się, żebym dzieliła się tym z kimkolwiek. Jednak to trzyletnie dziecko zdołało mi przypomnieć, że faktycznie, przeżyłam trzęsienie ziemi. Nie wiem, jak Shane się tego dowiedział.

Innym razem, siedząc w kąpielni, zapytał mnie: „Czy kiedykolwiek spotkałaś Boga?”. A ja odparłam, że cóż, może i tak, miałam trochę magicznych doświadczeń i być może na pewne sposoby go spotkałam. Mały zacmokał na mnie z dezaprobatą, podczas gdy woda odpływała z wanny, i rzekł: „Nie tak się spotyka Boga. Trzeba spełniać swoje marzenia”.

Kiedy Shane miał osiem lat, przeszedł diagnozę i został uznany za geniusza. Powiedziano mi, że jego zdolność uczenia się, słownictwo i rozumowanie matematyczne są na poziomie szesnastolatka. Zaczął studiować nauki ścisłe w college’u z dorosłymi w Dublinie, ale chodzenie tam nie sprawiało mu radości, więc nie potrwało to długo.

Shane bardzo mi przypomina Clintę Eastwooda. Może wpakować się we wszelkiego rodzaju kłopoty, ale ponieważ jest spokojny, uroczy i autentycznie czarujący, potrafi lawirować między problemami tak, że nie robią mu koszarnej krzywdy. Podziwiam w nim tę cechę.

Wiem, że dzieci takie jak Shane mają opinię trudnych i stanowią dla rodziców wyzwanie. Dla mnie jednak nie ma w nim nic trudnego, bo sama jestem nietypową matką. On nie jest kwadratowym klockiem do wpychania w okrągły otwór. Wydaje mi się, że jest najbardziej do mnie podobny ze wszystkich dzieci – z wyglądu i z charakteru. Jack Nicholson mógłby powiedzieć, że Shane jest spoko luzakiem.

Podaję, że ten dzieciak zajmie się pomaganiem ludziom. Może też okazać się bardzo dobrym kucharzem. Raczej umarłby z głodu, niż zjadł cokolwiek, co ja przyrządzę. Należy do ludzi, którzy nie potrzebują przepisów. Wrzuca cokolwiek do garnka czy na patelnię i wychodzi mi coś pysznego. Kolejny dowód na moje koszarne, koszarne gotowanie. Tyle dobrego, że umiem przygotować sobie superdziecko.

Yeshua był planowany. Urodził się jakieś dwa tygodnie przed terminem, dziewiętnastego grudnia 2006 roku. Co ciekawe, kiedy byłam z nim w ciąży, jedyną moją zachcianką była cisza. W przypadku innych dzieci moje kaprysy były typowo kulinarne: w ciąży z Jakiem – kiełbasa i kiwi, z Roisin – piklowane limonki, a z Shane’em – zapiekanka rybna. Yeshua pragnął zaś tylko ciszy.

Musiałam zamykać się w ciemnym pokoju i siedzieć tam w kompletnym milczeniu. Okazało się, że Yeshua wyrósł na bardzo cichego człowieka. Jego ojciec, Frank Bonadio, ma córkę o imieniu Claire, która jest w tym do niego podobna. Moja babcia również miała w sobie ciszę. I Yeshua jest taki sam.

Uwielbia mieć własną przestrzeń i lubi samotność. Jest niezwykle twórczą istotą i myślę, że zdecydowanie będzie w przyszłości śpiewać – ma fenomenalny głos, wybitny talent muzyczny. Tak dobrze gra na pianinie, że można pomylić go z nagraniem.

Rzadko się zdarza, żeby odbierało mi mowę, ale kiedy słyszę jego grę i śpiew, przez dobrych dziesięć minut nie mogę wydusić z siebie słowa. Gdy tylko zaczyna występ, tracę kontakt z rzeczywistością. Yeshua zepchnie mnie kiedyś ze sceny i z łatwością przebije. Celowo jestem dla niego bardzo miła (podobnie jak reszta rodziny), bo uważamy, że jeszcze przed dwudziestką zostanie milionerem i chcemy być pewni, że będzie wobec nas szczodry.

Niedawno zamienił się w nastolatka, który szaleje na punkcie superbohaterów i Harry'ego Pottera. Jeśli go spotkacie, będzie mówił tylko o tym, którym superbohaterem chciałby być i jaką chciałby mieć supermoc. Jest autentycznie zdruzgotany, że żadnej nie posiada. Chociaż zawsze mu powtarzam, że to nieprawda: ma wielkie, pełne empatii serce i ogromną ilość miłości do ludzi. Oczywiście odcina mi się: „Nie można uratować wszechświata swoim wielkim, pełnym empatii sercem”, lecz ja się z nim nie zgadzam.

Yeshua jest jednym z najzabawniejszych ludzi, jakich spotkałam. Ma zaraźliwy śmiech nawet wtedy, kiedy nie wiadomo, co go tak rozbawiło, bo dosłownie zaśmiewa się do łez i rechocze.

Ostatnio bardzo mnie rozczuła, bo zamienia się w kopię swojego ojca. Nawet siada w ten sposób co on. A muszę przyznać, że jego ojciec jest najlepszym ojcem, jakiego spotkałam. Bóg mi świadkiem, że Dzień Ojca to gorące święto w moim domu. Drzwi się wręcz nie zamykają.

Ludzie zawsze chcą wiedzieć, dlaczego mam czworo dzieci z czterema różnymi mężczyznami. Odpowiadam, że po prostu tak się zdarzyło. Nie planowałam tego, ale też nie miałam poczucia, że muszę wychodzić za mąż, żeby mieć dziecko. Chociaż wzięłam ślub z ojcem mojego pierworodnego, to byliśmy, jak już pisałam, bardziej jak brat i siostra.

(Dlatego ten związek nie przetrwał; nie umiałam sobie wyobrazić, jak można chodzić do łóżka z własnym bratem).

Pobraliśmy się z Johnem Reynoldsem, bo uważaliśmy, że tak trzeba – albo, powinnam powiedzieć, uważaliśmy, że tak trzeba, ponieważ mieliśmy ze sobą dziecko. Nie zamierzałam więcej powtórzyć tego błędu. Kiedy więc zorientowałam się, że jestem w nieplanowanej ciąży z Shane'em, to pokochałam Shane'a, chociaż nie chciałam być z jego ojcem. Podobnie z Roisin. Jeśli chodzi o Yeshuę, to byliśmy z Frankiem razem przez pięć lat i nadal jesteśmy najbliższymi przyjaciółmi, poza tym mieszkamy niecałe sto metrów od siebie, więc młody może przemieszczać się pomiędzy domami, kiedy mu się żywnie podoba. Nie planowałam być niezwykła czy niezależna. Po prostu pragnęłam tych czworga dzieci.

Kilka lat temu, podczas trasy, przytrafiła mi się pewna śmieszna sytuacja. Zadzwonił do mojego hotelu niemiecki celnik z lotniska w Monachium, pytając, czemu czworo moich dzieci ma cztery różne nazwiska. Niepokoił się, czy nie handluję dziećmi. Do kompletu przyleciał do mnie z nimi opiekun, który miał jeszcze inne nazwisko. Wyjaśnienie celnikowi tej sytuacji zajęło mi dobrych dwadzieścia minut. Nic z tego nie rozumiał, póki nie powiedziałam: „Słuchaj pan, trochę się puszczalam”. Na co odparł: „Och, okej”. I było po temacie. Z tym że ja żartowałam.

Ciekawostka: pewnego wieczoru wiele lat temu odwiedził mnie mój własny ojciec i powiedział, że trochę mi zazdrości sposobu, w jaki żyję, jeśli chodzi o posiadanie dzieci. Miał na myśli brak wewnętrznego przymusu, by wychodzić za mąż, i życie w podobny sposób jak mężczyzna. W skrócie – podczas gdy jest to społecznie przyjęte, że mężczyźni mają dzieci z różnymi kobietami, na kobiety czasem patrzy się krzywo, kiedy czworo dzieci ma czterech różnych ojców. Albo, tak naprawdę, kiedy mają dowolną liczbę dzieci z różnymi facetami.

Na mnie nigdy nie patrzono krzywo z tego powodu ani nie doświadczyłam żadnego stygmatyzowania. Jedyne, co mi się przytrafiło, to wyznanie mojego biednego tatusia, że żałuje, iż nie mógł przeżyć swojego życia tak, jak ja przeżywam swoje.

Jeśli moje życie nie miało innego sensu, jak tylko sprowadzić na Ziemię tę czwórkę, to cóż, mi to wystarczy, by mieć poczucie,

że zrobiłam coś pożytecznego. Nie mówię tak dlatego, że są to moje dzieci. To absolutnie niezwykle, inteligentne, kochające, pełne współczucia, rozwinięte duchowo, zabawne, wartościowe, ciężko pracujące istoty ludzkie i nie mogłabym być z nich bardziej dumna.

CZARNOKSIĘŻNIK Z OZ

POWODEM, DLA KTÓREGO NIE NAPISAŁAM wiele o tym, co działo się w latach 1992-2015, jest fakt, że w sierpniu 2015 roku, po napisaniu pierwszej części tej książki, przeszłam w Irlandii operację radykalnej histerektomii, po której nastąpiło moje totalne załamanie nerwowe.

Dotarłam wówczas do etapu *Saturday Night Live*, ale przez cztery kolejne lata, które zajęło mi pozbieranie się po załamaniu, nie napisałam nic więcej, a gdy już się lepiej poczułam, nie mogłam sobie zbyt wiele przypomnieć sprzed tego czasu.

W ramach rekonwalescencji mnóstwo czasu w latach 2016 i 2017 spędziłam w różnych częściach Ameryki. Stało się tak, ponieważ zawiódł mnie irlandzki system ochrony zdrowia psychicznego (na przykład nie zaproponowano mi hormonalnej terapii zastępczej) i ponieważ każdy, kto mnie znał, nie chciał mieć wtedy ze mną nic wspólnego – do tego stopnia postradałam zmysły, że wszyscy się mnie bali. Nikt nie wyjaśnił ani im, ani mnie, że utrata jajników może się wiązać z chirurgiczną menopauzą, która jest dziesięć tysięcy razy silniejsza od tej naturalnej, i że mogę stać się bardzo niestabilna emocjonalnie.

W Ameryce przekazują takie rzeczy rodzinom i mówią je też pacjentom. Szpitale szanują fakt, że właśnie wyszarpano z ciebie całą kobiecość. Przepisują hormony. W Irlandii nic takiego się nie zdarzyło. Po histerektomii wyszłam ze szpitala w Dublinie bez żadnych informacji, z niczym poza fiolką paracetamolu i terminem wizyty kontrolnej, na którą nie odważyłam się pójść.

Musiałam przejść tę operację ze względu na chroniczną endometriozę. Tak naprawdę nie było potrzeby, żeby usuwać mi także jajniki, ale lekarz uznał, że „równie dobrze” może mi je wydłubać. Gdyby je zostawił, dowiedzielibyście się o wiele więcej o okresie

pomiędzy 1992 a 2015 rokiem. Ale może zapomnianie jest dobre. Kilka dekad bycia pariasem po *SNL* wiązało się jednak z wielkim cierpieniem.

Nie żebym chciała cokolwiek zmienić. Za niektóre sprawy warto być pariasem.

W 2016 roku zatrzymałam się na kilka dni w Ameryce u kogoś, o kim wiedziałam, że będzie miał wolny ką. Ten człowiek umieścił mnie następnie w domu uroczej, zaprzyjaźnionej rodziny Walkerów. Byłam z tego zadowolona, ponieważ nie podobał mi się sposób, w jaki mój poprzedni gospodarz traktował swoją żonę – a traktował ją jak śmiecia. (Wynosząc się, powinnam była ją ze sobą zabrać).

Kiedy przebywałam u Walkerów, którzy mieszkają w Wilmette – przedmiejskiej dzielnicy Chicago pełnej drzew – odbywałam wiele wizyt u psychiatrów i terapeutów. Matt Walker jest perkusistą Morriseya. Jego żona ma na imię Charlotte. Zawdzięczam tym ludziom życie, bo gdybym nie mogła się u nich zatrzymać i gdyby Charlotte nie wozila mnie do lekarza ani na terapię, i nie spędzała ze mną czasu, nie pisałabym w dzisiejszy wieczór tych słów. Nie byłam w stanie się poruszać bez niej.

Ale świetnie się bawiłyśmy. Podobnie jak ja, Charlotte lubi czarny humor. Tak samo jej matka, która jest po czterdzięciu i jest najpiękniejszą długowłosą szatynką, jaką kiedykolwiek widziałam. Kiedy była młoda, miała mnóstwo kochanków. I jest naprawdę nieokrzesana. Można z nią niezłe pożartować. Nadałam jej przezwisko, które jest tak niegrzeczne, że nie napiszę go tutaj. Ale bawiło ją do łez. Bo jest takie adekwatne.

Zajmowałam jednak sypialnię córki Walkerów, więc kiedy wróciła z college'u, nadeszła pora, bym znalazła coś własnego. Przeniosłam się do motelu w pobliskim Waukegan.

Byłam strasznie samotna. Chociaż cieszyłam się z tego, że w motelu mogłam palić. I byłam zachwycona ogromnym Walmartem, który mieścił się dokładnie naprzeciwko. Mogłam w nim nakupować sobie niepotrzebnych przedmiotów, by postarać się wykrzesać z siebie nieco czegoś na kształt ekscytacji i sprawić, by mój pokój nabrał bardziej domowego charakteru.

Pewnego razu kupiłam zioło, po którym się pochorowałam, więc postanowiłam rzucić palenie i udałam się do San Francisco, do ośrodka

odwykowego poleconego przez kogoś, kogo znał mój terapeuta. Spędziłam tam trzy miesiące. Później na jakiś tydzień poleciałam do Irlandii, ale wciąż nikt nie chciał mnie znać. Wróciłam więc do Ameryki, do New Jersey, a mój menedżer załatwił mi mieszkanie w swoim budynku. Miałam jednak tak silne myśli samobójcze, że nie byłam w stanie w nim wysiedzieć przez więcej niż dzień, i ciągle musiałam jeździć do szpitala.

Po licznych wizytach w Hackensack University Medical Center i po tym, jak rozstałam się z moim menedżerem, a także po tym, jak wprowadziłam się do motelu gdzieś w New Jersey oraz dostałam kamienia nerkowego, oraz umieściłam na Facebooku wideobłaganie o pomoc, a w końcu po raz trzeci wylądowałam w Englewood Hospital – na oddziałowy telefon zadzwonił do mnie Dr. Phil. Pomyślałam sobie: może to moja chwila.

Dr. Phil chce mi pomóc. Powiedział, że jego poszukiwacz tematów znalazł mnie dzięki mojemu prawnikowi od spraw imigracyjnych, Michaelowi Wildesowi, ponieważ jego zdjęcie i nazwisko widnieją na mojej stronie na Facebooku.

Podczas gdy po drugiej stronie telefonu przedstawiał mi się Phil, przyglądała mi się opiekunka medyczna, około osiemnastoletnia blondynka w koszuli w kolorze wina i najjaśniejszej skórze, jaką można sobie wyobrazić. Zgodnie z procedurą obejmującą pacjentów o skłonnościach samobójczych nigdy mi się nie zdarzyło, żeby podczas szpitalnego pobytu w Ameryce nie towarzyszyła mi miła kobieta: jedna w dzień, a druga w nocy. To z ich powodu sama chcę zostać opiekunką medyczną, ponieważ nasze rozmowy i śmiech wniosły więcej do mojego leczenia niż jakiegokolwiek leki czy terapia. Świadomość, że są przy mnie, kiedy śpię, to doświadczenie najbliższe matczynej trosce, jakiego zaznałam. Bycie pod obserwacją nie było dla mnie opresyjne – stanowiło wyraz miłości.

Tak czy inaczej, skóra mojej opiekunki jest biała jak papier, więc kiedy mijają nas złośliwa wariatka i wylewa na jej ramię pół kubka gorącej herbaty, a nikt nie reaguje, muszę odłożyć słuchawkę. Robię w recepcji zamieszanie, że ją zignorowano, a podczas tego wszystkiego pielęgniarka przekazuje mi liścik. Napisał go mój lekarz z Hackensack,

który zgadza się z lekarzem prowadzącym z Englewood, że występ w programie Dr. Phila nie byłby dla mnie korzystny.

Myślę, że im obu odebrało rozum. Przecież to cholerny Dr. Phil. Potrafi uleczyć każdego. A im jakoś nie bardzo to idzie! Co więc mam do stracenia? Oczywiście, to ja jestem szurnięta. Ale niestety nie mogą prawnie uniemożliwić mi opuszczenia szpitala (co byłoby w moim najlepszym interesie), a ja nalegam, żeby odebrać kolejny telefon od Phila, bo ma on zadzwonić dziesięć minut po incydencie z herbatą.

Istotne też, byście zrozumieli, jak desperacko można pragnąć papierosa po kilku dobach spędzonych na dowolnym oddziale psychiatrycznym w Ameryce. To nie Irlandia, gdzie jedyną zaletą tych miejsc jest fakt, że wolno palić. W Ameryce można dostać plaster nikotynowy albo figę z makiem. Nie ma też żadnego patio. Po tygodniu wariuje się jeszcze bardziej niż na początku, więc mój upór, by porzucić wszelki rozsądek i udać się do Dr. Phila, był w wielkim stopniu oparty na pragnieniu, by wyjść zapalić. A co więcej, zapalić zioło. Bez którego też bardzo wówczas cierpiałam. Phil oferował mi ośmiogodzinną przejażdżkę na południe Stanów, do ośrodka odwykowego, który polecał niektórym swoim gościom. Mój sprytny umysł nałogowca wiedział, że oznacza to godziny zioła i papierosów. I tak właśnie było, przez całą drogę.

Jeszcze w szpitalu przedstawiono mnie mojej nowej menedżerce. Następnie udałyśmy się z kierowcą i dwoma członkami ekipy filmowej do mojego opuszczonego mieszkania, żeby spotkać się z człowiekiem od zioła, po czym wpakowałam się do wielkiego czarnego busa, dałam menedżerce buziaka na pożegnanie i odpłynęłam w noc, przekonana, że tym razem zostaną uleczone. I nie mam na myśli palenia, tylko złość, myśli samobójcze i zbyt wielkie cierpienie, bym mogła funkcjonować poza szpitalem. Modliłam się, żeby Bóg przyjął postać ludzką i zszedł na Ziemię, żeby mi pomóc. I szczerze wierzyłam, że wysłannikiem Boga jest Dr. Phil. Wydawało mi się, że jest ucieleśnioną odpowiedzią na moje modlitwy. Ale powinnam była wiedzieć, że gra dla przeciwnej drużyny. Ponieważ nie był duchowo szczerzy. W programie Jimmy'ego Fallona zapytano go, w jaki sposób nawiązaliśmy kontakt. „To ona odezwała się do mnie”, odparł. To kłamstwo. Gdyby wyznał prawdę,

Jimmy mógłby go oskarżyć o wykorzystanie kogoś, kto jest bardzo kruchego zdrowia.

Po ośmiu godzinach jazdy, palenia i gadania dojechalismy do ośrodka terapii traum na przepięknym zadupiu. Lekarze z New Jersey powiedzieli (i słusznie, jak się okazało), że terapia traum w moim delikatnym stanie jest niebezpieczna. Ale nikt ich nie posłuchał. Pierwszą bzdurą jest to, że ludzie w ośrodku chcą mi zabrać iPada. Mogą równie dobrze próbować wyrwać mi płuca. Biegałam za nimi po terenie w środku nocy, po czym upchnęłam tablet w spodniach i schowałam się w krzakach, a dwie kobiety jeździły po posesji w meleksie, szukając mnie i urządzenia. Finalnie poddałam się i je oddałam. W akcie protestu postanowiłam nie zabierać żadnych przedmiotów osobistych do pokoju. Powiedziałam im, że mogą sobie wziąć wszystko, co mam, skoro zabierają mi iPada. Ponieważ zabieranie komuś kul i porzucanie go na całą dobę we własnym gównie, bez pociechy i rozrywki jest okrucieństwem. Szczególnie jeśli gówno oznacza ogromny ładunek traum. W ciągu jednej nocy przesłam ze względnego komfortu do zera. I znienawidziłam te kobiety za to. Ale tylko na jeden dzień. Bo okazało się, że były kochane, obie.

Psychiatrę spotykam przy bagażniku jego auta, kiedy drepczę z ogrodu do pokoju. Proponuje mi batonik figowy. Po jakiego grzyba rockmence batonik figowy? Czy on jest bardziej szurnięty ode mnie? Odpowiadam: „Nie, dziękuję, takie batony są dla hipisów”. Już widzę, że się nie dogadamy.

Nim się położę, robi się późno. Idę spać około pierwszej w nocy. Rano mają przyjść ludzie od Dr. Phila, ponieważ warunkiem, pod jakim Phil mi pomaga, jest to, że wystąpię w jego programie. I musi się to wydarzyć, zanim przejdę jakiegokolwiek leczenie w miejscu, do którego mnie skierował. W ten sposób nie będę mogła narzekać przed kamerą, jak strasznie mnie wykorzystano i jak bezmyślna była ta – tak zwana – opieka medyczna w miejscu, które polecił.

Nie jestem przekonana, czy ktokolwiek z zespołu terapeutycznego pozyskał moją dokumentację medyczną z któregośkolwiek ze szpitali. Włącznie z Englewood, skąd mnie wyłowił Phil. Nie wydawało się więc, żeby wiedzieli, czy poddać mnie godzinie indywidualnej terapii

traumy tygodniowo, czy raczej dziewięciu godzinom dziennie. Czuję się traktowana jak śmieć. Co sprawia, że mi jeszcze gorzej.

Tak czy inaczej, siedzę naprzeciwko Dr. Phila, gotowa, by nagrywać program. Pełna nadziei i marzeń. Phil zaczyna stwierdzeniem, że siedzimy tam, ponieważ pisali do niego moi fani, którzy widzieli moje wideo na Facebooku i prosili go, by mi pomógł. Wymachuje grubą teczką, która jest, jak twierdzi, wypchana przesłanymi e-mailem prośbami. Pełnymi miłości do mnie i wsparcia. Pytam, czy mogę zachować teczkę wraz z zawartością. Zgadza się, ale zapomina mi ją przekazać. Mówi mi, że mam teraz ogromne szczęście, bo miejsce, w którym jestem, jest tak zasobne i tak dalek, że musi być najlepsze.

Każe mi opowiedzieć przed kamerą swoją historię. Ufam mu, bo jestem bezbronna. I pragnę żyć. Więc idę w to i zupełnie się obnażam. Płaczę jak dziecko. On każe mi nawet mówić do mojej matki. Wszystko, co mogłaby chcieć powiedzieć jej „mała Sinéad”. Robię to. Bo myślę, że on mi pomaga. Och, także dlatego, że przed rozpoczęciem zdjęć daje mi do zrozumienia, że mój występ w programie, kiedy jestem tak krucha, jest „aktem odwagi” i „pomocze innym”. Opowiada o jakimś wielkim producencie, swoim znajomym. Przysięga, że ten facet zadzwoni do mnie i będziemy razem nagrywać płyty. Kiedy filmujemy ostatnie ujęcie – spacer po terenie ośrodka – Phil opowiada mi, że był ostatnio na spotkaniu, w którym brał też udział Steve Bannon. I że ludzie Trumpa omawiali tam pomysł, żeby hasło MAGA brzmiało MAWA. Make America White Again – niech Ameryka będzie znów biała. Relacjonując to, okazywał ogromne zniesmaczenie.

Ale doszłam jednak do wniosku, że gdyby naprawdę był tak zniesmaczony, mówiłby o tym ludziom. To by była uczciwość duchowa. Zaryzykować wszystkim, co się ma, by ratować narażonych na krzywdę. Zaryzykować bycie nazywanym wariatem i bycie pariasem. Nie. Na to nie miał jaj.

Odleciał swoim helikopterem i nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Następnego dnia poróżniłam się z psychiatrą. Oskarżył mnie (niesłusznie), że chcę być traktowana jak gwiazda, bo zapomniałam podpisać listę, wychodząc na dymka.

Poczułam się urażona, bo naprawdę nigdy nie chciałam być traktowana inaczej niż ktokolwiek inny w ośrodku. Stwierdziłam

wtedy, że batoniki figowe przeżarły mu mózg.

Było mi przykro. Ale nic nie powiedziałam. Po prostu wyszłam bez słowa z jego gabinetu i udałam się do swojego pokoju.

Podobno uznał to za atak szału i rzucił się biegiem na pagórek, żeby przede mną uciec, gdyby mi przyszło do głowy go gonić. Dopiero to sprawiło, że naprawdę się wściekłam. Pieprzony psychiatra, figożerna pierdoła, przy której się nie można rozplakać, bo się rozsypie. Jezu Chryste. Powiedziałam im, żeby nie zamykali mnie z nim w jednym pokoju, bo się boję, że mu przywalę. Zadzwonili więc do Phila, a ten, jak się można spodziewać, do mnie. Powiedziałam mu o swoich obawach dotyczących figożercy oraz o troskliwości reszty personelu. Dodałam też, że wydaje mi się, że nie da się mnie wyleczyć (nadal tak uważam).

„Nie ponoszę porażek”, odparł Dr. Phil. I ostrzegł mnie, żeby nie biła psychiatry.

Za każdym razem, kiedy składałam formalną skargę dotyczącą zespołu ośrodka, robi się coraz gorzej. Piszę też w imieniu innej dziewczyny ze skłonnościami samobójczymi, którą przysłał im Phil po programie, a która teraz płacze, że nie otrzymuje niezbędnej pomocy, chociaż zgłasza, że ma kryzysy.

Wreszcie przenoszą mnie z głównego pawilonu do innego budynku na terenie ośrodka: ogromnego, pustego i dość efektownego. Mam zakaz wstępu z powrotem. Co mnie bardzo wkurza. Podobnie jak dziewięć codziennych godzin terapii traumy. (Pewnego dnia, w połowie takiego maratonu, wparował pracownik z działu zajmującego się sprawami prawnymi i księgowymi. Wręczył mi kontrakt, który chciał, żebym podpisała. W kontrakcie było napisane, że jeśli cokolwiek zarejestruję z muzykoterapeutą – a robili to wszyscy klienci w ramach leczenia – wszelkie nagrania będą należały do ośrodka. Nie muszę chyba dodawać, że nie podpisałam tego, i że jest to obrzydliwe, żeby ktokolwiek z jakiegokolwiek powodu wdzierał się na czyjąś sesję terapeutyczną, a co dopiero po to, by powiedzieć tej osobie, że chce się ją wykorzystać).



Pewnej nocy trafia mnie wreszcie szlag i wydzieram się jak opętana na cały ośrodek. Wzywają policję, bo mówię, że się zabiję. Zabierają mnie do lokalnego szpitala, gdzie oceniają, że tak naprawdę nie mam skłonności samobójczych, tylko jestem w stresie pourazowym. Odradzają powrót do ośrodka. Policjanci bardzo życzliwie znajdują mi motel i zawożą mnie do niego.

Rankiem znajduję w torbie klucz do wielkiego domu, w którym przebywałam sama w ośrodku. I, głupia, postanawiam go oddać. Dzwonię po jedynego taksówkarza w miasteczku. Opowiada mi, że ma w głowie kulę z wojny koreańskiej i że lecą na niego wszystkie okoliczne panie. Kiedy jedziemy, widzę po lewej stronie piękny cmentarz. Białe pomniki i rzeźby. Ogromne symbole religijne i kwiaty.

Po prawej stronie drogi, naprzeciwko, znajduje się miejsce, które wygląda jak cmentarz dla zwierząt. Na ziemi leży około setki czarnych kamieni wielkości grejpfrutów, ale nie da się dostrzec pomników. Teren jest zaniedbany, trawa nieskoszona. Pytam kierowcę, czy to cmentarz dla zwierząt. „Nie”, odpowiada. „To dla czarnych, ale zbyt nię z nimi nie zadaję”. Czuję, jak serce mi pęka na pół. Teraz rozumiem, dlaczego jedyna czarnoskóra kobieta, która pracuje w ośrodku, była tak zaskoczona, że to jej ramię wybrałam do wypłakiwania się, kiedy wszystkiego zrobiło się zbyt wiele. Za pierwszym razem, gdy to się zdarzyło, była tak zaszokowana, że dziękowała mi, jakby spotkał ją zaszczyt.

Jadę oddać klucz i daję się namówić na wyjazd do LA, do innego ośrodka terapeutycznego. Kiedy na to przystaję, wysyłają mnie tam samolotem i porzucają. Phil się ze mną nie kontaktuje, chociaż podobno opłacił mój pobyt. Po trzech tygodniach poirytowany pracownik informuje mnie, że trzymają mnie w tym ośrodku po nic i że to, co usłyszałam w poprzednim, nie jest prawdą. Zero zaskoczenia. Pakuję się i wyjeżdżam. Nigdy się już do mnie nie odzywają.

W 2018 roku napisałam piosenkę o tym wszystkim. Nosi tytuł *Milestones* i znajdzie się na mojej następnej płycie, chociaż demo już jest na YouTube. I nie, nie wspominam w niej o batonikach figowych.



Obraz z cytatem biblijnym
ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI

TERAZ I W PRZYSZŁOŚCI

NIEKTÓRZY WIERZA, ŻE W NIEBIE panuje wieczna noc. Mam taką nadzieję. Mam też nadzieję, że jeśli niebo istnieje, to się do niego kwalifikuję (jeśli można się kwalifikować lub nie). Trudno mi uwierzyć, że Bóg mógłby być okrutny. Ale na wszelki wypadek, jeśli zasługuję na coś innego, to mam nadzieję, że śpiewem wynagradzam moje grzechy, które są rozliczne i brzydkie.

Kocham ogień. Mam nadzieję, że w niebie jest ogień. Daje mi siłę, kiedy mi jej brakuje.

Najbardziej kocham też noc, bo dlatego właśnie ogień istnieje. A jeśli w mojej nocy nie ma ognia, podobnie jak w moim ciemnym poranku? Jestem osamotniona. Wręcz naga. Tak samo bym się czuła bez mojego hidżabu.

Noszę go od października 2018 roku (nie ten sam, oczywiście, piórę go, żeby moja głowa nie śmierdziała jak stopa), od czasu mojego nawrócenia. Używamy słowa *nawrócić się*, bo islam wydaje się domem, do którego się wraca. Tak to czuję jako osoba, która od dzieciństwa zgłębiała teologię. Jak powrót do domu. Szukałam przez całe życie, w każdej księdze i piosence, i z jakiegoś powodu zostawiłam sobie islam na koniec. Chociaż od lat przed każdym koncertem puszczałam wezwanie do modlitwy, nigdy nie przysiadłam, żeby się z nim zapoznać.

Mam pewne hobby, o którym nie opowiadałam. Maluję fragmenty Pisma Świętego. Robię to od dawna. Zazwyczaj rozdaję je ludziom, ale zauważyłam, że poróżniłam się prawie z każdym, komu taki fragment ofiarowałam.

Pragnę, aby po tym, jak opuszczę moją śmiertelną powłokę, wszyscy, którym dałam obrazy, zebrali się w jednym miejscu na wystawę. Ci ludzie nigdy się nie poznali. Pochodzą z różnych

warstw społecznych. Chciałabym, żeby się spotkali, o ile nie zniszczyli obrazów. A nawet jeśli to zrobili.

Przerzuciłam się na rysowanie, ponieważ namalowanie każdego z obrazów zajmowało mi miesiąc i lądowałam potem w szpitalu z wygłodzenia. Malowanie było dla mnie jak nałóg. Teraz używam flamastrów. I złotego tuszu. Tak jest łatwiej. Ten sam efekt. W ten sposób się modlę. Więc tamtego października, pewnego wieczoru usiadłam, by namalować wezwanie do modlitwy. Modlitwa w obcym języku przypomina śpiew. Musisz rozumieć słowa. Miałam angielską i arabską wersję i zapragnęłam namalować tę arabską. Tak mnie porwało znaczenie *la ilaha illa Llah* („Nie ma boga prócz jedynego Boga”) i to, jak odczuwałam te słowa w ustach, i ich matematyka. I już, byłam u siebie. Język i mądrość wezwania do modlitwy zaprowadziły mnie do posłuchania Koranu. Wróciłam do domu. Przez całe swoje życie byłam muzulmanką, a nawet o tym nie wiedziałam. Wezwanie do modlitwy to najbardziej inteligentny utwór pod względem matematycznym, jaki napisano.

Idolatria (czyli wielbienie czegoś poza Bogiem) to wszystko, co kochasz tak bardzo, że wydaje ci się, że byś bez tego umarł. Albo chciałbyś umrzeć, gdybyś tego nie miał. Może to być osoba, miejsce, cokolwiek. Nie będziesz o tym wiedzieć, póki Bóg nie postanowi ci tego wskazać. A robi to. Zobaczysz swojego własnego złotego cielca. I będziesz w szoku, bo myślałeś, że twoja wiara jest autentyczna.

Mówią, że niebo to raj. Nocny raj. Chłodny i spokojny. Ogrody, pod którymi płyną rzeki. Tęsknię do tego. Dlatego urządzam sobie raj nocą w swoim salonie. Ogień, a poza nim ciemność... Zdecydowanie wyobrażam sobie niebo jako ogród. Taki, w którym panuje idealny klimat i, chociaż przechadzasz się po nim pośród wielu dusz, nie musisz wcale być widziany, jeśli tego nie chcesz.

Z tym, że ja chcę. Być widziana. Nigdy nie byłam. Nawet przez siebie samą. Pragnę śpiewać, kiedy tylko mogę – bylebym nie podpadła Bogu, babci ani matce. Powoduję na tej Ziemi dużo gniewu. Bo jestem taka, jaka jestem.

W życiu robiłam jedną, jedyną świętą rzecz, a było to śpiewanie. Tylko że branża muzyczna jest okropnie daleka od świętości. Po jakimś czasie zaczyna się to ze sobą kłócić. Nie da się normalnie pracować,

bo jest się w niewłaściwym środowisku. Trochę jak na niedziałającym kwasie w klubie rockabilly. Moja dusza nie pasuje do branży muzycznej. Ani do niczego, tak naprawdę, poza pisaniem piosenek i wykonywaniem ich. Co jest moją miłością. Mam na myśli występowanie. Do tego jestem stworzona. Tak jest.

Zastanawiam się: czy w niebie piszą piosenki? A potem szepczą je kompozytorom na Ziemi? Już wyjaśniam. Koran jest jak piosenka. I został wyszeptany Gabrielowi, a potem on go wyszeptał Mahometowi. Zajęło im to dwadzieścia jeden lat. Bóg jest naprawdę niezwykłym autorem piosenek.

Mam nadzieję, że to prawda, że Bóg kocha tych, którzy śpiewają. Mogę się założyć, że Mahomet miał piękny głos. Mam nadzieję, że wciąż śpiewa w nocnym raju. Może, jeśli będę cicho, to go usłyszę.

25 WRZEŚNIA, 2019

JESTEM TAKA WZRUSZONA. Ludzie oszaleli na punkcie mojego wykonania *Nothing Compares 2 U* w irlandzkim *Late Late Show*. Stało się wiralem. W sieci obejrzały je dwa miliony ludzi. I powitały mnie w domu. W muzyce.

Teraz żebym tylko tego nie spieprzyła. Na razie nieźle mi idzie. Miałam tylko jedną małą wpadkę, kiedy zaczęłam grozić irlandzkiemu rządowi na Twitterze. A potem wygłosiłam oczywiste kłamstwo, że ktoś się włamał na moje konto i nic takiego nie pisałam. Totalna bzdura. Wariatka.

Ale poza tym byłam grzeczna. Trzy koncerty i zero skarg. Mnóstwo mężczyzn wzruszonych do łez. Tak właśnie sprawdzam, czy mi dobrze poszło – faceci płaczą przeze mnie ze słusznych powodów tylko wtedy, kiedy śpiewam. Zdarza im się też płakać, bo jestem takim wrzodem na tyłku.

Włożyłam czerwoną abaję i dopasowany hidżab. Bardzo w stylu *Gwiezdných wojen*. Ktoś wrzucił do internetu zdjęcie jednego ze strażników Imperatora Palpatine'a. Nawet ja musiałam się roześmiać. Muszę poszukać krótszych hidżabów. Lubię je nosić. Lubię swój dom w islamie. Lubię, kiedy na ulicy rozpoznają mnie bracia i siostry. Lubię coś reprezentować. Bo islamowi jest teraz ciężko. Ale nie jestem już żołnierką. Chcę go tylko reprezentować.

Podczas koncertów hidżab płata figle, bo nie jest kompatybilny ze słuchawką douszną, z której korzystam. Potrzebuję mieć możliwość poprawiania jej podczas koncertów. Po roku zakrywania włosów czuję się naga, jeśli nie mam czegoś na głowie. (Latem nie nosiłam hidżabu, bo nie dawałam rady w upale, zamiast tego miałam lekki turban. Nie mam pojęcia, jak sobie radzą kobiety w gorących krajach).

Nie sądzę, że powinno się kogokolwiek zmuszać do noszenia hidżabu. Ale też nikt nie powinien mieć *zakazu* noszenia go. To powinna być kwestia wyboru. I w moim przypadku tak jest. Kiedy kobiety krytykują moją decyzję, mówiąc, że próbuję się wpisać we wzorzec piękna wschodnich mężczyzn, odpowiadam, że ich farbowane na blond włosy to przecież to samo – tylko że pasują do ideału piękna mężczyzn zachodnich. I sugeruję, że jeśli naprawdę im się nie podoba hidżab, mogą ogolić głowy.

Nie noszę go ze względu na piękno czy mężczyzn. W moim wieku nie chcę już wabić faceta. Jestem od tego tak daleka, jak to tylko możliwe – chociaż nie przeszkadzałyby mi towarzysze, jeśli Bóg ma dla mnie takiego, który byłby w stanie ze mną wytrzymać i z którym wytrzymałabym ja. Noszę to, co kocham, i już. Ale tak się składa, że wszystko, co wkładam na siebie do pracy, jest wyraziste. Inaczej matka by mnie zamordowała! Była krawcową i modelką. Czułabym, jak okłada mnie z niebios, gdybym wyszła na scenę w dresie i koszulce.

Jak powiedział Yeats, nie sposób oddzielić tancerza od tańca.

Totalnie robię w majtki, bo za trzy tygodnie ruszam w trasę i wszyscy oczekują, że będę doskonała, a w planie są tylko cztery dni prób, a ja nie śpiewałam od pięciu lat. Jestem więc przerażona, że nie dam rady spamiętać słów do szesnastu piosenek. Tak mnie przygniała domowe sprawy, że nie miałam czasu usiąść i ich posłuchać, a spieprzyła mi się drukarka, więc nie mogę ich wydrukować. Ale nie wyjdę z domu, żeby kupić kolejną cholerną drukarkę. Rzeczy to moje przekleństwo – umierają, gdy tylko koło nich przejdę. A mam totalną agorafobię. Rzadko o tym wspominam.

Agorafobia to lęk przed otwartą przestrzenią. Nie przed ludźmi. Ma to związek z PTSD. Dom jest bezpieczny. Hotele są bezpieczne. Podobnie praca i wnętrze samochodu. Jednak kiedy wychodzę w miasto – panikuję. Muszę być w domu. To wyniszcza, bo szlag trafia życie społeczne. Szczególnie że nie powiedziałam o tym problemie więcej jak dwojgu przyjaciółom. Więc ludzie gniewają się na mnie, bo umawiam się z nimi, że gdzieś pójdziemy, i zawsze odwołuję. Kiedy planuję spotkanie, zamierzam pójść, chcę pójść. Ale kiedy jest już pora do wyjścia, panikuję i szukam wymówki. Nie wiem, dlaczego kłamię. Chyba nie chcę, żeby ludzie pomyśleli, że jestem szurnięta.

POSTSCRIPTUM

MÓJ NAJSZANOWNIEJSZY OJCZE,

Piszę do ciebie ten liścik, bo pragnę, byś go wydrukował albo wytatuował sobie wewnątrz swoich wspaniałych powiek. Chcę, żebyś nigdy nie wątpił ani nie winił siebie i/lub mojej matki za moje zachowanie czy za moje choroby psychiczne.

A oto i on...

Sinéad, która za sprawą zupełnie niezrozumiałej decyzji Allaha jest ukochaną córką Twoją i Marie, urodziła się – przy *zerowej* odpowiedzialności za ten fakt Twojej lub jej matki – z serią nieprawidłowości w mózgu wyrastających z DNA O'Gradych i przejawiających się w formie choroby psychicznej.

Sinéad stała się również ofiarą, w wieku lat jedenastu, wyjątkowo poważnego urazu głowy, kiedy to w pociągu przejeżdżającym z pełną prędkością przez stację Blackrock pewien chłopak otworzył drzwi na zewnątrz, które uderzyły ją stojącą na peronie.

Zostało naukowo udowodnione, że urazy głowy tego rodzaju mogą spowodować chorobę psychiczną lub pogorszyć istniejącą, jeśli tylko dusza już przyszła z taką na świat.

Tym samym wiedz, proszę, że Twoja córka byłaby porąbana jak drzewo na zimę i szurnięta jak ostatni głupek nawet, gdyby jej rodzicami byli święty Józef i Dziewica Maryja, i gdyby dorastała w Domku na Prerii.

Nic ze środowiska bądź doświadczeń Sinéad z dzieciństwa nie spowodowało jej chorób psychicznych. Dowodem na to jest *fakt*, że pozostała trójka Twoich dzieci z Marie jest absolutnie przy zdrowych zmysłach.

Badania psychiatryczne i muzyczne udowodniły z pełną mocą, że jednostki, w które Allah postanowił tchnąć choćby szept swojego

muzycznego ognia, są również, z konieczności, obdarzone szaleństwem. I wszyscy muzycy z autentycznego, boskiego powołania to obłąkańcy. W innym przypadku byłiby prostackimi sukinsynami. Pokora to wymóg numer jeden w przypadku artysty z autentycznego, boskiego powołania.

Co więcej, wszyscy muzycy rockowi są łamiącymi zasady, przestępczymi, pożerającymi narkotyki prosiakami, niefrasobliwymi dziwkami, maniakalnymi alkoholikami i nie nadają się na rodziców – chociaż nie są wystarczającymi oszołomami, by wyłudować w wariatkowie, ani kryminalistami, by siedzieć w pace. Czy to dorastali w raj, piekło, czy gdziekolwiek pośrodku.

Dlatego wynaleziono branżę muzyczną. Bo inaczej nie byłoby gdzie upchnąć ludzi w stylu Little Richarda czy Liberace. ;)

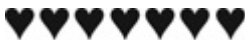
No, więc urodziła się rąbnięta.

Nie jesteście za to odpowiedzialni ani Ty, ani jej matka. Oboje zrobiliście, co mogliście najlepszego, używając danych Wam przez Boga narzędzi. A Wasza córka pamięta tylko to, co wspaniałego dostała od Was obojga. W Twoim przypadku to, co najważniejsze: piosenki, śpiewanie i Allaha.

Więc nie wal w ścianę, chyba że dla zabawy.

I zawsze pamiętaj, że Allah ma Ciebie i Twoje dzieci w Swoich ustach, podobnie jak lwica nosi swoje małe. I że problemy to jedynie przebranie Boga.

I jest w niebie dla Ciebie tron inkrustowany po jednym klejnocie za każdy siwy włos, jaki zafundowało Ci twoje dzikie dziecko.



Sinéad/Shuhada

EPILOG

DZIŚ JEST PIĄTY KWIETNIA 2020 ROKU. Cały świat jest w lockdownie. Nikt nie wie, kiedy lub w jakiej formie „wróci do normalności”. Jakby przedtem był normalny.

Może zmieni się nasz sposób życia. Możliwe, że nadal będziemy się tak bardzo kochać jak teraz, wciąż pozostając w domach. Po prostu nie wiadomo. Ale będzie to droga przez siedem kręgów piekielnych. Mogę na swój sposób pomóc niektórym z bliskich przez to przejść, bo mam ogromne doświadczenie w tego rodzaju podróżach. Kiedy żyje się z diabłem, odnajduje się Boga.

W Ameryce Trump chce, żeby wszyscy wrócili do pracy, dokładnie w szczycie zachorowań. Chce, żeby chorzy przyjmowali jakiś lek, o którym nie ma pojęcia, ale sam nie nosi maski. Taki z niego luzak. Mówi, że nie może się spotykać z prezydentami, dyktatorami, królami czy królowymi z zasłoniętą twarzą. A zaledwie w zeszłym tygodniu jakaś europejska księżniczka zmarła. Na tego wirusa.

To wina ludzi. Gdyby Trump był prezydentem lub premierem Irlandii, fizycznie wyszarpano by go z gabinetu w dniu, kiedy pierwszy raz oddał czyjekolwiek dziecko na dowolnej granicy. On jest chory psychicznie. A tak zwani zdrowi na umyśle ludzie w najlepszym wypadku rozkładają ręce, a w najgorszym umożliwiają mu działanie. Jak wielkiemu cesarzowi, który jest nagi. Bo on nie jest nikim innym. To lekcja dla ludzi, żeby nie byli cały czas tacy zajebiście mili. Przecież żaden reporter nigdy go nie zapytał: „Proszę pana, co jest z panem nie tak?”. To zaniedbanie. Zabija ich pragnienie bycia miłym. I tak jest non stop. Nieważne, co on robi.

Był taki czas, kiedy Amerykanie wyszli na ulice, by pokojowo walczyć o prawa obywatelskie – swoje i innych. Teraz nawet tego nie mogą.

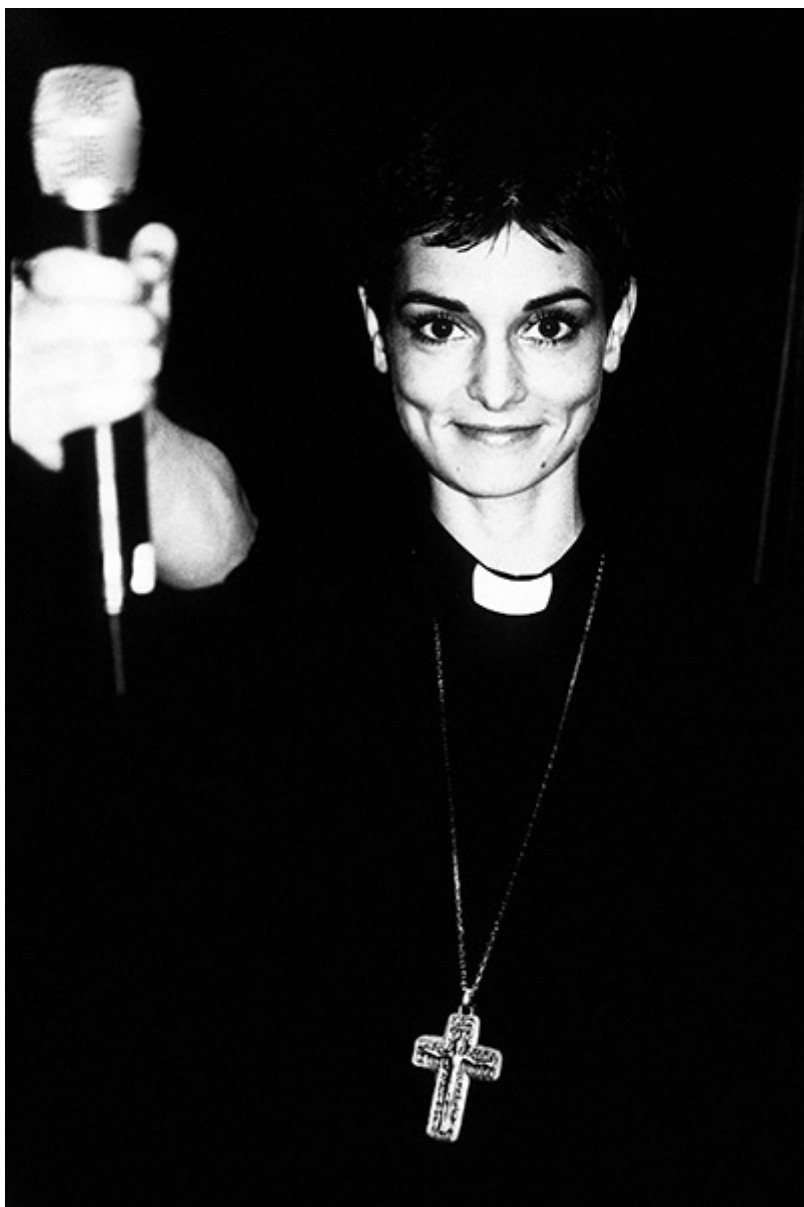
Co zrobią z tym potworem, kiedy będą mogli? Historia sprytnie sprawiła, że najgorszym słowem, jakie można wypowiedzieć w Ameryce, jest *socjalizm*. Ale być może narodzi się z tego straszliwe piękno.

Siedzę sobie przed moim gankiem z widokiem na morze. Za dużo palę, aby przebywać w czterech ścianach. Przyglądam się swojemu życiu i temu, jak chcę, żeby wyglądało, kiedy to się skończy. Wiem, że to potruwa. Mam na myśli lockdown. I jestem dotkliwie świadoma tego, jak niewielką kontrolę mam nad tym, w jaki sposób żyję, a szczególnie jak będę żyć w nadchodzącym roku. Ponieważ koncerty, które zostały odwołane z powodu wirusa, muszą się odbyć na początku 2021 roku. Nie mogę ich przełożyć na to lato. Chyba że wydarzy się cud. Bo wiecie, chcę iść do college'u. Na roczny kurs opieki medycznej. Rusza każdego września w mojej lokalnej szkole zawodowej. A kończy się w czerwcu. Tylko że zawsze coś mi wypada. Próbowałam go zacząć dwa lata temu, ale nie byłam jeszcze na siłach. W zeszłym roku musiałam pracować, koncertować, bo po czterech latach choroby wyszłam w maju ze szpitala i zastałam na koncie osiem tysięcy funtów, po czym zaraz przyszedł rachunek na dwa tysiące – za ogrzewanie domu, który pod moją nieobecność stał pusty i zaniedbany.

Miałam nadzieję, że w tym roku, w sierpniu, wyruszę w trasę. Bo gdybym to zrobiła dwa lata temu, już bym była na linii frontu, pomagała ludziom. Rząd prosił, żeby opiekunowie medyczni włączyli się do działania. A ja, jak już mówiłam, siedziałam na tyłku, nic nie robiąc poza tyciem. Postanowiłam więc pójść do szkoły jesienią 2020 roku, a w trasę pojechać znów (mam nadzieję) latem 2021. Zdecydowałam, że tak zrobię, i odłożyłam na to pieniądze, póki je mam. Więc później, w czasie pomiędzy płytami i trasami, będę miała zajęcie. Nie będę spędzać roku przerwy siedząc z założonymi rękami.

Wirus sprawił, że wydaje się, jakby świat się kończył, a zaczynał się nowy.

Może lepszy.



FOT. BP FALLON

Przypisy

- [1] *Piękne wstążki, szkarłatne wstążki / Szkarłatne wstążki do włosów jej* (przyp. tłum.).
- [2] Éamon de Valera (1882-1975), prezydent Irlandii (przyp. tłum.).
- [3] Wierność rastafariańskim korzeniom (przyp. tłum.).
- [4] Najprawdopodobniej Marley miał na myśli seks z ukochaną (przyp. tłum.).
- [5] Pirackie radio działające w Irlandii w latach 1981-1986 (przyp. tłum.).
- [6] RTÉ – Radio i Telewizja Irlandii (przyp. red.).
- [7] Ian Paisley – brytyjski polityk i protestancki duchowny (przyp. red.).
- [8] „Someday I’ll get over you”, wers z piosenki Dreaming My Dreams (przyp. tłum.).
- [9] Przeł. Barbara Dziedzic.
- [10] Przeł. Tadeusz Rybowski.
- [11] *Ramono, podejdź bliżej/ Zamknij miękko mokre oczy swe/ Ukłucia twego smutku/ Miną, gdy wyostrzysz zmysły/ Kwiaty tego miasta/ Choć podobne oddechom/ Czasem są jak śmierć/ A nie warto próbować / Przed śmiercią się chować / Co niejasno tłumaczy ten tekst* (przyp. tłum.).
- [12] Aluzja do wersu amerykańskiego hitu z 1973 r., *Tie a yellow ribbon round the ole oak tree* (przyp. tłum.).
- [13] *Miasto odkupienia (Redemption Falls)*, Wydawnictwo Dolnośląskie, 2008, przekład Jarosław Włodarczyk.
- [14] *Nice pizza ass* – niezła dupcia od pizzy (przyp. tłum.).
- [15] Biblia Tysiąclecia, dostęp z 21.06.2021, <https://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=924>

[16] „Wszystkie kwiaty, które zasadziłaś, Mamo, w ogródku na tyłach domu, obumarły, gdy odeszłaś” (przyp. tłum.).